

CIZIA ZYKË

GORĄCZKA

(Fièvres)

Przełożył Stanisław Wojnicki

Prolog

Kongo, północno-zachodnia część kraju, na brzegu rzeki. Przez wioskę przeszło tornado. Potworna siła pastwiła się nad wszystkim, co wystawało ponad ziemię, wskazując oczywiste pragnienie niszczenia, prawdziwy zapal w przekształcaniu wszystkiego w ruiny.

Z dwudziestu ośmiu małych lepianek plemienia Kuju uchowały się tylko trzy. Wszystkie zostały zmiecione z powierzchni ziemi, pozostały po nich jedynie porozwalane kopce, przypominające jakiś plac budowy. Można by pomyśleć, że po ogromnym obszarze brunatnej ziemi przejechał buldożer.

W dali dostrzec można było parę patetycznych przedmiotów: pojemniki i emaliowane miednice, powyginane i powgniatane, jakby przejechała po nich ciężarówka, drewniany stółek rozbity na kawałki, podarte maty, strzępy palmowych dachów... Cały zapas ziarna, uzbierany przez wioskę, wysypał się z porozwalanych małych zbiorników ulepionych z suszonej ziemi.

Na prawo, nieco dalej, na skraju pierwszego zagajnika wielkich drzew, również nie ocalały trzy altany z desek zbudowane pod naszym kierunkiem. Leżały teraz w postaci porozrzucanych patyków w okolicznych trawach, które w połowie je zakrywały.

Kwadratowe poletka warzywne, uprawiane z takim zapalem i mozołem, zostały stratowane bez litości: bambusowe kratki zamienione w wióry, sieć rowów irygacyjnych rozwalona. Nic nie pozostało z naszych drogocennych „plantacji eksperymentalnych”. cisza.

Prawdę o niszczycielskiej sile, jaka się tu rozpętała, odczytać można było również z czarnych, posępnych twarzy ludzi Kuju, którzy osowiali postępowali za nami krok w krok. Ich niecodzienne przygnębienie i zrozpaczony wyraz oczu wzmagwały jeszcze napięcie. Świnie i kury, zwykle pętające się po wiosce, uciekły. Panowała całkowita, przygnębiająca

- Skurwysyn - zgrzytał zębami Paulo. - Skurrrrwysyn... Stary Paulo, z zaciśniętymi wargami i morderczym spojrzeniem, ciężko przeżywał ogrom zniszczeń. Tym razem M'Bumba zdrowo dał popalić.

* * *

Przed nami pięć trupów, rozłożonych na matach w ostrym popołudniowym słońcu, zaczynało już śmierdzieć. Wśród nich były dwie kobiety, z których jedna, w

jaskrawoczerwonej przepasce na biodrach, miała wgniecioną klatkę piersiową. Ciało, które sprawiało największe wrażenie, leżało obok. Był to mężczyzna, a jego śmierć musiała być okropna. Ani jeden z jego członków nie pozostał nienaruszony, wszystkie były połamane w wielu miejscach, jakby każdy miał po kilka dodatkowych stawów. Popękana w niektórych miejscach skóra tworzyła obrzydliwe rany, już rozkładające się od upału. Głowa straciła normalny kształt; była w kawałkach, jakby została schwytana i rozgnieciona przez gigantyczną pięść. Inne ciało, również rozerwane na kawałki, zakrwawione, z wywróconymi białkami oczu, na których siadały roje much, należało do jednego z braci wodza. Był to sympatyczny facet około trzydziestki, którego jako notabla zapraszaliśmy czasami do domu. Rozpoznaliśmy też ostatnie zwłoki - jednego z niezliczonych miejscowych chłopców, wyrosniętego piętnastolatka.

Obrzydzenie i wściekłość, które nas ogarnęły na ten widok, sprawiły, że staliśmy w milczeniu. Nawet Paulo zaprzestał swoich przekleństw. M'Bumba był diabłem, piekielnym potworem. Skąd tyle zapamiętania w zwierzęciu, którego nawet nie zaatakowaliśmy?

Ze swego miejsca młody Montaignes rzucił na zwłoki tylko krótkie spojrzenie. Z jednej z licznych kieszeni wyciągnął krawiecką miarkę i przykucnął, z nieodłącznymi okularami na czubku nosa, maksymalnie wyciągając ręce, by zmierzyć jeden ze śladów: gigantyczny nieregularny krąg, niewiarygodny ślad nogi słonia.

- Osiemdziesiąt dwa centymetry - powiedział rozmarzonym głosem. - To potworne!

Część pierwsza

Na szczęście nasz hangar nie uległ zniszczeniu. Zbudowany jakieś sto metrów od wioski, na końcu wąskiego cypla wrzynającego się w nurt rzeki, i M'Bumba nie był łaskaw dojść aż tutaj. Nie było to domostwo luksusowe, ale zależało nam na nim. Sprawiliśmy, że było obszerne i czyste i w ciągu spędzonych w nim ośmiu miesięcy przeżyliśmy tu spokojne i bardzo miłe chwile. Był to prostokątny budynek z desek z czerwonego drewna, nakryty dużym dachem z przeplatanych palmowych liści, przy którego wznoszeniu pracowała cała wieś. Jeden z boków, dzięki wielkim przesuwającym drzwiom, był szeroko otwarty na rzekę i przedłużony drewnianym tarasem. Ten ostatni, małe arcydzieło na palach, idealne miejsce na śniadanie i na spędzenie wieczoru, znajdował się bezpośrednio nad wodami rzeki, nad zatoczką utworzoną przez półwysep i nad naszą przystanią. Od strony lądu wielka tablica zielonymi literami na białym tle ogłaszała: Powszechna Faktoria Handlowa.

Wewnątrz, oprócz pooddzielanych przepierzeniami pokoi, znajdowało się obszerne pomieszczenie służące zarazem jako salon, prywatna tawerna, sklep i skład towarów. Worki ziarna i sprzęt niezbędny w buszu sąsiadowały tu z czterema ogromnymi wiktoriańskimi fotelami, przywiezionymi z miasta pirogą, z przedmiotami sztuki wudu, których nie chcieliśmy sprzedać, z puszkami konserw, butelkami i bronią. Pomimo szyldu i sporego zapasu towarów Powszechna Faktoria Handlowa nie była prawdziwym sklepem. Nazwę tę nadaliśmy naszej siedzibie raczej dla zabawy, z przymrużeniem oka nawiązując do wielkiej tradycji kolonialnej. Doskonale pasowała do wspaniałego otoczenia w sercu Afryki, w którym zamieszkaliśmy.

Kiedy zaczyna się ta historia, czyli kiedy przyszedł rzucić nam swoje wyzwanie słoń, jej pięciu bohaterów od ośmiu miesięcy mieszkało w zawieszanej nad rzeką faktorii.

Często mówiło się o nas, że jesteśmy nienormalni. Dlatego, by uniknąć wszelkich nieporozumień, lepiej będzie, jeśli na samym wstępie naszkicuję portret naszego dzielnego zespołu.

Najpierw, uznając przywilej wieku, będę mówił o Paulo. Stary Paulo, czy też, jak sam o sobie mówi: „Zgniły Paulo”. Kiedy chce się kogoś przedstawić, zaczyna się zwykle od podania wieku, lecz w jego przypadku jest to niemożliwe do spełnienia. Kiedy go spotkałem, był już stary, a nie działo się to wczoraj. Wyglądał wówczas dokładnie tak samo: mały facecik z okrągłym brzuszkiem swobodnie wysuniętym do przodu, stopy mocno osadzone na

ziemi, nogi rozstawione, te same długie włosy tak samo lekko siwiejące, te same wielkie, jasne i ruchome oczy, błyszczące inteligencją.

Na przestrzeni lat tylko zmarszczki i ślady po licznych przeżyciach stały się wyraźniejsze: wielkie worki pod oczami - wspomnienie po tylu przyjemnościach czerpanych bez opamiętania; dwie głębokie pionowe bruzdy przy ustach, zarysowane niezliczonymi wybuchami śmiechu i chwilami zaciętości; promieniste zmarszczki przy kącikach oczu, które wielokroć mrużył na widok tylu zadziwiających krajobrazów. Podbródek zawsze wysunięty do przodu, sokoli nos, niekiedy niebezpieczne błyski w oczach, oto nasz człowiek.

Poza tym był jowialny i przesadny w zachowaniu, lubił głośno wypowiadać się soczystym językiem, jako nieodrodny „syn Prowansji”, gdyż Paulo urodził się w marsylskiej dzielnicy Vieux-Port i pozostawał marsylczykiem aż po końce swoich lakierowanych mokasynów, choć rodzinne miasto opuścił pod naciskiem pilnej potrzeby natury karnoprawnej całe wieki wcześniej, kiedy miał piętnaście lat. Pod wieloma względami jego charakter odpowiadał jego pseudonimowi. „Zgniły Paulo” nie szanował niczego i nikogo oprócz mnie.

- Mam wszystkie zalety. Mały - mawiał. - Lubię używać, jestem fałszywy, podstępny, zakłamany i przekupny. Mam szczęśliwą rękę, Mały! Wszystko, co trzeba, żeby podbić świat i prowadzić wspaniałe życie!

Ale ja znałem go dobrze i wiedziałem, że posiada ogromne zalety, którymi mniej się chwalił, a w szczególności wielkie serce, wcale nie takie zgniłe. Miałem dobrych trzydzieści lat mniej od niego. I mimo tej różnicy wieku nasza przyjaźń była głębokim uczuciem, utkanym ze śmiechu, ze wspomnień o wspólnie podejmowanym ryzyku, ze wzajemnego wielkiego szacunku i z całkowitej uczciwości. Za każdym razem, kiedy los gdzieś nas ze sobą stykał, a zdarzało się to często, rozpoczynała się nowa przygoda. Dla mnie jego obecność, kiedy coś się działo, stanowiła dodatkową przyjemność. On odczuwał to samo.

Naszą cechą wspólną było samo rozumienie wolności, wolności całkowitej, bez żadnych ustępstw i niezależnie od ceny. Podobnie jak ja był indywidualistą. Obaj zawsze żyliśmy poza normami, żeby nie powiedzieć, że je zwalczaliśmy.

Poszukiwanie wolności i przygody? Głód sensacji? Pragnienie, by żyć intensywniej i zakosztować jak najwięcej doznań dostępnych człowiekowi? Trudno określić co to jest przygoda i jakie są powody, które skłaniają kogoś do wyboru takiego życia. To odrębny świat, a jego zasady i losy różnią go od wszelkich innych społeczności. To plemię specjalnej rasy ludzi, piratów, ułomnych, rycerzy, wielkich marzycieli, którzy stosują się do własnych, odmiennych zasad. Jeśli w języku potocznym „awanturnik” określa się osobę niemoralną, to

wiedziecie, że Paulo i ja jesteśmy dumni mogąc odnieść je do siebie.

* * *

Za dużo czasu zajęłoby opowiadanie, czym było życie z Paulo; nasze liczne rajdy przez kontynenty, nasze zwariowane przedsięwzięcia, nasze liczne sukcesy, nasze nagle bankructwa, nasze walki i nasze wojny.

Wiedziecie jedynie, że w Afryce byliśmy od trzech lat. Dla Paula, jak mawiał, była to jego Dpiąta kampania wśród czarnych”. Dla mnie - dopiero trzecia. Seria klasycznych działań w wielkim stylu: przemyt, sieć dyskotek - a w nich odpowiednia atmosfera - wszelkiego rodzaju oszustwa... Dwa najbardziej udane to najpierw partyzantka w jednym z krajów Południa, do której chciałem, byśmy przystali, by walczyć o nasze demokratyczne ideały. Te ostatnie przybrały postać fasoli na każdy posiłek i kubańskich doradców, schlanych i śmierzących, o poczuciu humoru równie ciężkim co ich buty. Jak należało się tego spodziewać, Paulo ukradł kasę. Z czystej i bezinteresownej przyjaźni przeszedłem wraz z nim do obozu wroga i wszystko zakończyło się po kilku miesiącach podczas wspaniałej ucieczki w kierunku granicy. Była też afera diamentowa w Zairze. Założyliśmy bowiem International Diamond Mining Investigations and Investments Company, kwitujące przedsiębiorstwo, które wzbudziło zbyt wiele zazdrości i zakończyło się fatalnie po paru miesiącach luksusu i powszechnego szacunku.

Wschód, zachód, południe, tempo naszych działań, a zwłaszcza naszych ucieczek, drastycznie zmniejszyło liczbę krajów gotowych udzielić nam gościny. Wszędzie spaleni przynajmniej na dziesięciolecie, znaleźliśmy schronienie w tym spokojnym Kongu Brazzaville. Po dwóch niespokojnych latach pragnęliśmy paru miesięcy wakacji.

Któregoś dnia w gablocie hallu międzynarodowego hotelu zobaczyłem rzeźby i jakieś obrzydliwe przedmioty z kości słoniowej. Dokonaliśmy szybkiego przeliczenia ceny za kilogram, spodobała się nam, więc kupiliśmy broń i rozpoczęliśmy polowania na słonie! O, nie pracowaliśmy zbyt wiele. Okoliczne słonie były starymi samotnikami, wygnanymi ze stada, i pojawiały się bardzo rzadko. Ponadto cena sprzedaży kości słoniowej zapewniała nam całkowicie zaspokojenie naszych potrzeb, a w tym czasie niczego więcej nie pragnęliśmy. Życie płynęło spokojnie, przerywane myśliwskimi wyprawami, wypadami do stolicy, bez specjalnych wydarzeń. Nikt się nas nie czepiał. Okolica, pełna bagien, nieprzebytych lasów i stref niebywale bujnej roślinności, nie interesowała nikogo.

Mieliśmy doskonałe stosunki z naszymi sąsiadami z plemienia Kuju, którzy bez

trudności pogodzili się z naszą obecnością i wydatnie pomogli w zagospodarowaniu się. W rewanżu robiliśmy wszystko, by nasz pobyt był dla nich jak najbardziej korzystny. Zainwestowaliśmy więc w materiały szkolne, skierowaliśmy ich prace rolne na rośliny bardziej poszukiwane na rynku miejskim, zorganizowaliśmy system spółdzielczy w zakresie składowania i dostaw ziarna, a także zbudowaliśmy kilka małych domków, teraz zniszczonych, jak na przykład ambulatorium wyposażone we wszystko, co niezbędne do udzielenia pierwszej pomocy. Ludzie Kuju byli jedynymi klientami naszej faktorii. Mieli naturalnie nieograniczony kredyt. Jednak pomimo naszych nalegań korzystali z niego w bardzo niewielkim stopniu.

* * *

Montaignes wylądował w tym otoczeniu przed ośmiu miesiącami, co było oczywistym przykładem logicznej aberracji, jaką on sam stanowił. Któregoś wieczoru zobaczyliśmy, jak nadpływa przegniła piroga, obciążona na dziobie trzema starymi podróżnymi kuframi. Młody człowiek o twarzy dobrze wychowanego nastolatka wiosłował, zwrócony plecami do przodu, ubrany w zbyt obszerny lniany garnitur, z okularami na czubku nosa. Niezdarnie dobił do przystani, ale doprawdy nie miał wyboru: jeszcze parę metrów i jego przeładowana na dziobie i dziurawa skorupa zniknęłaby definitywnie z powierzchni wody. Następnie dołączył do nas, siedzących na tarasie, poprawił okulary, by popatrzeć na nas uprzejmie, i rzekł:

- Miło mi panów poznać, nazywam się Montaignes. Czy prowadzicie tu hotel albo coś w tym rodzaju?

Paulo długo mordował go wzrokiem. Zapewne oryginalność tego młodego człowieka sprawiła, że tego dnia nie został zmuszony do natychmiastowej kąpieli w rzece.

- Czy wyglądamy na oberżystów? Myślisz, że przyjechaliśmy tutaj, by prowadzić bistro?

- W takim razie...

- Siadaj - przerwał mu Paulo. - Wypijesz przecież pastis. Pora na aperitif!

* * *

Montaignes został na noc, potem na kilka dni. Po trzech tygodniach, choć nikt właściwie nie wiedział dlaczego, należał już do otoczenia. Był bardzo sympatyczny, zawsze gotów do rozmowy, i zawsze zadziwiał nas rozległością i różnorodnością swej wiedzy. Umiał

opowiadać nie stając się nudnym, a jego wychowanie, najwyraźniej doskonałe, w naturalny sposób sprawiało, że nigdy nie przeszkadzał, nie narzucał się i nie nudził.

Był poza tym niezdarny, nie miał wycucia przestrzeni i był roztargniony jak trzydziestu doktorów Schweitzerów, toteż jego nieuleczalne bałaganiarstwo pomału rozprzestrzeniało się na całą faktorię.

Miał ze sobą mnóstwo książek. Były grube, wielkie, w twardych okładkach. Jakieś traktaty pełne liczb. Inne z pięknymi ilustracjami przedstawiającymi rośliny i owady. Owady! Miał ich imponujące ilości, przyszpilone do deseczek i plastikowych podkładek, każdy ze swoją etykietką, nazwą po łacinie i jakimiś skrótami, z których nic nie kapowałem. Były też marynarski sekstans, chemiczne próbki, ludzka czaszka, nazwana imieniem Artur, zadziwiająco kompletna. Były mapy, próbki, jakieś zmajstrowane przedmioty, a wszystko porozrzucane po pokoju odpowiednio do przypadkowych pomysłów i natchnienia właściciela...

Nie wiedzieliśmy i nigdy nie dowiedzieliśmy się, skąd pochodził. Nie zadawaliśmy mu pytań. Nie leżało to w naszej naturze. Jaki konflikt, dramat, tragedia zmusiły go do wyjazdu? Jaki ogromny zawód miłosny pchnął tego młodego naukowca, by wsiadł do dziurawej pirogi i bez żadnej nadziei popłynął z prądem rzeki Kongo? Tajemnica była całkowita, ale Paulo i ja wyczuwaliśmy u Montaignes'a jakąś przepaść dzielącą go od świata, przepaść inną od naszej, lecz równie głęboką. To właśnie zapewne w dużej mierze ułatwiło jego wejście do naszego prywatnego świata, zwykle tak pieczołowicie chronionego.

* * *

Opis Powszechnej Faktorii Handlowej byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o Małej. Była to Murzynka, nastolatka, żyjąca razem z nami. Znaleźliśmy ją w sposób tak dziwaczny, jak to tylko możliwe, niespełna rok wcześniej.

Wyprawy myśliwskie zabierały nam niewiele czasu, nie dłużej jak dwa tygodnie, i to nieczęsto. Liczne nasze wypady miały inny handlowy cel, przynoszący więcej korzyści niż kość słoniowa, i kosztem mniejszego wysiłku. Mieliśmy w stolicy kontakty z kilkoma grupami skupiającymi wyroby sztuki wudu, zainteresowanymi statuetkami i rzeźbami, po które wyprawialiśmy się do najodleglejszych wiosek, by tam targować się o zupełnie nieprawdopodobne ceny, a następnie sprzedawać nasze łupy za niebotyczne kwoty. W trakcie jednej z takich wypraw dotarliśmy bardzo daleko na północ, do wsi położonej w pobliżu granicy z Republiką Środkowoafrykańską. Tu zwróciliśmy uwagę na Małą, która ignorowała

nas.

Na pierwszy rzut oka wzięliśmy ją za białą, tak jasną miała skórę. Przyjrzelśmy się jej bliżej, mimo jej wściekłego wzroku, i prawda wyszła na jaw. Była Murzynką o białej skórze. Miała afrykańskie rysy, ruchy, włosy i zachowanie. Tylko jej skóra miała ten dziwny śródziemnomorski odcień. Była Mulatką lub córką Mulata, miała jedną czwartą białej krwi: wnuczka kolonisty, który zaspokoił swoje żądze ze służącą, albo zakonnicą, która nie wytrzymała podczas pełni księżyca, to już na zawsze pozostanie tajemnicą.

Naczelnik wioski, który sprzedawał nam właśnie zestaw drewnianych posążków, zaproponował, by dołączyć ją do towaru i wliczyć w cenę. Jak zrozumieliśmy, dziewczynka nie była akceptowana przez inne dzieci, a jej trudny charakter był przyczyną ciągłych sprzeczek i bałaganu przez okrągły dzień. Kupiliśmy więc Małą i wyruszyła wraz z nami w drogę do faktorii. Przypominam ją sobie z tego okresu jako niezbyt uprzejmą dziewczynkę, z twarzą wiecznie wykrzywioną grymasem, zbyt dużą na swój wiek, wyrośniętą, z odstającą pupą, zbyt prostymi nogami i stopami nieproporcjonalnymi do wzrostu.

Potrzebowała sporo czasu, by się przyzwyczaić, i przeszła wiele kryzysów i okresów zamknięcia w sobie. Później pomału zdała sobie sprawę, że jesteśmy sympatyczni, że wygłupiamy się jak dzieci, że życie z nami jest wygodne i że ją lubimy. Uspokoiła się więc i zaczęła się starać, by być użyteczną. W ciągu kilku miesięcy, pod kierunkiem Paula, który ją sobie upodobał, stała się kompetentną kucharką i dostąpiła zaszczytu ponoszenia pełnej odpowiedzialności za nasz stół. Nauczyła się języka Kuju z niebywałą szybkością, podobnie jak gotowania ulubionych dań Paula, i potrafiła nawet powiedzieć parę słów łamaną francuszczyzną.

Do pomocy dałem jej małego Kuju, który, choć nikt go o nic nie prosił, przyszedł i zamieszkał u nas. Nazywał się Octave, dla Paula i przyjaciół - Tatave. Był miejscowym

przygłupem. Jako taki nie był wprawdzie wypędzony z wioski, ale żył poza społecznością. W przeciwieństwie do innych Kuju był mały i bardzo gruby. Pośrodku jego okrągłej makówki, na której czubku rosło trochę króciutkich kędzierzawych włosów, błyszczało dwoje wielkich wiecznie zdziwionych oczu. Był leniwy, nawet flegmatyczny, i całą swoją energię poświęcał na wyszukiwanie pożywienia i jego przeżuwanie. Tatave był w naszej faktorii uosobieniem dobrego humoru. Wystarczyło, że się pojawił, nadzwyczaj powolny, z ogromnym brzuchem wypiętym do przodu, z nieodłącznym uśmiechem na ustach, by każdy miał ochotę się śmiać.

Nie wiem, dlaczego ludzie Kuju uznali go za kretyna. Zawsze wydawał mi się raczej

sprytny, a jego zachowanie sensowne. Mała nie pozwalała mu wymigiwać się od roboty i przez cały dzień wieszała na nim psy. Trzeba przyznać, że jego specjalnością było sypianie w naszych hamakach lub w fotelu. Kiedy ktoś siadał na nim przez nieuwagę, otrząsał się w milczeniu, schodził bez pośpiechu i wyruszał na poszukiwanie nowego legowiska, przejawiając najwyższą obojętność. Krótko mówiąc, podobnie jak wszyscy pozostali w tym hangarze nad wodą, Tatave był człowiekiem dosyć niecodziennym.

W Afryce tragedie zapominane są równie szybko, jak intensywnie były przeżywane. Nocna zabawa zmyła wszelkie ślady żałoby. Jak tu pozostawać w napięciu wobec ogromu zielonej wody u naszych stóp, wobec odblasków słońca na rzece, w przyjemnym jeszcze cieple wczesnego poranka?

W dole pod tarasem, na którym jedliśmy śniadanie, pięciu ludzi Kujy, naszych regularnych pracowników, oraz dziesiątka leniwych chłopców rozładowywali naszą pirogę: przenosili worki i skrzynie z towarami przywiezionymi z Kinszasy i Brazzaville.

- Ale przecież taki słoniowy kiel ma jakieś rozmiary - denerwował się Paulo. - Dobrze widziałas? Powiedz no, był taki jak ten stół, czy większy?

- Wielki! Wielki! Większy! - powtarzała Mała wywracając oczami, ubrana jedynie w różową przepaskę zawiązaną dookoła bioder.

- On wieceelki! - krzyknęła rozciągając ręce.

- A kiel? Widziałas kiel?

Mała miała gdzieś kiel i ciężar kości słoniowej. Potrafiła myśleć jedynie o ogromnej przerażającej górze, którą zobaczyła. Żeby dać nam jakieś wyobrażenie, mogła tylko rozłożyć maksymalnie ręce, podnieść oczy do nieba i mnożyć przerażone grymasy. Potwór wielki jak dom. A może większy!

- Taaaak! Wielki! Ja bać się, biec szybko, szybko. Bebe biec. Też bać się.

Bebe, jej mały piesek, był małym kundlem o żółtej sierści, który wszędzie za nią laził z miną winowajcy. Podskakiwał wokół swojej pani, robiąc wrażenie jeszcze bardziej przerażonego niż ona, która teraz tupiała z podniesionymi obiema rękami. Trudno było nie widzieć jej małych, spiczastych piersi o ładnym okrągłym kształcie i jędnym wyglądem, którymi w ten sposób potrząsała przed naszym nosem.

Mała robiła się ładna.

- Dość już tego - warknął Paulo. - Schowaj swoje cycki, nie pokazuj ich tak! Nie, żeby były brzydkie, ale moglibyśmy...

Wyciągnął nieznacznie rękę w kierunku jednego ze wzgórków, żeby go uszczypnąć. Mała oburzona uskoczyła w tył i naturalnie zaczęła wrzeszczeć i podskakiwać jeszcze

bardziej.

- No, moja śliczna... już dobrze, już... Spokojnie, moja piękna...

- Ty niedobry! Ty, stary niedobry! Nieładny!

Paulo pospiesznie zniknął, by po chwili wrócić z paczką prezentów dla Małej. Podczas naszego wypadu do Kinszas i Brazzaville, żeby załatwić interesy, zakupy i zafundować sobie porządną kąpiel w nowoczesności, pomyśleliśmy oczywiście i o tym, żeby przywieźć jej parę drobiazgów.

Paulo wyciągnął długą bawełnianą jaskrawozieloną koszulkę z nadrukiem w postaci kaczonego Donalda, wielką spinę do włosów i plastikową bransoletkę w tym samym odblaskowym zielonym kolorze.

- No, lepiej to włóż, bo już nas denerwujesz!

Mała zastygła bez ruchu. Śliczny radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Popatrzyła na nas po kolei błyszczącymi z zadowolenia oczami i burknęła:

- Zgoda. Ja założyć koszulka.

- Oczywiście, malutka. Jak się jest panienką, nie lata się z piersiami na wierzchu; to dobre dla dzieci, nie dla młodych dziewcząt!

* * *

Wszyscy staraliśmy się wpoić Małej podstawowe zasady przyzwoitości. W ciągu paru miesięcy mała niezgrabna dziewczynka przemieniła się w dużą nastolatkę, a później, w ciągu ostatnich tygodni, w urodziwą roześmianą dziewczynę i muszę przyznać, o całkiem ponętnych kształtach.

Nie wiedziałem, czy jest to niemoralne, jak mawiał Paulo, który nigdy nie wydawał mi się mistrzem, jeśli chodzi o dziewczyny. Było jednak pewne, że obecność wspomnianych wdzięków powodowała zaburzenia w naszym męskim towarzystwie w sposób całkiem naturalny. Mała protegowana czy nie, młodsza siostrzyczka czy nie, kiedy coś jest ładne, to się na to patrzy. A Mała, ta spryciara, szybko zdała sobie z tego sprawę. Wystarczyło pełne podziwu gwizdnięcie, tak w żartach, i parę komplementów, by zrozumiała, że wszystkie te krągłości były powodem nowego rodzaju względów.

Zachwycona wiedzą o swojej atrakcyjności, będąc wolną dziewczyną, odkrywała teraz przyjemność, jaką daje prezentowanie swojej urody. Niektóre z jej prowokacji, całkiem dziecinnych, wprawiały nas czasami w zakłopotanie. Oczywiście wszystko to odbywało się bez żadnych brudnych myśli.

Wydaje mi się, że wołała mnie od innych, chyba że za dużo sobie wyobrażałem. Przy stole zawsze kładła na mój talerz podwójną porcję. Być może po prostu obliczała przypadającą na mnie rację odpowiednio do moich okazałych gabarytów. Wielokrotnie mówiła mi:

- Ja być twoją żoną, Elias.

- Ale to niemożliwe. Jesteś za młoda. Europejskie dziewczyny wychodzą za mąż później, wiesz. Jak są duże...

- Kiedy ja być duża, ja twoją żoną, Elias.

Ale jako że przysięgła to samo Montaignes'owi, który zaraz mi się pochwalił, nie miałem zbyt dużych złudzeń co do moich zaręczyn.

Śniadanie przeciągało się; upał szybko ogarniał taras. Tematem rozmowy był naturalnie M'Bumba.

* * *

W języku Kuju M'Bumba znaczy duch. Imię M'Bumba mogło zostać nadane wielu zwierzętom lub innym rzeczom w buszu. Znaczyło to dokładnie: „to, czym rządzi zły duch”.

Ten M'Bumba był starym, samotnym słoniem, bez jednego kła, podstępny i olbrzymim. W okolicy był już legendą; okaleczony M'Bumba, kulawy M'Bumba... terroryzował pobliskie rejony już od czterech lat. Zapewne został wypędzony ze swojego stada. Takie stare samce, oszalałe z powodu potwornych bólów zębów, tracą kontrolę nad sobą i w końcu szarżują na wszystko, co się rusza, nawet na własnych pobratymców. Ten, wypędzony ze stada, schronił się tutaj. Samotnicze życie nie wpływa dobrze na stare słonie. Gorzknieją, dostają ataków szału, wpadają w potworną i niszczycielską wściekłość. M'Bumba, stary kaleka, miał już na swoim koncie ogromne połacie lasu, plantacje, a nawet wioski takie jak nasza. Jego wściekle dalekie porykiwania spędzały ludziom sen z powiek.

Okaleczenie przyczyniło się jeszcze, o ile było to możliwe, do ugruntowania jego sławy. Lewy kieł miał skrócony do jednej trzeciej i, jak powiadali, wyostrzony jak szpadę. Miejscowi bali się go jak ognia. Przypisywali mu złowrogie zamiary i lisią przebiegłość. Jak to ma miejsce w przypadku wszystkich pięknych legend, najwyraźniej sporo zmyślali.

Szybko podjęliśmy w tej sprawie decyzję. Co też sobie wyobrażało to zwierzę? Że mogło bezkarnie wprowadzać burdel na naszym terenie? Nie. Zaatakowało nas. Więcej: sprowokowało. Jak najszybciej więc wyruszmy na jego poszukiwanie, znajdziemy je i zastrzelimy, jak wymagała tego logika.

* * *

Mieliśmy przed sobą dwa dni. Tak długo bowiem miała jeszcze trwać pełnia i trzeba było uszanować ten okres, w całej przyrodzie poświęcony miłości, podczas którego zarówno wśród ludzi, jak i zwierząt nikt na nikogo nie poluje.

Paulo, w samym podkoszulku, w słomianym kapeluszu na głowie dla osłony przed słońcem, ze szklanką Ricarda mocno rozcieńczonego wodą z lodem, podniecał się przy swoim kalkulatorku. Silnymi uderzeniami wskazującego palca walił w klawisze mamrocząc:

- Wyobrażasz sobie? Taki kiel!

Montaignes dostarczył mu, odpowiednio do wymierzonego odcisku nogi i na podstawie uczonych obliczeń, orientacyjne wymiary słonia. Paulo z tych danych szacował długość kła, a zatem i jego wagę, którą szybko pomnożył przez odpowiednią liczbę dolarów. Patrząc na wynik nie mógł powstrzymać okrzyków podniecenia.

- O, w mordę! Wyobrażasz sobie taki szmal? Coś ci powiem, nawet jeżeli ten cholerny słoń ma tylko jeden taki ząbek, to zarobimy na nim kupę forsy!

Ludzie Kuju mówili, że M'Bumba oddalił się na północny zachód, tam gdzie zwykle przebywał, w rejon prawie nieprzebytych gęstych lasów, do którego nigdy się nie wyprawialiśmy. Żeby się tam dostać, trzeba było płynąć w górę rzeki Sangha, która wpadała do Konga o paręset metrów przed naszą faktorią.

- He! He! - zaśmiał się Paulo. - Od dawna już korci mnie, by się tam wybrać. Podobno jest tam ostro. Nikt tam nie chodzi. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby właśnie tam znajdowało się cmentarzysko... Oj, cicho bądź, Elias! Wiem, co masz do powiedzenia...

Paulo marzył o znalezieniu cmentarzyska słoni, zawierającego bajeczną fortunę w postaci kości słoniowej, gdzie wystarczyło tylko się schylić i zbierać. Legenda o takim miejscu krążyła po okolicy - jak wszędzie tam, gdzie żyją słonie - i Paulo wbił sobie do głowy, że był tym wybrańcem, który je znajdzie. Bywały wieczory, w które po zażartych dyskusjach widzieliśmy to cmentarzysko w marzeniach. Najbardziej podatny na sugestie był Paulo. Montaignes, rozdarty pomiędzy nauką i pięknymi zwidami, nie wypowiadał się. Ja osobiście nie wierzyłem w to, ale sama legenda podobała mi się. Jeśli chodzi o polowania na słonie, takie odkrycie stanowiłoby naszą najwspanialszą przygodę. Ale nigdy nie udało się nam znaleźć niczego istotnego. Raz natknęliśmy się na szkielet, który dostarczył nam dwóch okazałych rozmiarów kłów, ale było to dalekie od marzeń, jakie snuliśmy podczas wspólnie spędzanych wieczorów.

Cmentarzysko, tajemnicza Afryka, najodleglejsze zakątki dżungli... Byłaby to

fenomenalna przygoda.

* * *

Montaignes, coraz bardziej zdenerwowany, palił papierosa za papierosem, wpatrywał się w przestrzeń, wracał do nas i dreptał w miejscu, co oznaczało głębokie zamyślenie. Przyglądałem mu się. W takim stanie łatwo mógł pośliznąć się i wpaść do wody albo Bóg wie co jeszcze! W jego oczach znów pojawiła się iskierka humoru, a zatem dobre samopoczucie wracało galopem.

Trzeba powiedzieć, że z całej naszej trójki Montaignes najboleśniej przeżył atak M'Bumby. Stracił przez niego wszystkie swoje „plantacje eksperymentalne”, jak je nazywał: obszerny teren starannie zaplanowany i nawodniony kosztem kilkumiesięcznych wysiłków, na którym próby uprawiania warzyw zaczynały przynosić dobre rezultaty. Podobny los spotkał wzniesione w przypływie szybko zapomnianej szczodroblewości ambulatorium, o które Montaignes dbał i które rozbudował. Praktycznie wszystko, co stworzył dla ludzi Kuju, zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Z pewnością podnosiła go na duchu myśl o zemście. Dowodziło to, że można być humanistycznym intelektualistą i mimo wszystko odczuwać przypływ agresji. Myśl o podjęciu wyprawy dla zabicia M'Bumby najwyraźniej sprawiała mu przyjemność.

- To gdzieś w stronę jeziora! - powiedział nagle. - Na północny wschód, w kierunku jeziora!

- Jeziora?

Montaignes zniknął, by pojawić się chwilę później, obładowany wszystkimi swoimi zwojami map rozłożonymi w wachlarz. Dwa upuścił na ziemię, trzy na stół, zaczął je rozwijać, wygładzać, przesuwając wszystkie naczynia.

- Tatave, pomóż mi, do jasnej cholery!

Wskazał palcem na środek ogromnej zielonej plamy.

- To tu! Jezioro Tebe, zwane także Jeziorem Dinozaurów! Podeszliśmy bliżej. Zwykle w naszych podróżach rzadko posługujemy się mapami. To Montaignes pokazał nam po raz pierwszy, gdzie znajduje się faktoria, toteż żywiłmy pewien szacunek dla jego wiedzy. A zresztą w ogóle wiadomości, jakie miał ten chłopak, były interesujące.

Ujrzałem błętny krąg, odpowiadający w rzeczywistości jakimś dwóm kilometrom średnicy, zagubiony pośród wielu setek kilometrów kwadratowych dziewiczego lasu, oznaczonego jasną zielenią. Tatave siedział jak małpka, z policzkiem przyklejonym do mapy,

i usiłował czytać okropnie zezując. Montaignes z trudem odsunął jego głowę i rozwinął drugą mapę, białego koloru, wyraźnie wcześniejszą.

- Popatrzcie, nie jest nawet prawidłowo wyrysowane na sztabówce. Dopiero na zdjęciu satelitarnym widać je wyraźnie.

- A dinozaury?

- Legenda zrodziła się na początku wieku, w czasie ekspedycji prowadzonej przez wariata Anglika, który był pewien, że znajdzie tam coś w rodzaju zaginionego kontynentu, z wielkimi żyjącymi gadami. Wszyscy zniknęli bez śladu.

- O rany...

- To nie wszystko! W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym francuska ekspedycja naukowa, złożona z biologów i przyrodników, wyruszyła w stronę jeziora, aby zbadać jego brzegi. W gęstej dżungli można spotkać setki mało znanych gatunków i podgatunków owadów i roślin...

- I co?

Montaignes uśmiechnął się ironicznie.

- Dali nogę. Tysiące najróżniejszych trudności, chorób. Jeden chyba nawet umarł. Zawrócili, nim zdołali dotrzeć nad brzeg jeziora.

Zaczynałem lepiej rozumieć. Montaignes chciał zostać pierwszym botanikiem - czy coś w tym rodzaju - który zbada Jezioro Dinozaurów. Nieźle zaczynaliśmy, jeśli wziąć pod uwagę przekłętą słońca, cmentarzysko i tajemnicze jezioro.

Mnie osobiście całkiem podobała się myśl o tropieniu tego zwierzęcia, podejściu go, wpakowaniu mu opancerzonej kuli w środek czaszki i ujrzeniu, jak ta ogromna masa wali się przede mną na ziemię.

Natychmiast po zachodzie słońca rozpoczął się koncert tam-tamów, o podniecających szybkich rytmach, i wiedzieliśmy, że potrwa całą noc: już trzeci wieczór ludzie Kuju świętowali, by uczcić pamięć zmarłych i dać wyraz swojej żałobie. Tłumaczyło to zresztą stan otępienia, jaki ogarniał ich w ciągu dnia. W innych okolicznościach pijaństwo trwałoby tylko jedną noc, ale fakt, że wśród ofiar znalazł się brat wodza, spowodował przedłużenie uroczystości. Walili więc zawzięcie w te swoje opróżnione pnie drzew, wydobywając z nich groźne dźwięki, jedne niskie i głuche, inne wysokie jak ludzki krzyk.

W dodatku owe trzy noce zbiegły się z tradycyjnym comiesięcznym świętowaniem pełni księżyca, który wzeszedł parę godzin później, ogromny i biały, kiedy we wszystkich zakątkach zdewastowanej wioski długimi czerwonymi językami płonęły już pochodnie.

Wydawało się, że grający na tam-tamach nie zmęczą się nigdy. Już od wielu godzin

walili w swoje instrumenty, ale kiedy na niebie ukazała się wielka srebrna tarcza, muzyka jakby stała się głośniejsza. Od dawna mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się w wir tańca. Wojownicy pomalowali twarze jaskrawymi farbami, które sami przygotowują, z jednej strony na żółto, z drugiej na czerwono. Wyglądali jak wypuszczone w nocy demony.

W centralnym punkcie wioski sabatem rządziła grupka kobiet wymalowanych na czerwono aż do ramion, z odsłoniętymi piersiami, w słomianych spódniczkach wokół bioder. Cała wioska szła za ich przykładem. Nigdzie nie tańczono tak frenetycznie, jak w tworzonym przez nie kręgu, rzęsiście oświetlonym pochodniami. Pochylały się, prostowały, czerwone ramiona i pośladki wirowały, nogi wyrzucane aż do wysokości piersi uderzały w ziemię w przyspieszonym rytmie.

Ludzie Kuju rozgrzali się w ciągu pierwszych dwóch wieczorów, w oczekiwaniu na dzisiejszy wybuch temperamentów. Powietrze ciężkie było od oparów trawki, którą zachłannie wszyscy palili. Dokoume, z którego zrobione były pochodnie, wydzielало gryzący dym o słodkiej woni, mający własności afrodyzjaku.

Tańce przechodziły w paroksyzmy. Wszystko stapiało się w jedną mglistą całość. Odblaski czarnych ciał, diabelskie twarze, rytmiczne ruchy tancerzy, błyski spódniczek kobiet, pojedynczy tancerze ogarnięci transem. Co pewien czas rozbrzmiewały litanie, podchwytywane i skandowane przez całą wioskę. Przewijało się w nich bezustannie imię M'Bumby...

Wybraliśmy sobie miejsce położone nieco na uboczu, z naszego kąta uczestnicząc w ogólnej żałobie. Mała przyszła z nami, niosąc swój tam-tam na ramieniu. Ale niebawem dołączyła do grupy muzyków i zajęła miejsce w wielkim muzycznym kręgu. Waliła z całych sił, najwyraźniej ogarnięta jak wszyscy owym świadomym szaleństwem, ową wyzwającą histerią, która stawała się coraz wyraźniej wyczuwalna i która nam, białym, udzielała się nadzwyczaj rzadko.

Tatave również nas porzucił, by oddać się tańcom. Kilka metrów od nas podrygiwała grupka dzieciaków, roześmianych i przyciśniętych jedno do drugich. Najmłodszy nie miał więcej niż dwa lata. Kołysał się komicznie, często się wywracając, z wielkim pępkiem wysuniętym do przodu.

Wśród tancerzy krążyło ibago. Jest to gatunek kory, który namoczony w winie palmowym z wielokrotnia pijackie upojenie, wzmacnia euforię i pobudza seksualnie. Mieliśmy własny zapas i efekty powoli dawały o sobie znać, pokonując nasze minorowe nastroje. M'Bumba zadał dotkliwy cios naszemu morale. Rozpieprzył dorobek rocznej pracy, inwestycji i naszej obecności w tej okolicy.

* * *

W tłumie rozlegały się zwierzęce wycia. Ibago opanowywało umysły. Tańce traciły rytm i zamieniały się w bezładną gestykulację, bez związku z dźwiękami bębnów, których odgłosy nabierały piekielnej mocy.

Zapach potu wzmógł się raptownie i opanował całą wolną przestrzeń, gorzka woń chwytła za gardło. Była silniejsza od woni wszechobecnego dymu, zwiastowała cielesne rozpasanie, była wonią piżma i miłosnych wezwań.

Czułem, jak ogarnia mnie upojenie. Ku własnemu zaskoczeniu głupawo szczęśliwi, wybuchaliśmy wszyscy śmiechem. Kobiety odrzucały spódniczki. Pary prowokowały się wzajemnie, stojąc twarzą w twarz. Mężczyźni trzymali się prosto, z dumnie wypiętą szeroką piersią, posuwając się skokami, z wysuniętym do przodu koronnym argumentem. Kobiety stały gotowe do oddania się, podając miednicę do przodu, z rozszerzonymi i napiętymi do granic możliwości udami, a ich biodrami wstrząsały, jakby niezależne od nich, niesamowicie szybkie drgawki.

O kilka kroków od nas młody samiec o żółtej twarzy, z czarną przepaską na głowie, ciskał się niczym diabeł. Podskakiwał w pozycji wyprostowanej, z rozłożonymi rękami i nogami, kręcąc się wokół własnej osi, jakby chciał rzucić wyzwanie wszystkim samicom w wiosce, a głowa latała mu na różne strony w gwałtownych konwulsjach. Dwie młode dziewczyny o długich cienkich mięśniach, nagie i pomalowane najwymyślniejszymi barwami, odchyłały się do tyłu naprzeciwko niego. Głowami dotykały niemal ziemi za swoimi plecami, w całkowitej pogardzie dla zasad równowagi; wydawało się, że ich stopy przymocowane są do podłoża. Pośrodku nieba świecił księżyc.

Teraz pary obejmowały się i biegiem opuszczały krąg światła, udając się w strefę cienia, skąd wkrótce zaczęły rozlegać się okrzyki rozkoszy. Były to donośne wrzaski, całkowicie nieopanowane, rozpasane wołania życia, które bardziej jeszcze wzmagaly podniecenie tancerzy. W środku nocy trzy młode, wymalowane i wyzywające dziewczyny dosiadły się do nas.

Afrykańska noc - upalna i naelektryzowana, którą przeżyć jeszcze można jedynie w takim oddalonym zakątku buszu, odciętych od świata.

Naczelnik wioski - nazywaliśmy go po prostu Wodzem - przyszedł do nas z wizytą wczesnym przedpołudniem. Był to kolos, który swoje stanowisko naczelnika zapewne zawdzięczał imponującej posturze, będącej wśród ludzi Kuju rzadkością, gdyż większość z nich jest średniego wzrostu. Trudno byłoby określić jego wiek, ale gość musiał być dosyć

stary, jeśli wziąć pod uwagę podziwu godny brzuch i budzącą szacunek liczbę dzieci.

Miał na sobie szorty i rozpiętą nylonową koszulę, którą zresztą nałożył wyłącznie z naszego powodu. Wśród licznych naszyjników i wisiorków poczesne miejsce na jego szerokiej piersi zajmowały podarowane przez nas okulary Ray-Bans. Wszedł bez ceregieli, pozostawiając na zewnątrz eskortę: dwóch wojowników uzbrojonych w łuki.

- I co, Wodzu? - zapytałem go na powitanie. - Katastrofa?

- Ooo! Niedobrze! Niedobrze! M'Bumba!

Zaledwie usiadł, gdy uwagę jego przykuł radiomagnetofon na stole i zaczął przy nim manipulować. Urządzenie to zawsze go fascynowało. Jego działanie zrozumiał prawie od razu. Odwrócił kasetę, nacisnął na przycisk „play” i słysząc muzykę zaśmiał się zadowolony.

Wielokrotnie mieliśmy okazję obserwować, jak bardzo inteligentny był ten facet, całkowicie pozbawiony tego wszystkiego, co nazywa się „kulturą”. Był wielkim myśliwym, słynącym z przebiegłości i znajomości dżungli, ale również doskonałym mechanikiem. Silniki Yamaha w naszych pirogach nie miały dla niego tajemnic. Kilkakrotnie uruchamiał je dla nas, podczas gdy każdy prawdziwy mechanik uznałby, że nadają się wyłącznie na złom.

Był bardzo sympatyczny i z właściwą sobie nieustającą jowialnością pomagał nam od początku naszego pobytu. Nigdy nie mieliśmy z nim żadnych problemów. Zapewne dostrzegał własne korzyści tam, gdzie one były, i z materialnego punktu widzenia miał rację. Ale żywił też dla nas prawdziwą sympatię i sprawiało nam to przyjemność.

* * *

Zgodził się napić trochę anyżówki Ricard. Alkohol nie pociągał go zupełnie, toteż nie mogliśmy dzielić z nim wszystkich skarbów naszej piwniczki. Ale z grzeczności zawsze wypijał nieco anyżówki, z dużą ilością wody. I tak za każdym razem Paulo musiał długo nalegać. Dla starego marsylczyka, pochodzącego z serca dzielnicy Vieux-Port, urodzonego ze związku gracza w kule i sprostytuowanej piosenkarki w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku, nie mogło być poważnej męskiej rozmowy bez kropelki anyżkowego aperitif.

Długo dyskutowaliśmy o napaści M'Bumby i nieszczęściach, jakie z tego wynikły, aż w końcu Paulo walnął się dłońmi po udach.

- No dobra. Wodzu, ale to nie wszystko. Damy ci teraz towar, co? Skoro już tu jesteśmy...

Jak zawsze przywieźliśmy z Kinszasy prezenty dla wioski: bele materiału, świece i zapalki, aspirynę i duże ilości skondensowanego mleka. Naczelnik każdy prezent przyjął z

pełnym godności ukłonem, po czym dalej czekał w milczeniu. Jego wzrok wędrował od jednego z nas do drugiego i Wódz nie potrafił pohamować lekko zaniepokojonego uśmiechu. Wszyscy wiedzieliśmy, czego się spodziewa, i Montaignes potęgował jeszcze jego niecierpliwość.

Wreszcie wyciągnął z kieszeni podłużną paczuszkę i podał mu ją.

- Dla ciebie również przywieźliśmy prezent.

Był to zegarek; ogromny, nierdzewny i wstrząsoodporny. Wódz założył go na prawy nadgarstek, przyjrzał mu się, spojrzał na zegarek Paula, przeniósł swój na lewy nadgarstek i zadowolony z rezultatu wybuchnął śmiechem. Uszczęśliwiony zaczął wykrzykiwać coś w swoim narzeczu, ściskając Montaignes'a swoimi grubymi łapami tak, że prawie go zadusił. Kiedy trochę się uspokoił, oznajmiłem mu:

- Wyruszymy na poszukiwanie M'Bumby i zabijemy go.

- Ooo! Niedobrze! Zostawić M'Bumbę. On przyjsć, on odejsć... Potem jeszcze przyjsć. Ty nic nie móc zrobić.

Uśmiech i cała jego radość zniknęły. Wywracał teraz swoimi ogromnymi oczami, z niepokojem na twarzy, i potrzasał przecząco głową, poszarzały ze strachu.

- Nie, Elias. Ty zostawić M'Bumbę. M'Bumba, zły duch!

Wbił palec w moją pierś, a następnie w pierś pozostałych dwóch.

- Ty, Elias, nie duch. Ty, nie duch. Ty, Montaignes, nie duch. M'Bumba - duch. Dużo niebezpiecznie. Dużo śmierć.

- Tak, Wodzu. Będziemy ostrożni.

- Nie! Duch niedobrze!

Widząc jego przerażenie Paulo uznał, że trzeba interweniować.

- Nasz Bóg strajkował - wyjaśnił. - To tłumaczy katastrofę, jakiej padliśmy ofiarą. Ale wrócił już do roboty i jego światłość spada na nas. Rozumiesz, wielki Wodzu? I możesz mi wierzyć, jest silniejszy od wszystkich duchów!

Wódz odrzucił wszelkie argumenty i oświadczył, że nie możemy wyruszyć na polowanie dopóty, dopóki ludzie Kuju nie zavezwą do nas duchów wrogich M'Bumbie.

- My zrobić uroczystość dla ciebie, ciebie i ciebie. Potem móc znaleźć M'Bumbę. Strzelby nic nie poradzić. Ty musieć mieć ochronę.

Wobec niepokoju Wodza i jego zdecydowania odmowa byłaby niegrzecznością, a nawet brakiem szacunku.

- Ty, ty i ty teraz przyjsć. Ja powiedzieć do wszystkich. Teraz pójść do czarownika. Niedobrze, niedobrze dla Kuju. M'Bumba nas nie lubić. Ty przyjsć.

Ludzie ci mają wizję świata opartą całkowicie na wierzeniach i obyczajach, które wpływają na każdą decyzję, na każde wydarzenie, a nawet na każdą czynność dnia codziennego. Postępowanie wbrew tym wierzeniom oznacza złamanie porządku życia; należy zatem tego unikać. Cały ten kontynent, wiedzieliśmy to z doświadczenia, wręcz kipiał od różnych historii o czarach, opętaniach i truciznach. Nasza wioska nie była tu wyjątkiem i posiadała własnego czarownika, osobę niezastąpioną, wyrocznię w każdej sprawie, a w szczególności, gdy trzeba było walczyć z urokami, jak w tym przypadku.

Nasz komfort i spokój naszej siedziby uzależnione były od stosunków z ludźmi Kuju. Zawsze szanowaliśmy ich rytuały i staraliśmy się je zrozumieć.

- O masz - jęknął Paulo przyciszonym głosem - będą nam teraz zawracać dupy jakimiś uroczystościami. Trzy godziny mamy z głowy. Powiedz mu coś! Wymigaj się!

- Nie można odmówić. Obrażą się.

- Jeśli można... - wtrącił Montaignes. - Wydaje mi się, że tym razem chodzi o ceremonię szczególną. Jestem ciekaw, jak ludzie Kuju zwalczają wrogiego ducha.

Paulo zmierzył go wściekłym wzrokiem, westchnął, na próżno szukając wyjścia, i zrezygnowany poddał się:

- Niech będzie, wielki Wodzu! Zgoda na mszę, kiedy będziesz chciał.

* * *

Cała wioska ruszyła procesją w kierunku siedziby czarownika.

- O kurwa! - stwierdził Paulo. - To poważna sprawa. Kupa luda!

Kroczyliśmy ścieżką prowadzącą do lasu. Ludzie Kuju nie byli specjalnie wysocy, ale atletycznie zbudowani. Skórę mieli koloru węgla. Ich nogi, przyzwyczajone do wypraw przez dżunglę, były nadzwyczaj mocne i łukowate. Wojownicy mieli głowy wygolone lub pokryte bardzo krótkimi włosami. Większość nosiła na czołach opaski z czarnej skóry. Niewielu tylko wzięło ze sobą łuki, ale jak zawsze każdy niósł w ręku lub za paskiem od szortów maczetę.

Minęliśmy grupki kobiet, które szły bez pośpiechu. Miały krótkie włosy, obwisłe piersi, wokół talii i bioder owinięte kolorowe materiały i były wysmarowane korzenną esencją, której zapach unosił się wokół nich. Większośćniosła niemowlęta, przymocowane do pleców płóciennym pasem.

Grupkami po czterech czy pięciu szli mali chłopcy. Często podchodzili, by dotknąć naszych rąk i cicho zaśmiewali się. Wielu młodych mężczyzn niosło na ramieniu bębny. Od czasu do czasu któryś z nich wybijał na swoim instrumencie werbel, tak dla wprawy.

Szliśmy tak dłuższy czas przez dżunglę i powietrze wokół było aż gęste. Okrzyki kobiet i dzieci, nagle werble tam-tamów, wszystkie dźwięki nabierały tu specyficznego brzmienia. Wreszcie wyszliśmy na wykarczowaną, nasłonecznioną polanę, pośrodku której stał dom czarownika; kwadratowy, drewniany, pokryty dachem z blachy i palmowych liści. Wejścia strzegły dwa totemy z rzeźbionego drewna. Dom otoczony był obszernym kręgiem utworzonym przez wbite w ziemię pale.

Czarownik był starym przygarbionym człowiekiem, którego twarz o młodzieńczym wyglądzie miała łagodny i życzliwy wyraz. Przyjął nas z uśmiechem, kiwając z zadowoleniem głową.

- Dzień dobry! Dzień dobry!

Jego oczy były w nieustannym ruchu. Kiedy na chwilę wzrok jego spotkał się z moim, byłem zaskoczony bijącą zeń siłą: widziałem dwa błyszczące czarne punkty, wyrażające głęboką inteligencję. Facet miał oczywiste zalety, nakierowane na intensywną wewnętrzną pracę mózgowca. Ona to sprawiła, że jego oczy nabrały takiej siły wyrazu, której jakby się wstydził, szybko odwracając wzrok.

Tłum ustawił się tworząc wielki krąg wokół nas i spokojnie usiadł. Drzwi wejściowe domu prowadziły do bardzo wąskiego korytarza utworzonego z drewnianych palików. Były na nich zawieszone najróżniejsze amulety, zwierzęce skóry, a także ludzka czaszka umazana ziemią. Wystawione na słońce w przekrojonych na pół plastikowych baniakach suszyły się bukiety jakichś ziół. Czarownik przywołał nas ruchem dłoni i zniknął w wąskiej kiszce, która pełniła w jego chacie funkcję przedsionka.

- Dzień dobry! Dzień dobry! - zapraszał nas do siebie jedynym znanym sobie francuskim słowem.

* * *

Najpierw dotarł do nad hałas. Donośne i agresywne syczenie, które sprawiło, że ciarki mi przeszły po grzbiecie, zanim dostrzegłem jego źródło. W pomieszczeniu było ciemno i wilgotno. Wokół rozchodził się obrzydliwy, kwaśny smród. Na umeblowanie składały się jedynie drewniane posążki, przedstawiające postacie ludzi i zwierząt. Pomiedzy nimi, gdzie nie spojrzeć, kłębiły się długie ciała węży.

Zmartwiałem, nie dowierzając własnym oczom, dostrzegając nie tylko ogromne węże boa, potężne, lecz niegroźne, ale także grzechotniki i zielono-żółte żmije, których pełno było w okolicy; ich ukąszenie jest śmiertelne. Na odgłos naszych kroków gady te zaczęły pełzać, i

teraz klębiło się już we wszystkich kątach. Paulo przylgnął do mnie, klnąc pod nosem. Montaignes zrobił się biały jak własna marynarka.

- Dzień dobry! Dzień dobry!

Czarownik machał do nas, żeby iść za nim. Ruszyliśmy więc gęsiego jak po sznurku, unikając gwałtownych ruchów i z mocno ściśniętymi pośladkami. Stary fakir zmiotł pył z maty leżącej na ziemi i uderzając dłonią w polepę dał nam znak, byśmy usiedli.

Uklękliśmy tak niewygodnie jak to tylko możliwe. Zdałem sobie sprawę, że gady otoczyły nas swoim klębowiskiem, zachowując jednak stałą odległość. Znajdowaliśmy się pośrodku trójkątnej przestrzeni, wyznaczonej trzema z grubsza ciosanymi posążkami, poza które żadne z tych paskudztw się nie wysuwało. Zadowalały się wyciąganiem ku nam kanciastych łbów i spoglądaniem na nas tymi swoimi martwymi oczyma. Wyczuwało się, że nie są przyjaźnie usposobione.

Stary debil, nasz gospodarz, poszedł na drugi koniec pomieszczenia, a szedł tak, jakby zupełnie nie przejmował się węzami, jakby nawet o nich nie myślał. Napił się trochę wody, którą następnie z dużym hałasem wypluł, po czym rozpoczął coś w rodzaju ćwiczeń oddechu, z dużą siłą kolejno napełniając płuca powietrzem i opróżniając je. W miarę, jak tak oddychał, z głębi jego gardła wydobywać się zaczęła monotonna litania.

- Aram, Aram, Aram. Aram, Aram, Aram, Aram, Pssssssssh... Aram, Aram, Aram...

- Zanosi się na dłużej - zgrzytnął zębami Paulo.

Otarł pot z twarzy i piersi, ukradkiem rozglądając się dookoła.

- Kurwa! Niezbyt przyjemnie z tymi świństwami dookoła. W dodatku kolana bolą jak cholera!

- Aram, Aram, Aram...

Czarownik podniósł wazę wypełnioną białym, gęstym płynem. Przez klębowisko węży przebiegł jakby dreszcz. Napełnił kubek i wypił zawartość długimi łykami. Wydał przenikliwy okrzyk i ponownie nalał sobie porcję. Jeszcze jeden okrzyk, jakby szczerzenie małego psa, i tym razem napił się prosto z wazy, obficie wylewając płyn na piersi.

Jego skóra błyskawicznie pokryła się potem. Podeszedł do nas i każdemu nalał po kubku swojej mikstury. Oczy wychodziły mu z orbit, jak dwa żarzące się węgle. Cały drżał, wydając dziwne okrzyki. Sam płyn był lepki, śmierdzący, gorzki i ostry w smaku. Stary szcekał nam przed nosem, pilnował nas węże. Wypiliśmy, żeby go nie urazić...

W tej samej chwili na zewnątrz rozpętała się burza tam-tamów. Rozległy się szybkie i niewiarygodnie głośne werble, a chata stanowiła prawdziwe pudło rezonansowe. A może działała tak moja głowa?

Walili dookoła. Łoskot zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, po czym zaczął się przemieszczać wokół domu. Pod wpływem hałasu wkrótce zacząłem mieć trudności z uporządkowaniem myśli. Nagle zdałem sobie sprawę z panującego upału. Koszulę miałem moką, kleiła mi się do ciała. Nie był to skutek słońca prażącego nad blaszanym dachem. Gorąco pochodziło od wewnątrz, od ognistej kuli, która sprawiała, że cały się gotowałem i ociekałem potem.

W ostatnim świadomym odruchu ogarnął mnie strach. Moje gardło zaczęło nagle palić. Gwałtownie puchło, było wysuszone, groziło mi uduszenie.

Co się działo? Jakie świństwo facet kazał nam wypić? To trucizna! Byliśmy w pułapce! Straciłem poczucie równowagi i popadłem w halucynacje.

* * *

Wszystko dostrzegałem już tylko we fragmentach, w przebłyskach, wśród szalonego bicia bębnow. Twarz czarownika, wykrzywiona w potwornym wrzasku, którego nie słyszałem, gwałtownie przybliżała się i oddalała. Choć on sam wydawał się być daleko, jego twarz rozrastała się niepomrotnie i przyglądała mi się z bliska.

Niedostrzegalne zmiany jego rysów zamieniały jego twarz w odrażającą maskę zniekształconą grymasem, z olbrzymimi zębami, które rosły w mgnieniu oka; potem nagle twarz wracała na swoje miejsce tam, w kącie, nad małym zgarbionym ciałem, które pozostawało z tyłu.

Podczas krótkotrwałych przebłysków świadomości rejestrowałem walenie w bębny. Lecz ich bicie porywało mnie i unosiło w piekielnym transie, jak demoniczne i prymitywne dolby stereo. Wkrótce przestałem słyszeć jakiekolwiek dźwięki. Pozostawały tylko karkołomne pętle, wycinane przez mój umysł pod wpływem wariackich rytmów.

* * *

Patrzyła na mnie głowa węża. Głowa dokładnie kwadratowa. Była ładnego przejrzysto-zielonego koloru, a pośrodku przebiegał żółty pasek, na którym rozróżnić mogłem poszczególne błyszczące łuski. Wzdrygnąłem się i upadłem w nieokreśloną pustkę do tyłu, kiedy języczek węża wystrzelił precyzyjnie w kierunku mojej twarzy. Ogarnęła mnie fala strachu i poczułem się jak sparaliżowany, gdy żmija otworzyła paszczę. Wyraźnie dostrzegłem jej kły, ściekający strumyczek śliny i gardziel rozwartą jakby w krzyku. Wąskie

oczka zahipnotyzowały mnie i poczułem, jak przenika mnie groźba zimnej, wykalkulowanej nienawiści.

* * *

I płynęło tyle krwi! Strumień krwi pochodził z mojej dłoni, z nacięcia, które wydawało mi się potwornie głębokie i rozległe...

Nie. To była jedynie mała strużka krwi. Czarownik skaleczył mnie i teraz trzymał mnie za rękę tak, że krew skapywała na posążek kobiety o nienaturalnie wielkim przyrodzeniu. Miętosił moją dłoń i pastwił się nad skaleczeniem. Niepokój powrócił. Dlaczego krew nie przestawała płynąć? Płynęła tak już od wielu godzin. Teraz skapywała na szarą kobiecą opaskę. Padały na nią ogromne jaskrawoczerwone krople, natychmiast wchłaniane przez materiał. Stary zboczeniec chciał mnie wykrwawić...

* * *

Paulo trzymał się oburącz za głowę, ogarnięty niewypowiedzianym cierpieniem. Po jego policzkach spływały wielkie łzy. Przyglądał się, nie wiadomo czemu, gdzieś bardzo wysoko, i konwulsyjnie coś szeptał. W każdym punkcie pokoju widniała głowa węża, czarna, czerwona, albo taka ładna przejrzysto-zielona, i patrzyła na mnie nieruchomo.

Montaignes, z ręką uniesioną do sufitu, deklamował coś. Chciał przekrzyczeć bębny, lecz z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Okulary opadły mu na sam czubek nosa. Oczy miał czerwone jak albinos. Z jego wzniesionej ręki także nieustannie płynęła strużka krwi.

Otrzymałem cios w tył głowy.

Wielki biały błysk i nic więcej.

Przebudziłem się, jakbym wynurzał się z czegoś bardzo czarnego. Przez kilka minut pozostawałem nieruchomo, bezmyślnie patrząc na sufit z przeplatanych palmowych liści. Nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu ani nawet w myślach wydać polecenie jakiegokolwiek gestu, tak sztywne miałem ciało.

Powoli wracało czucie. Rozpoznałem sufit, potem byłem już w stanie otrzeć sobie twarz i wyprostować się pod moskitierą. Natychmiast pojawiły się wszystkie symptomy kolosalnego kaca. W dodatku czułem ostry ból w ręce, na której się podparłem.

Obie dłonie miałem rozcięte na całej szerokości, prawie u nasady palców. Były to dwa nacięcia uczynione za jednym zamachem, i z pewnością przy użyciu maczety. Stopniowo

wracały strzępy wspomnień poprzedniego dnia, obrazy węży i dźwięki bębnow.

Obejrzałem swoje ciało pojękując, sprawdziłem w lustrze twarz, nie stwierdzając specjalnych spustoszeń, po czym stanąłem przy oknie. Nad rzeką był już jasny dzień. Osowiały spędziłem długą chwilę na bezmyślnym gapieniu się w zieloną wodę. Od czasu do czasu z niedowierzaniem spoglądałem na okaleczone dłonie. W końcu zdołałem wypowiedzieć trzymające się kupy zdanie:

- Wszyscy powariowali w tej okolicy!

Paulo ryczał:

- Kutasowski burdel! Co ty mi tu opowiadasz!

Usłyszałem go, zanim dotarłem na taras, gdzie siedział przy stole z Montaignes'em. Dołączyłem do nich ciężko wzdychając. Paulo potrafił być bardzo męczący dla kogoś, kto przede wszystkim potrzebował spokojnie zjeść śniadanie i napić się gorącej kawy.

A kutasowski burdel należał do jego typowych przekleństw z kategorii „Wielki Gniew”.

- O mało nas nie otruł, do jasnego chuja! Ty byś mu na to pozwolił, do cholery! Żeby zobaczyć gwiazdy, wypiłbyś byle co! A! Jesteś wreszcie! - rzucił w moją stronę zamiast powitania. - Dobrze się składa. Wiesz, co on wygaduje?

Ojoj! Zwracał się do mnie. Montaignes, zachwycony okazją wymknienia się spod ostrzału, tchórzliwie pochylił się nad swoim kubkiem kawy.

- Opowiada mi, że przeżywamy tu wzbogacające doświadczenia.

Wzbo-ga-ca-jące! Ten stary wariat chciał nas zabić tymi swoimi gadami i miksturami! Nawet nie mogłem już złapać oddechu! I gorąco mi było, jakbym był w piekle!

Ciskał się ze wzniesionymi obiema rękami, rozwścieczony, z wytrzeszczonymi oczami, a jego złość nieustannie rosła.

- A ta historia z maczetą po dłoniach? Może uważasz, że to normalne? Wzbogacające? Sukinsyn! Masochista! Narkoman! Co za cholerny burdel, Montaignes! Co ty w ogóle masz w głowie?

- Dosyć już tego! Daj mi spokój!

Montaignes walnął kubkiem w stół. Z jego strony był to niecodzienny objaw zdenerwowania. Jego bladeść, malutkie oczka i wymięte ubranie, w którym najwyraźniej przespał noc, wskazywały, że także jest w złym humorze. Paulo denerwował go, choć Montaignes zmuszał się do zachowania spokojnego tonu.

- Mówiłem ci po prostu, że przeżyliśmy doświadczenie z halucynacjami, coś niezwykłego. Ten płyn, który wczoraj piliśmy, to jakiś kompot. Za pomocą paru ziół i garnka

temu facetowi udaje się sporządzić coś równie mocnego, jak LSD, wywołującego podobne efekty psychotropowe. I to właśnie jest niesamowite.

- Bzdury! Że ty lubisz się narkotyzować, nie oznacza jeszcze, że wszyscy...

- A to wywoływanie ducha? To fantastyczne! Wspaniałe! Montaignes przyjrzał się nam kolejno, podciągnął okulary na nosie i złączył dłonie ruchem starego profesora.

- Rozumiecie, na czym polega to doświadczenie? Czarownik wezwał ducha i sprowadził go do nas drogą krwi. Przeżyliśmy inicjację! Jesteśmy teraz ujemną siłą M'Bumby, jedynymi, którzy mogą mu się oprzeć. Zrozumieliście?

- To wszystko jakieś pieprzenie! Bełkot! Co, Elias? Ty mu coś powiedz...

* * *

Kłótnie i urazy trwały przez kilka godzin. Spędziłem je myśląc o czymś innym, nie mając ochoty się do tego mieszać. Kompot? Odjazd? Faktycznie określenia te najlepiej pasowały do mikstury, jaką przyrządził nam czarownik. Na tym kontynencie to nic nadzwyczajnego, tu ćpa się na potęgę, szczególnie w bardziej odległych okolicach. Zejście Wielkiego Ducha do naszych nędznych cielesnych powłok? Taki był niewątpliwie cel fakira.

W tej okolicy plemiona podlegają prawom wudu. Tego samego wudu, który dotarł z niewolnikami aż na Karaiby. Wudu umieszcza duchy w każdej rzeczy, zawsze gotów jest wymierzyć karę lub wykręcić paskudny numer. Jest niesamowicie potężny i wymyka się wszelkiej ludzkiej kontroli. Ale można go przemieszczać, „wślizgiwać” w obojętnie jaką rzecz, zwierzę lub człowieka, jak baterię elektryczną, którą umieszcza się w jakimś urządzeniu. I ta właśnie energia może na przykład leczyć choroby, a także, jak mówią, ożywiać zmarłych.

Wiele podróżowałem i przeżyłem liczne uodporniające doświadczenia. Szkoda czasu na opowiadanie mi o wierzeniach w jakiegoś boga albo w jakąkolwiek siłę dobra. Idę przez życie według swoich własnych zasad: starając się nie czynić wokół zbyt wiele zła. Jestem bowiem przekonany, że życie jest jedno i że trzeba je wykorzystać od razu. Religie, legendy, tamten świat, duchy, a zwłaszcza tajemne nauki, wszystko to dla mnie bajki.

Ale w Afryce, muszę to przyznać, dzieją się rzeczy dziwne. Mam pewne doświadczenie w sprawach tego kontynentu i stwierdziłem tam, w większym stopniu niż gdziekolwiek indziej, liczne przypadki otruc, ciemnych spraw, uroków prowadzących do śmierci z nie wyjaśnionych przyczyn. Byłem również świadkiem licznych transów i dziwnych napadów opętania.

To pewne, w Afryce są różne tajemnice.

* * *

Mała przytuliła się do mnie, ujęła moje dłonie i pogratulowała mi przesuwając swój drobny paluszek po ranach. Swoją łamaną francuszczyzną mówiła mi, że jestem Wielkim, bardzo Wielkim Duchem, i ocierała się o mnie, zaczepna i pełna udawanego podziwu.

- Ja robić. Ty czekać, nie ruszać się.

Zakrzętnęła się w kuchni, ucierając! mieszając wonne zioła i kawałki ogromnych orzechów, przy czym kręciła swoją małą pupką w sposób nieznośny.

- Czekać. Ja leczyć.

Wkrótce uzyskała jasną, płynną papkę podobną do kleju. Robiąc liczne minki i zaśmiewając się, zmusiła mnie do zanurzenia bezpośrednio w niej dłoni i długo masowała obie moje rany opuszkami kciuków.

- Ty teraz wszystko dobrze. Ty ręce do góry, nie ruszać się! I z cichym śmiechem pozostawiła mnie tak jak pokutnika, z dłońmi wzniesionymi w powietrzu, oczekującego, aż mikstura wyschnie, a sama zabrała się do leczenia pozostałych dwóch Wielkich Duchów.

Kiedy tylko lakier zaczął się łuszczyć, przestałem odczuwać jakikolwiek ból. Jeszcze tego samego wieczoru, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, na dłoniach pozostały tylko białe kreski, ledwo wyczuwalne. Naturalnie Mała odmówiła wszelkich wyjaśnień, oświadczając jedynie, że czarownik dziś rano kazał komuś przynieść przed próg naszego domu pewne składniki cudownej maści.

* * *

Potem nastąpił alarm bojowy. Już skoro świt Paulo był na przystani, ciskając się wśród gromadki roześmianych ludzi Kuju, w ogólnym rozgardiaszu krzyków, bieganiny i stosów skrzyń.

Dla Starego, który sam mianował się szefem intendentury, nadrzędna reguła wszystkich naszych wypraw została raz na zawsze ustalona:

- Dżungla, zgoda. Ale ma być sucho pod dupą i żadnego robactwa. Ma być komfort!

A ponieważ polowanie na M'Bumbę różniło się od zwykłych wypadów, jako że był to taki nasz mały luksus, Paulo nie zamierzał robić oszczędności. Zgodnie z nowymi zasadami, głoszącymi, że „tym razem nie mamy najmniejszego, ale to najmniejszego zamiaru się

nudzić”, główny intendent opróżniał magazyn faktorii.

* * *

Wyruszyliśmy trzema pirogami, największymi, jakimi dysponowaliśmy. Były to lekkie łodzie długości około dziesięciu metrów, każda wyrzeźbiona z jednego pnia drzewa, szerokie i wyposażone w silniki czterdziestkipiątki. Dwie by wystarczyły, ale Paulo chciał jedną przeznaczyć wyłącznie na potrzeby kuchni i transport jedzenia, bo podczas poprzednich polowań wielokrotnie już uskarżał się na brak pod ręką „pływającej stołówki”.

Ponadto musieliśmy zabrać mały generator, dwudziestopięciokilowe dzwono mięsa, wielką dwustulitrową beczkę ropy, skrzynię z narzędziami... No i oświetlenie: gazowe lampy z dziesiątkami zapasów, latarki elektryczne, pudełka z bateriami oraz zestaw pięciu potężnych reflektorów, każdy z osobnym trójnogiem.

Do kuchni mieliśmy dwie kuchenki gazowe i zapasowe butle, całą rozdętą baterię kotłów, garnków i różnych innych naczyń. Aby mieć „sucho pod dupą”, zabraliśmy dziesiątki metrów plandek i plastikowych osłon, składane łóżka polowe z brezentu khaki rozpiętego na drewnianych kołkach, a także - a jakże! - dopasowane do nich materace, śpiwory i wojskowe koce. Mieliśmy zadziwiającą moskitierę, obszerną niczym sklepienie kościoła, która wieczorami miała nam pozwalać na zabezpieczenie przed owadami całego obozowiska. Oprócz tego każdy z nas miał swoją własną, nie licząc zapasowych. Wyposażenie uzupełniały stoliki kempingowe, składane krzesła, maczety, łopaty, młotki, ostre narzędzia, mydło, szampony i szczoteczki do zębów.

Jedzenie, zapakowane w kilku żelaznych kufrach i w niezliczonych jutowych workach, zajmowało ogromną przestrzeń. Paulo zabrał wszystkie puszki konserw, kilogramy ryżu, makaronu, cukru, oliwy, kawy i innych rzeczy, o których już nie wspomnę. Kazał także załadować skrzynkę Chateau-Monbrisac rocznik 1976. Znaleźliśmy to wino, zupełnie wyjątkowy trunek, na czarnym rynku w Brazzaville. Zapewne pochodziło od jakiegoś notabla, któremu francuski oficjał dał drobny upominek, a ten właśnie potrzebował pieniędzy...

Na nasz arsenał składały się liczne noże i dwadzieścia pudełek całkowicie lub częściowo opancerzonych pocisków z ładunkiem nitro. No i, upakowane w wodoszczelnej skrzyni, trzydzieści lasek dynamitu z zapalnikami.

Trzydzieści? Byłem zaskoczony, ale Paulo odpowiedział mi, odwracając wzrok, że były potrzebne do łowienia ryb. Ryb? Fakt, że w rzece roiło się od wielkich, pysznych ryb,

ale jedna jedyna laska zapewniłaby nam filetów na dwa tygodnie. Ryby nie były jedynym wytłumaczeniem.

Prawda była taka, że Paulo lubił wielkie wybuchy. Podczas wszystkich przygód, jakie wspólnie przeżyliśmy, zawsze musiał coś wysadzić w powietrze. No ale w końcu tym razem ruszaliśmy jedynie na polowanie. Nie była to nawet wyprawa. Raczej safari. Czy takie ilości dynamitu nie stanowiły pewnej...

- Lepiej za dużo niż za mało - uciał Paulo.

I więcej nie powrócił już do tego tematu. Stary zabrałby nawet czołg, gdybyśmy taki mieli w magazynie.

Były też oczywiście trzy karabiny, gotowe do załadunku, w nierdzewnych futerałach. By polować na słonie, człowiek zmuszony był wynaleźć broń dużego kalibru, jednostrzałową, ale o wielkiej prędkości początkowej i ogromnej mocy. Bo słonia nie daje się zabić podstępnie! Trzeba strzelać stojąc naprzeciw niego, żeby trafić w czaszkę, podejść na mniej niż dwadzieścia metrów, a on wtedy człowieka widzi. Nie ma to nic wspólnego ze spokojnymi i egzotycznymi słoniami z kenijskich rezerwatów. Na człowieka rzuca się góra mięśni, wielka jak ciężarówka, wściekła i dzika, opętana instynktem zabijania.

Słoń jest królem zwierząt. Z całej fauny jest najpotężniejszy, najinteligentniejszy, a jego siła nie ma sobie równych. Nawet wielkie drapieżniki dają mu spokój, pod groźbą bezlitosnego stratowania i rozerwania na strzępy.

Toteż broń mieliśmy doskonałą: Weatherby 478, ogromnej mocy, ulubiony karabin Paula. Ja miałem Winchestera Express. W rękach Montaignes'a wylądował zwykły Winchester 375. Wszystko to broń pewna, szybka, potężna; nie istnieje nic lepszego.

* * *

Pirogi były gotowe późnym popołudniem. Wyjazd przewidziano nazajutrz o świcie. Podczas gdy zamocowywano ostatnie ładunki, w powolnym tempie końca dnia przystąpiliśmy do werbunku. Przede wszystkim potrzebowaliśmy sprawnej intendentury. Tylko dobra organizacja pozwala na uniknięcie materialnych problemów, takich jak moskity, pasożyty, wilgoć znad mokradeł i wycieńczenie wywołane całodziennym tropieniem. Potrzebowaliśmy do tego co najmniej dwóch osób.

Paulo i Montaignes chcieli dobrze jeść. Ja też byłem za. Zaangażowaliśmy więc jednomyślnie Małą. Była młoda, ale potrafiła gotować i to w dodatku tak, jak lubiliśmy. Ponadto miała wrodzoną znajomość dżungli i czuła się w niej zupełnie swobodnie. Wreszcie

sama poprosiła Paula, żebyśmy ją zabrali, i w razie odmowy rozpętałoby się piekło.

Do pomocy na tym stanowisku przydzieliliśmy jej Octave'a. Nie był to może najlepszy nabytek, ale pod rozkazami Małej mógł okazać się pożyteczny. Poza tym mieliśmy go pod ręką. Paulo przeciął dyskusję oświadczając, że udział u naszego boku w ekspedycji będzie dla Tatave, jak go nazywał, bardzo pouczający.

I Tatave wyruszył z nami, niestety!

* * *

Początkowo mieliśmy zamiar wziąć na tropicieli ludzi Kuju. Zналиśmy w wiosce czterech czy pięciu, z którymi pracowaliśmy już wcześniej. Udaliśmy się więc do Wodza, zgodnie ze zwyczajami, by prosić go o powierzenie nam dwóch swoich chłopców, na zwykłych w takich przypadkach warunkach i z odpowiednim uposażeniem.

Ale w wiosce trwały prace. Nad rzeką stojące po kolana w błocie kobiety formowały wielkie lepkie cegły, które mężczyźni przenosili i montowali. Wszędzie widać już było zaczątki ścian. Wszystkie grupki, które nas pozdrowiały, pochłonięte były pracą. Nie mogliśmy pozbawiać Wodza dwóch ludzi w chwili, gdy potrzebował każdego z nich. Zrezygnowaliśmy i zamieniliśmy nasz spacer w kurtuazyjną wizytę. Weźmiemy na tropicieli dwóch spośród Małych Ludzików, którzy żyją w dżungli nieco dalej z biegiem rzeki..

* * *

Wódz przybył na przystań o świcie, kiedy zabieraliśmy się do odpłynięcia. Był w otoczeniu ośmiu wojowników, którzy natychmiast odłożyli łuki i weszli do wody, by pomóc odciągnąć pirogi od brzegu.

- Żegnaj, Wielki Wodzu! - rzekłem do niego z pokładu łodzi. Kiedy tak patrzyłem na niego, monumentalnych rozmiarów, wprawiającego swoim ciężarem w drżenie całe molo, ogarnęło mnie przeczucie, że być może odchodzę na dłużej, niż zamierzałem.

- Uważaj na wszystko, dobrze, Wielki Wodzu? Powierzamy ci nasz dom.

- Tak, tak! Ty uważać M'Bumba.

- Ależ tak, ależ tak! - krzyknął Paulo, najwyraźniej zaniepokojony, że szykuje się nowa ceremonia. - Będziemy uważać. Obiecuję.

Wojownicy wypchnęli pirogi na otwartą wodę. Przez chwilę płynęliśmy z prądem. Niebo było ciemnoniebieskie, zapowiadał się piękny dzień; chłodny i cichy. Woda była

gładka i całkowicie spokojna.

Oddalaliśmy się. Stojący na przystani gigantyczny Wielki Wódz machał nam ręką i śmiejąc się pokazywał na swój zegarek.

Paulo zapuścił silnik.

Część druga

Od trzech kwadransów stałem na dziobie pirogi, przed ładunkiem, obserwując brzegi i odczuwając coś jakby początek niepokoju. Od kilku dni płynęliśmy w górę rzeki Sangha, szerokości około trzydziestu metrów, której wody o zachodzie słońca przybierały kolor ciemnej butelkowej zieleni. Przez pewien czas płynęliśmy przez nieprzyjemną strefę mokradeł, pełną meandrów i łach. Tutaj brzegi były już gładkie i za nimi rozciągała się żółta sucha sawanna, na której tu i ówdzie widać było drzewa. Zachodzące słońce oświeślało tę rozległą nizinę ognistymi blaskami.

- Tam, Paulo! Tam, na tym cypelku!

Z brzegu wchodził w wodę dziesięciometrowy przylądek. Można było dostrzec zakole otoczone gołą ziemią, stanowiące naturalną przystań dla naszych pirog. Paulo dostrzegł już to miejsce i przesunął ster. Trzy pirogi dopłynęły do brzegu i wyciągnęliśmy je do połowy.

Wszyscy przecierpieliśmy ostatnie trzy dni. Powszechne było pragnienie komfortu i odpoczynku, toteż każdy, zaciskając zęby, żwawo zabrał się do przygotowania obozu. Najpierw rozpalone zostały ogniska na kuchnię. Mała, która wraz ze stanowiskiem intendenta zyskała nowy autorytet, nieustannie pokrzykiwała na Tatave cienkim i donośnym głosem, zirytowana, że chłopak nie rusza się dostatecznie szybko. Pomstując bezustannie, oświetlona płomieniami ognisk, krzątała się nad kotłami. Tatave, który znosił jej rzeczy z pirogi, zataczał się pod ciężarem ładunku i widać było tylko jego nogi przebiegające pod stołem paczek.

Małe Ludziki, nasi dwaj tropiciele, czyścili okolicę wielkiej sosny rosnącej niecałe dwadzieścia metrów od brzegu, szykując miejsce na obozowisko. Biegając jak krasnale na swoich krótkich nóżkach odciągali wielkie martwe gałęzie i hałasowali, by wypędzić z okolicy wszelkie żywe stworzenia.

Przez ten czas Montaignes, Paulo i ja bez słowa podzieliliśmy między siebie rozładunek. Siedzący w pirodze intelektualista podawał nam dziesiątki kufrów, worków i innych przedmiotów, które nosiliśmy pod wielkie drzewa. Odległość nie była duża, ale to chodzenie tam i z powrotem szybko zamieniło się w mękę. Byłem zlany potem i żarły mnie komary, brakowało mi sił. Ciągle natykałem się na Paula, zgiętego pod ciężarem, pocącego się i mamrocącego przekleństwa. Ostatnie trzy dni kosztowały nas sporo fizycznego wysiłku i zaczynaliśmy porządnie odczuwać zmęczenie.

Po zakończeniu przenoszenia rzeczy Paulo wezwał Małe Ludziki i posłał je na

drzewo, by rozpięły wielką moskitierę. Dla Montaignes'a i dla mnie był to wyścig z zapadającą nocą. Trzeba było wokół obozu rozmieścić pięć reflektorów, pozawieszać girlandy żarówek, rozwinąć dziesiątki metrów kabla, wszystko to podłączyć i doprowadzić prąd z generatora, który został na pirodze. Silnik zapalił natychmiast, kolejno rozświetlając reflektory. Moskitiera błyszczała pośrodku tego kręgu światła jak wielki namiot z białego tiulu. Nasze sylwetki rzucały fantastyczne cienie. Nie będziemy musieli jeść po omacku...

Teraz ciepła i relaksująca kąpiel w rzece, dobry posiłek zjedzony w milczeniu, przerywany jedynie westchnieniami rozkoszy, butelka Chateau-Monbrisac, i wszyscy pośpieszyli do łóżek.

Dopiero nazajutrz rano. o świcie, odkryłem raj na ziemi, w którym znaleźliśmy gościnę. Proszę sobie wyobrazić nie kończącą się nizinę, nieco przypominającą gigantyczne pole pszenicy, lecz o nieco ciemniejszym odcieniu. Rzeka płynęła prosto, spokojna i zielona. Odległy horyzont ginał w drgającym z gorąca powietrzu.

Woda w naszej małej zatoczce była szczególnie spokojna. Długonogi biały ptak, który brodził w niej łowiąc ryby, na mój widok odleciał. Potężnymi uderzeniami skrzydeł sunął tuż nad wodą, by zniknąć w końcu gdzieś za rzeką.

Siedząc w kucki nad resztkami ogniska, na matach położonych bezpośrednio na ziemi, dwa Małe Ludziki szczebiotały w swoim dziwacznym narzeczu. Podobnie jak każdego ranka wstały przed wschodem słońca, by ruszyć na polowanie, i powróciły z wielkim szarym indykiem, z dużą raną postrzałową pod skrzydłem. Małe Ludziki to doskonali myśliwi. Bardzo celnie strzelają ze swojego garłacza do zwierzyny, którą wcześniej zręcznie wykryły i podeszły. Ruszają na polowanie tylko z dwoma nabojami i najczęściej jeden z nich przynoszą z powrotem.

Mała, która już od pewnego czasu w milczeniu krzątała się przy kuchni, przyniosła mi wielki kubek gorącej słodkiej kawy. Łapię jakiś fotel i sadowię się twarzą do słońca, zdecydowany niczego nie stracić z otaczającego mnie krajobrazu.

* * *

Trzy ostatnie dni stanowiły trzy ciężkie etapy. Od początku podróży płynęliśmy w górę rzeki Sangha, która wkrótce, po paru godzinach, zamieniła się w obszerne mokradła: ogromną przestrzeń, pokrytą trawiastymi wysepkami, które oddzielały meandry często okazujące się jedynie wąskimi strumyczkami, przerywanymi od czasu do czasu wielkimi i zdradliwymi błotnistymi kałużami, a ominięcie ich wymagało wiele wysiłku. Gdzeniegdzie

posuwanie się naprzód utrudnione było przez nieprzebyte gąszcze krzewów o korzeniach głęboko wczepionych w błoto, a wilgotne powietrze przylepiało ubrania i włosy do skóry. W ciągu dnia, szczególnie w czasie pierwszych godzin popołudniowych, słońce zapamiętało usiłowało nas ugotować.

Sunęliśmy naprzód pokonując trasę krótkimi etapami, płynąc przez nie więcej niż godzinę lub dwie, po czym ruszaliśmy pieszo w głąb łądu; wracaliśmy po dwóch godzinach i zaczynaliśmy nową wycieczkę. Były to długie marsze w błocie, wyczerpujące i nawet niezbyt ciekawe.

Oczywiście trafialiśmy na ślady. Właściwie nie było tam nic innego: ślady o średnicy osiemdziesięciu centymetrów, Rozgniatane krzaki, szerokie korytarze wydeptane wśród krzewów. Ale zwierzę wyprzedzało nas z takim zapasem, że nie mogliśmy go dogonić. Najwyraźniej zdecydowanie postanowiło iść w kierunku północno-zachodnim, wzdłuż rzeki, od której nigdy zbyt nie oddalało. Podobnie jak my widocznie nie miało ochoty, by wiecznie tkwić na tych mokradłach.

By podążać za nim i zmniejszyć odległość, zmuszeni byliśmy maksymalnie skrócić nocne postoje. Plastikowy worek, śpiwór ani czas, ani teren nie pozwalały na urządzenie obozowisk. Sen w tak niewygodnych warunkach nie przyniósł nam ani razu odpoczynku od chwili wyruszenia. Na nowo odkrywaliśmy tysiące drobnych niedogodności ekspedycji, przemoczone ubrania, zamoknięte zapalki, śmierdzące skarpetki i ataki komarów, mnóstwo szczegółów, o których nigdy nie pamięta się po powrocie do cywilizacji.

Od wczoraj weszliśmy na tereny bardziej suche i bardziej gościnne. W ciągu dnia dokonaliśmy trzech wypadów i znaleźliśmy ciepłe jeszcze odchody M'Bumby. Nabraliśmy więc przekonania, że był gdzieś w okolicy. Potwierdzały to Małe Ludziki. Zarówno dla niego, jak i dla nas była tu wreszcie okolica przyjemna po mokradłach, które wszystkim zalały za skórę. Zwierzę z pewnością przez jakiś czas będzie odpoczywać w tych sawannach.

Całe szczęście, że Małe Ludziki były z nami! W terenie nic nie zastąpi pomocy tubylcy. Pozwolić mu pracować, to najlepszy sposób na uniknięcie głupstw. Całkowicie w swoim żywiole, biegając tu i tam, Małe Ludziki, jak się wydawało, odnajdywały ślady M'Bumby na nosa - w każdym razie dużo lepiej, niż my potrafilibyśmy to zrobić - i pozwalały nam unikać wielu zbędnych wysiłków.

Żeby spotkać Małe Ludziki, trzeba było zatrzymać się w małej zatoczce na rzece Sangha, oddalonej o osiem godzin wodą od wioski Kaju, czyli na skraju dżungli, i czekać. Wkrótce nadchodziły. Uczyniliśmy tak więc i my.

Zgodnie z przewidywaniami, po niecałej godzinie oczekiwania, powiadomieni

świetnie działającą sygnalizacją, pojawiły się przed nami wychodząc z dżungli. Było ich około czterdziestu, bardzo niscy, o krótkich nogach i czarnej jak węgiel skórze, kobiety i mężczyźni razem, a gołe dzieciaki biegały dookoła. Przyglądały się nam szczebiocząc, nie robiąc kroku dalej, i dawały nam jakieś znaki.

Widywaliśmy ich już parę razy podczas wcześniejszych ekspedycji. Podejrzewam, że ich plemię składało się właśnie z tej czterdziestki. Ludzie Kuju mieli na nich określenie nie do wymówienia, które w ich narzeczu znaczyło Mały Ludzik. Taką też nazwę dla nich przyjęliśmy. Według Montaignes'a byli zupełnie inni niż Pigmeje.

Paulo uważał, że dowcipne jest zwracanie się do nich per wielkoludzie: „Cześć, wielkoludzie! O! wielkoludzie, ty też przyszedłeś!”, ściskając wszystkim dłonie, co ich rozśmieszało i jeszcze wzmagало ich szczebiot.

Mieli twarze bardzo prymitywne, kanciaste: mocno spłaszczony nos, kwadratową i wystającą szczękę, duże ciemnoczerwone usta, włosy krótkie i kręcone. Ciemne, błyszczące i ruchliwe oczy położone były głęboko za wysuniętymi kośćmi policzkowymi i pod ogromnymi łukami brwiowymi.

Mieli na sobie tylko stare szorty albo kawałki materiału w charakterze przepasek. Kobiety były jeszcze mniejsze niż mężczyźni, za to obdarzone nieproporcjonalnie wielkimi zadkami. Nosiły też dłuższe włosy, choć twarze ich były jednakowo tępe. Ich płaskie piersi zwisały nad brzuchem. Stopy miały takie same jak mężczyźni, szerokie, szorstkie, z niesamowicie wielkim dużym palcem. Niektóre zalotnie obnosiły się z kolorową przepaską, ale większość nie miała niczego.

Mężczyźni uzbrojeni byli w dzidy, krótkie oszczepy z twardego drewna, zakończone prymitywnymi metalowymi ostrzami. Tylko jeden, barczysty facet z nogami jeszcze krótszymi niż u reszty, nosił strzelbę. Był to kaliber 12, najeżony kawałkami żelastwa, stara pukawka o kolbie noszącej ślady licznych i trudnych przejść; zapewne pozostałość jakiejś odległej kolonialnej historii.

Do niego też się zwróciliśmy, mówiąc łamanym francuskim do Małej, która tłumaczyła na Kuju, prosząc o dwóch ludzi na czas polowania. Natychmiast zaproponował własne usługi i wskazał też, swego syna, czarnego, krótkonogiego faceta, który równie dobrze mógłby być jego bratem bliźniakiem. Chcieli zapłaty w nabojach stanowiących dla nich cenny towar. Cena taka odpowiadała nam i oba Małe Ludziki natychmiast objęły swoje funkcje.

Dobrze przespana noc postawiła mnie na nogi. Cieszyła mnie bliskość M'Bumby i perspektywa nadchodzącego dnia spędzonego na tropieniu, emocjach i walce, by go zabić. Wiedzieliśmy, że jest tuż-tuż, że łązi tu i ówdzie po sawannie. Na jego terenach rzuciliśmy kotwicę.

Siedziałem sobie w fotelu drzemiąc na słońcu. Myślałem o myślistwie, które jest szlachetną sztuką, i nie dawałem wiele za życie M'Bumby.

- Uprzedzam cię, że będę odpoczywał!

Tymi słowami Paulo powitał mnie po swoim przebudzeniu, i w ten sposób zostało postanowione, że dzień będzie świąteczny i że nie ma nic innego do roboty, jak tylko korzystać z raję.

Powierzeliśmy więc nasze brudne rzeczy Małej, która wszystko razem zamoczyła w rzece; umyliśmy się i ogoliliśmy w zatoczce, odpowiednio do naszego obrazu wielkich myśliwych na postoju, poczym przeszliśmy się po obozowisku w charakterze nowych właścicieli i ustaliliśmy, co należy w nim zrobić, gdybyśmy mieli tu pozostać; pograliśmy w kule na skraju sawanny do chwili, gdy słońce zaczęło zbyt mocno przypiekać, po czym schroniliśmy się w cieniu drzewa, wśród naszych rzeczy, przyglądając się rzece; zjedliśmy obfity posiłek i wypiliśmy butelkę Monbrisac, która trzymana od rana w rzece dotarła na stół schłodzona jak się patrzy... po czym nie pozostało już nic do roboty i zaczęliśmy się nudzić.

Groziło nam, że Montaignes pogrąży się w lekturze. Paulo odbył małą poobiednią drzemkę, a po przebudzeniu ogłosił, że będziemy grali w karty,

Rozpoczęła się długa i senna partia, w trakcie której nie uważałem, zainteresowany wydarzeniami rozgrywającymi się za plecami Paula. Dokładniej, ponad jego ramieniem. Tuż obok jego głowy widziałem Małą, która prała naszą bieliznę, stojąc nago w rzece. Na przemian zanurzała materiał i tarła go, schylając się i prostując w regularnym, powolnym i spokojnym rytmie, zgodnym z monotonnym ruchem wody. Kiedy pochylała się, zanurzając ramiona w wodzie, przegięte plecy podkreślały jej krągłe pośladki, a końce piersi muskały powierzchnię rzeki, co składało się na pozycję tyleż zabawną co podniecającą. Jak magnes przyciągało to mój wzrok i nie mogłem oderwać oczu od powolnych ruchów tych piersi: krągłych, spiczastych, o idealnie kobiecych kształtach, które dumnie przeżyły się w słońcu.

- Grasz, czy nie? O czym ty myślisz? Czekamy na ciebie!

Paulo irytował się i słusznie zarzucał mi, że nie myślę o grze. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby Mała przyciągnęła mój wzrok, przynajmniej w takim sensie. Była dla mnie dzieckiem i tak ją traktowałem, a tu nagle odkrywałem w niej kobiece wdzięki i powaby,

których dotąd nie spostrzegłem.

Byłem oczarowany. Jest taki krótki okres, kiedy wiek dojrzewania osiąga w przyrodzie szczyt piękna i kobiecości, otwierając dopiero okres uwodzicielski. Wdzięki są już dojrzałe, ale nigdy jeszcze nikt ich nie dotknął. Są do wzięcia. Mała osiągnęła właśnie ten stan kwitnienia.

Wyczuła, że ją obserwuję, i z obojętną miną śledziła, mnie teraz kątem oka. Jej ruchy stały się bardziej zamaszyste. Dodawała coś do nich, było ledwo wyczuwalne, lecz zauważyłem to.

- Małej się tak przyglądasz? Co ci jest? Nie podoba ci się, jak pierze? A może ma jakieś atuty? Nie? Dobra, a ty masz jakieś atuty? No to wyłóż je, marzycielu!

Posłałem Małej uśmiech, machnąłem do niej przyjaźnie i usiłowałem zająć się grą. Aby przepędzić z pamięci jej obraz, starałem się przekonać samego siebie, że mój podziw miał charakter czysto estetyczny, tak jak spojrzenie malarza. Ale nie mogłem nic poradzić, że gdzieś w głębi duszy jakiś głos krzyczał, że jestem zwykłą świnią.

Paulo po raz ostatni smarował swój ukochany Weatherby 478, w zachwycie wsłuchując się w szcęk doskonale naoliwionego kurka. Montaignes, nie w pełni jeszcze rozbudzony, ziewając słuchał jego kazania na temat najlepszych sposobów zabijania.

- Jest już nasz - mówił Paulo ryglując zamek. - Jest w tej okolicy. Dziś po południu wytropimy, gdzie się ukrywa, a wtedy...

- Dziś po południu... - powątpiewał Montaignes, rozbawiony jego przechwałkami, nieomylnym znakiem dobrego nastroju Starego. - Czy nie przeceniasz trochę...

- Nic podobnego! Zrozumiesz, jak staniesz się prawdziwym myśliwym. Powiesz sobie: „Stary Paulo nigdy nie rzucał słów na wiatr”. Jak ci mówię, że go załatwimy, to go załatwimy!

Ostatni kubek kawy. Paulo nie przechwalał się. Wszystkie atuty myśliwego były w naszych rękach. Zwierzę łąziło po okolicy, do której mogliśmy dotrzeć przed końcem dnia. M'Bumba, podobnie jak każdy inny słoń na jego miejscu, nie miał szans na przeżycie.

Wyruszyliśmy o świcie, w momencie kiedy budzi się przyroda. Najpierw był długi spokojny marsz przez sawannę, jakby na rozgrzewkę, by dotrzeć do ostatniego śladu, jaki znaleźliśmy, i podjąć sprawę tam, gdzie ją zostawiliśmy.

Sawanna budziła się. W głębi wysokich traw roilo się od zwierząt i różnych hałasów. Stadka ciemnych ptaków, setkami siedzących nieruchomo na wielkich samotnych drzewach, przyglądały się naszemu pochodowi.

Trzy kilometry od obozu M'Bumba rozgniewał się na termitierę, taki wielki czerwony

kopiec zbudowany przez miliony owadów. Rozwalił ją w pył. Pośrodku tego, co z niej zostało, widniało szerokie nacięcie o zaokrąglonych brzegach, które uradowało Paula.

- Kieł! Zdajesz sobie sprawę, jaki jest wielki? Wyobrażasz sobie jego wagę?

Dookoła w promieniu piętnastu metrów ziemia została wściekle rozorana wielkimi uderzeniami jego ogromnych nóg. Ślady zagłębiały się niekiedy na piętnaście centymetrów w grunt. Wyobraźcie sobie tę głębokość przy osiemdziesięciocentymetrowej średnicy śladu!

Nad tym miejscem, podobnie jak wszędzie tam, gdzie M'Bumba dał upust atakowi wściekłości, unosiło się coś nieprzyjemnego. Było tu zbyt wiele szkód. Wynikało stąd zbyt wiele zaciekłości, zbyt wiele furii. Wydawało się, że zwierzę czuje się dobrze tylko wśród zgliszcz.

- To barbarzyńca - powiedział Montaignes.

Początkowo zadanie było łatwe. Ślady przejścia słonia przez sawannę czytać można było jak otwartą książkę. Tu jakiś ślad stopy, tam wyrwany krzak. Było oczywiste, że szedł po prostej, stopniowo zbliżając się do rzeki Sangha. Dotarł do brzegu jakieś pięć kilometrów od termitiery. Znaleźliśmy się w tym miejscu wczesnym przedpołudniem i zaczęliśmy iść tuż przy rzece.

Wkrótce brzeg zrobił się wyższy. Przeprawiliśmy się przez liczne małe dopływy, łączące się z głównym nurtem. Roślinność stawała się gęstsza i bardziej zielona. Około południa, kiedy słońce stało w zenicie, wchodziliśmy do dżungli, tutaj dosyć rzadkiej, złożonej z pokręconych, lecz niezbyt wysokich drzew, z obfitym poszyciem luźno rosnących krzewów, które nie hamowały wprawdzie marszu, lecz mocno ograniczały widoczność.

Zmieniliśmy taktykę. Małe Ludziki poszły przodem w las, jako zwiadowcy, podczas gdy my podążaliśmy za nimi, niekiedy w zasięgu wzroku, lecz najczęściej o jakieś osiemset metrów w tyle. W regularnych odstępach czasu czekały na nas, po czym, kiedy my odpoczywaliśmy, ruszały dalej.

Słoń to zwierzę o nadzwyczaj wyostrzonych zmysłach. Ma doskonały węch, świetnie słyszy i wyczuwa intruza natychmiast. Paulo i ja nie byliśmy w dżungli nowicjuszami. Przeżyłem wiele przygód w takim środowisku. W Azji Południowo-Wschodniej, w Ameryce Łacińskiej, w Amazonii... Paulo miał jeszcze dwa razy większe doświadczenie. A jednak nie było mowy, by równać się z Małymi Ludzikami, znajdującymi się w nieustannym ruchu, biegającymi to tu, to tam, kucającymi wśród roślin, odchylającymi liście, obserwującymi niewidoczne znaki na drzewach i nasłuchującymi z przekrzywioną głową, jak ptaki. Zdarzało się nawet, że wachały z piersią wysuniętą do przodu i szeroko rozdętymi nozdrzami. Biegały na swoich krótkich elastycznych nóżkach nigdy nie okazując najmniejszej oznaki zmęczenia,

a przede wszystkim robiły sto razy mniej hałasu niż my.

W tej dżungli, gdzie słoń w niektórych miejscach mógłby stać o dziesięć metrów od nas, ukryty w gęstwie krzaków, a my nawet nie podejrzewalibyśmy jego obecności, oni jedni mieli jakiegokolwiek szansę, by wykryć go nie wzbudzając jego podejrzeń.

My szliśmy ostrożnie, bez słowa, z karabinami przy biodrach, wśród ciszy przeszywanej krzykami ptaków, które w ciągu tych długich godzin działały nam na nerwy. Późnym popołudniem natknęliśmy się na strumień o kryształowo czystej wodzie, płynący korytem szerokości około pięciu metrów. Wpływał z potężnego masywu roślinności, zielonych gęstych krzewów tworzących sklepienie niczym wejście do tunelu.

Oba Małe Ludziki były niespokojne. Wskazywały na to wejście zdecydowanie potrząsając głowami i dreptały w miejscu. Tędy przechodził M'Bumba. Ruszyły przodem w tunelu jako zwiadowcy.

Montaignes był zlany potem i ciężko dyszał. Karabin wyraźnie mu ciążył. Zaciął się brzegiem jakiegoś liścia, rana była płytka, ale ciągnęła się od łokcia po nadgarstek, i trzeba by ją opatrzyć. Paulo czekał nieruchomo, z włosami zlepionymi na skroniach i dłońmi mocno zaciśniętymi na swoim 478, czujny i zawzięty.

- Długo im to zajmuje - mruknął.

Małe Ludziki nie pojawiły się. Odczekaliśmy dziesięć minut, po czym zdecydowałem:

- Idziemy. Musiały coś znaleźć.

Wkroczyliśmy pod sklepienie, gdzie panował wilgotny upał jak w saunie. Słysząc było niewidoczny strumień wody. Po paru metrach w ciemności roślinność przerzedzała się, dając dostęp paru promieniom światła. Po obu stronach strumienia piętrzyły się ściany gęstej, parującej zieleni. Małe Ludziki były sto metrów dalej, siedząc w kucki przed ogromną kupą gówna koloru khaki - dziełem M'Bumby! Podnieceni patrzyli, jak nadchodzimy.

Paulo podniósł kawałek drewna i powoli pogrążył go w znalezisku, błyszczącym i miękkim. Było zupełnie świeże. M'Buniba narobił tu nie dalej jak przed kwadrantem.

Paulo mocniej ścisnął karabin i bacznie obserwował roślinny mur. Uczyniłem podobnie, czujny i napięty. Był tu. Czuję go. Mój wzrok badał każdy liść, każdą szczelinę między gałęziami. Był zupełnie blisko. Gdzieś koło nas. Moje uszy łowiły wszystkie dźwięki: plusk wody, niewyraźne odgłosy ptaków w oddali. Starałem się usłyszeć jakiś szelest czy hałas.

M'Bumba nagle zatrąbił tuż obok nas. Było to trąbienie dzikie, donośne jak syrena okrętowa, tak bliskie, że wszyscy się wzdrygnęli. Złożyłem się do strzału. Montaignes i

Paulo, z szeroko rozstawionymi nogami, uczynili to samo. Małe Ludziki zniknęły w mgnieniu oka.

Trąbienie jeszcze potężniejsze, połączone z trzaskiem łamanych gałęzi, sprawiło mi ból w uszach. Całą moją energię skierowałem na wypatrywanie nad celownikiem miejsca w ścianie roślinności przede mną, w którym pojawić się miała bestia wielka niczym dom. Zadrżała ziemia. Miało się wrażenie, że wali się las. Trąbienie przybliżało się błyskawicznie, jak gwizd pośpiesznie nadjeżdżającego pociągu. Ściana gałęzi zatrzęsała się pod straszliwym uderzeniem i powróciła na swoje miejsce, po czym hałas zaczął się oddalać.

Zawrócił w ostatniej chwili!

Przez parę sekund stałem jak wryty, z karabinem przy policzku, a serce waliło mi w piersi jak młotem. Co też mogło zmusić słonia do zatrzymania szarży w ostatnim momencie?

- Znowu idzie! - wykrzyknął przestraszony Montaignes.

Głuchy tętent i trzask łamanych drzew przybliżały się. Odwróciliśmy się jednocześnie. Tym razem nadchodził z drugiej strony. Ponownie ziemia zadrżała. Ogłuszające trąbienie zwiastujące atak ustało w odległości kilku metrów od nas. Zatrzymał się dokładnie na granicy ściany drzew, po czym zaczął głośno oddalać się w dżunglę, ponownie pozostawiając nas ośmieszonych, z bronią wycelowaną w pustkę.

* * *

Tego pierwszego dnia M'Bumba poprzestał na tym. Przeszukaliśmy okolicę i z osłabionym morale, zrezygnowaliśmy. Tak bardzo chcieliśmy podejść go niezauważenie!

M'Bumba wiedział, dokąd idziemy i czego chcemy, a może nawet kim jesteśmy! Ostrzegł nas o tym, choć nawet nie udało się nam go dostrzec! Zniechęceni, smutni i ubłoceni ruszyliśmy w stronę obozu, wracając z rękoma tak pustymi, jak to tylko możliwe.

Polowanie wznowiliśmy nazajutrz. Znowu byliśmy w dżungli. Tropiciele u stalili, że M'Bumba znajduje się nad rzeką i znowu rozpoczęliśmy długi marsz brzegiem Sanghi. Przez cały dzień taplaliśmy się w błocie i było dobrze, jeśli nie sięgało nam ono do kolan.

Zaatakował wczesnym popołudniem, kiedy zupełnie się tego nie spodziewaliśmy, łamiąc wszystko na swojej drodze i podobnie jak poprzedniego dnia pozostając w ukryciu. Przekonani, że tym razem nie damy się oszukać, rzuciliśmy się w pościg. Zwodził nas po błocie przez cały dzień nie pojawiając się. Natknęliśmy się jedynie na rodzinę krokodyli, które wylegiwały się na brzegu i pozwoliły nam przejść. Patrzyły na nas nieruchomo z rozdziawionymi paszczami.

Ponieważ zapadał już wieczór, a my zapuściliśmy się za daleko wzdłuż rzeki i teren stawał się trudny, dałem sygnał do odwrotu; ponownie z pustymi rękami.

Trzeci dzień doprowadził nas do rozpacz. M'Bumba znowu zaciągnął nas nad Sanghę, w błoto i coraz bardziej gęsty i wilgotny las. Nie pokazał się, tak jak i poprzednio, ale tym razem zabawiał się, głośno zdradzając miejsce swojego pobytu. Bez przerwy wokół nas słychać było jakieś ruchy, szelesty i trzaski gałęzi. Dobiegał do nas jego oddech i odgłosy trawienia.

Niezliczoną ilość razy mieliśmy pewność, że nie dzieli nas od niego więcej niż kilkadziesiąt metrów. Ale zdawał się znikać, kiedy tylko się do niego zbliżaliśmy.

Długie marsze, najczęściej w błocie, wycieńczały nas. Za każdym razem wracaliśmy bardziej brudni i bardziej zniechęceni. Montaignes tracił siły. Padł ofiarą mrówek suku, maleńkich, czerwonych i jadowitych. Jego skóra nabrała nagle czerwonej barwy, a twarz puchła w oczach. Nie tracąc ani chwili Paulo i ja wrzuciliśmy go do rzeki, ściągaliśmy z niego majtki i uwolniliśmy go od tych świństw, które atakują okolicę łonową. Opuchlizna szybko zeszła, ale wiedzieliśmy, że pozostały mu bolesne rany w bardzo czułym miejscu, a nasze marsze nie sprzyjały ich zagojeniu.

* * *

Czwartego dnia natrafiliśmy na polankę, którą M'Bumba bez wyraźnej przyczyny zdewastował poprzedniej nocy. Wiele drzew zostało złamanych u podstaw albo zgiętych tak, jakby się na nich umyślnie kładł. Małe Ludziki śmiały się oglądając pobojuwisko. Na migi wytłumaczyły nam, że słoń musiał być pijany. Obżarł się zielonych dzikich mang, które wprawiły go w szal. Ogarnięty paranoją zniszczył polankę, wyobrażając sobie, że walczy z wrogami. Tam, gdzie były połamane drzewa, musiał się po prostu wyłożyć, tracąc równowagę jak pijak.

Zapewne z powodu potężnego kaca tego dnia już się nie pokazał.

* * *

Piątego dnia, kiedy znów byliśmy w pogotowiu, z wycelowanymi karabinami, a M'Bumba biegał tu i tam, nie wiadomo gdzie, wokół nas, Paulo nagle wystąpił do przodu i zaczął wrzeszczeć.

- Pokaż się wreszcie! Kurwa mać, no, pokaż się! Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi?

Zapominając o wszelkiej ostrożności Stary postępował dalej do przodu. Gdyby M'Bumba nagle się na niego rzucił, nic by nie mógł zrobić.

- Przecież wiem, że tu jesteś! Wiem! Dlaczego nie przyjdiesz się bić? Tchórz! Skurwiel! Pedał! Kurdupel!

Rozkraczony, z twarzą zwróconą ku dżungli, z wybałuszonymi oczami Paulo załamywał się. Podbiegłem, by go podtrzymać, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Mam cię w dupie, ty chujowy M'Bumbo! W dupieeee!

- Dobra, Paulo, już. Już dobrze.

- Jak to dobrze? Nie widzisz, że ten skurwysyn sobie z nas robi jaja? Nie widzisz tego? W takim razie nie wiem, co ty w ogóle widzisz!

- Już dobrze, Paulo.

- Wodzi nas za nos i łazimy jak idioci. Jaja sobie z nas robi! Chcę zabić tego skurwiela!

Stary potrzebował dłuższego czasu, by odzyskać zimną krew. Postanowiłem przerwać polowanie na dzisiaj i ogłosiłem, że nazajutrz będzie dzień odpoczynku. Wszyscy powinni się odprężyć. Niech ten drań zniszczy cały las, jeśli ma na to ochotę! Jak zapewniłem moich towarzyszy, co się odwlecze, to nie uciecze.

Poprosiłem tropicieli, byśmy wracali inną drogą, uważając, że dość już natapłaliśmy się w błocie. Ruszyliśmy w kierunku przeciwnym do rzeki. Paulo włókł się z tyłu, z karabinem przewieszonym przez ramię i grymasem głębokiego zniechęcenia na twarzy; Montaignes cieszył się z zapowiedzanego odpoczynku. Tylko Małe Ludziki, wierne swoim zwyczajom, biegały dookoła nie okazując zmęczenia.

Na początku natknęliśmy się na ogromną chmarę mrówek: Obok drzewa widniał kipiący życiem co najmniej trzymetrowej wysokości kopiec utworzony z miliardów owadów: były to mrówki fannian, wielkie, czarne, długości około centymetra i uzbrojone w dwa wielkie haki, których nic nie mogło odczepić. Ta plaga zżerała absolutnie wszystko, i mrówki potrafiły wyrywać człowiekowi kawałki ciała, pozostawiając źle gojące się rany.

Obeszliśmy przeszkodę w bezpiecznej odległości. Małe Ludziki pobiegły do przodu i szczebiotały w przyśpieszonym tempie. Natykały się na nowe stosy mrówek, zajęte w całej okolicy nadżeraniem podstaw drzew. Hałas ich działalności rozchodził się po lesie, było to jakby stałe trzeszczenie, głuchy szelest wszystkiego, co przesuwają, przerywany od czasu do czasu suchymi odgłosami. Małe Ludziki machały do nas, by podejść bliżej. Kiedy dołączyliśmy do nich, nagle znaleźliśmy się pod gołym niebem.

- Boże drogi, ale rów! - wykrzyknął Paulo.

Znajdowaliśmy się za kolumną mrówek fannian. Główne ich siły pozostawiły za sobą rów szeroki na jakieś piętnaście metrów, bruzdę wyrzeźbioną w prostej linii przez dżunglę i w której obrębie nie zostało praktycznie nic. Tu i tam widać było, w postaci wielkich drgających kopców, dziesiątki milionów spóźnialskich, które, podobnie jak mrówki spotkane wcześniej, zżerały resztki.

Małe Ludziki pożyczyły ode mnie manierkę i kucając obok takiego kopczyka mrówek cierpliwie ją napełniły, łapiąc owady jeden po drugim. Wydawały się uradowane zdobyczą. Starszy uważnie niósł manierkę pod pachą, jak jakiś drogocenny przedmiot. Zastanawiałem się, do czego też mogło to im być potrzebne, i myślałem wówczas, że będą je jedli.

Ze swej strony Montaignes znalazł w bruździe śmierci długi kręgosłup, z nienaruszonymi wszystkimi żebrami, węża boa, który trawił akurat na drodze najeźdźców. Zamierzał dołączyć znalezisko do swojej kolekcji.

* * *

Nikt nie chciał zbyt długo przebywać w tym strasznym miejscu i szybko ruszyliśmy dalej w kierunku obozu. W dżungli prawdziwą plagą nie są ani drapieżniki, ani węże. Najtrudniejsze do zniesienia są takie właśnie świństwa, których wszędzie pełno.

Są tu furru, niemal mikroskopijne komary, które wcisną się wszędzie, nawet przez moskitierę czy ubranie, i które atakują chmarami; są fannian, tworzące, jak już wspominałem, potworne kolumny, których nic nie powstrzyma; są chique, miłe stworzonka składające jaja pod skórą, na ogół w palcach u nóg, tak aby ich larwy miały czym się odżywiać natychmiast po wylęgu. Każdego wieczoru badaliśmy stopy, pilnie bacząc, by nie pozwolić im się zagnieździć, bo powodują zakażenie krwi. Dodajcie do tego robaki zielone, kwadratowe, złociste, latające, pełzające. Wszystkie one kłują, gryzą albo wstrzykują jad... Tak, w dżungli wrogiem numer jeden jest niewątpliwie owad.

* * *

Po tej serii upokorzeń nasze morale było niskie. Wpadliśmy kolejno we wszystkie pułapki, jakie słoń na nas zastawił, i marnowaliśmy energię. Trzeba było przyznać, że po pierwszych rundach zwierzę zyskało nad ludźmi znaczną przewagę. Istniało też ryzyko, że umęczony zespół straci zapał. Żeby wrócił do formy, potrzeba było czegoś bardziej treściwego niż zwykłe poranne leniuchowanie. Dobrze danko z czerwonego mięsa: oto co

mogło przywrócić siły myśliwym! Paulo wspominał o tym wielokrotnie, mamrocąc, że potrzebuje mięcha. Ponieważ fizycznie byłem w najlepszej formie, w przyptywie niewytłumaczalnej fali dobrej woli sam wyznaczyłem się na ochotnika, by poświęcić dzień odpoczynku i wyruszyć na polowanie na steki.

Na asystenta wybrałem naturalnie Tatave, bo był już najwyższy czas, by opuścił obozowisko. Wyglądało na to, że nasze zdenerwowanie udzieliło się szeregowcom. Już wczesnym rankiem Tatave dostał potężny opieprz od rozwścieczonej Małej. Jej złość trwała tak długo, że w końcu wstałem, by ją uspokoić. Publicznie oskarżony o zżeranie zapasów ekspedycji Tatave trzymał się z dala od Małej już od samego rana. Nieco przed dziesiątą popełnił błąd, odpychając nogą Bebe, który podszedł, by go podrażnić.

Uderzenie nie było zbyt mocne, ale natychmiast dowiedziała się o nim cała rzeka. Oburzony mały piesek zaczął skamleć cienkim głosikiem, ile sił w małym gardelku. Z najeżoną sierścią, na szeroko rozstawionych łapach niczym lew, wyszczeniwał swoją dezaprobatę przed Tatave, który nie śmiał się już poruszyć.

Mała nadbiegła brzegiem rzeki niczym furia i rzuciła się z krzykiem na Tatave, z wyciągniętymi do przodu rękami, z wyraźnym zamiarem zatopienia paznokci w jego oczach. Podbiegłem i udało mi się ją chwycić wpół. Wrywała się ze wszystkich sił i wyśliznęła się z moich ramion niczym cienka liana.

- Przestań, Mała! Przestań! Nic mu nie zrobił! Nic nie jest twojemu Bebe. Aj! Przestań wreszcie!

Potrzebowałem co najmniej dziesięciu minut, by ją uspokoić. Montaignes'owi zajęło co najmniej dwadzieścia minut, by ją pocieszyć. Jako że atmosfera pozostawała napięta, uznałem za dobre posunięcie zabrać Tatave ze sobą.

* * *

Trzeba było iść daleko. Tygodniowa już obecność ludzi w okolicy spowodowała, że uciekła cała zwierzyna. Powoli rzeka zniknęła za nami. Rozciągała się nieskończona, imponująca sawanna i żałowałem zarazem swojej abnegacji i swojego fotela. Dwustrzałowy Winchester, cięższy niż zwykle używana broń, ciążył mi na ramieniu.

Tatave dreptał przede mną, tocząc swój wielki brzuch. Ubrany w niebieskie szorty, których ostatniego guzika nie był w stanie zapiąć, przymocował sobie do pasa wielką maczetę i włókł za sobą duży jutowy worek, w którym zamierzał przynieść do obozu steki.

Czuł się niewątpliwie dużo swobodniej na łonie przyrody, której - jak powoli się o

tym przekonywałem - znał wszystkie tajemnice. Odkrył już, ostrożnie odchylając wyższe od niego trawy, liczne gniazda z ciemnymi jajami oraz rodzinę małych niebieskich i grzebieniastych indyków, której darowaliśmy życie. Dzięki niemu przez pół godziny mogłem obserwować zabawy stadka czarnych małp, hasających wokół małego zagajnika. Przez długie minuty podkradał się, całkowicie niewidoczny, do grupy potamoszerów, rodzaju szarych dzikich świń, pochrząkujących i trącających się ryjami koło jakichś kolczastych krzewów.

Pomimo swego nonszalanckiego wyglądu i nieodłącznego uśmiechu na twarzy Tatave potrafił całkowicie wtopić się w sawannę. Wydawało się, że - dzięki nie wiadomo jakim umiejętnościom - przemieszczał się bezgłośnie, instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, zależnie od kierunku wiatru.

Obserwowałem już taką swobodę ruchów u tubylców, ale Tatave miał coś więcej. Jego tropienie nie niosło w sobie żadnej agresywności. Nie tropił zwierząt, by je zabijać. Śledził je z prostego zamiłowania do patrzenia na nie, długo, nieruchomo, ogarnięty tajemnymi myślami, z wytrzeszczonymi ogromnymi okrągłymi oczami. Miał w sobie coś z poety.

Trafił na zwierzęce odchody i ślady racic, i wskazał na północ.

- Bawół? - spytałem. - Stek?

Rozśmieszyło go to i energicznie potrząsnął głową.

- Tak! Tak! Stek!

* * *

On też zobaczył je pierwszy, kiedy słońce stało najwyżej, a sawanna zamieniała się we wnętrze pieca. Nagle uwiesił się u mego ramienia, zmuszając mnie, bym się pochylił.

- Stek! - oznajmił.

Początkowo widziałem jedynie znaną mi równinę pokrytą żółtymi trawami, niekiedy sięgającymi głowy człowieka. Następnie dostrzegłem, jakieś sto metrów przed nami, łby kilku bawołów, nieco ciemniejsze niż trawa i praktycznie nieruchome. Ale gratka! Było tam co najmniej pięćdziesiąt sztuk, pograżonych w sjeście. Wiatr, sprzymierzony z nami, odpędzał nasz zapach w stronę przeciwną.

Posuwaliśmy się do przodu podejmując nadzwyczajne środki ostrożności. Kilka kroków, po czym całe minuty nieruchomego oczekiwania. Wystarczyło, by zmienił się kierunek wiatru, i całe stado pogalopowałoby dalej.

Wreszcie osiągnąłem odpowiednią odległość - mniej niż pięćdziesiąt metrów od

bawołów. Tam, gdzie skubały trawę, roślinność była niższa; dochodziła im najwyżej do kolan. My byliśmy ukryci na skraju wysokich traw.

Powoli przygotowałem Winchester. Nie podnosząc się, ostrożnie opuściłem lufę i wycelowałem w odległy punkt, gdzieś poza stadem. Potem skoncentrowałem się przed szybką akcją, rozkoszując się napięciem. Teraz!

Nie trwało to dłużej niż cztery czy pięć sekund. Strzeliłem nad stadem, w kierunku wzgórz, daleko za nim. Winchester wbił mi się w ramię, ucho miałem zatkane co najmniej na godzinę. Huk wystrzału spowodował, że bawoły podniosły głowy, spięte, nieruchome, wężąc powietrze, na ułamek sekundy.

Następnie wystrzał rozniósł się po sawannie, odbił od wzgórz i echo powróciło do stada, któremu wydało się, że grzmot dobiega od tyłu. Pięćdziesiąt ciemnych zwierząt o szerokich rogach jednym ruchem wyprostowało się, odwróciło i rzuciło do ucieczki.

Wstałem przykładając karabin do ramienia. Ziemia zadudniła. W pełnym galopie stado szarżowało wprost na mnie. Na linii celownika zobaczyłem czoło jednego z nich. Strzeliłem. Dostał w środek głowy i runął do przodu w tumanie kurzu.

Wówczas stado rozdzieliło się na dwie części, a każda z nich ominęła nas z jednej strony wśród tętentu kopyt, podrzucając do góry kępki ziemi i traw. Hałas oddalał się i po chwili zapadła martwa cisza.

* * *

Upolowałem bardzo ciemnego, prawie czarnego byczka o grubych, zagiętych rogach, które schodziły w dół po obu stronach głowy, a następnie podchodziły do góry, zakończone ostrymi szpicami. Czoło strzaskane było na kawałki, z pyska wystawał czerwony, pulsujący język.

Tatave, unosząc do góry kciuk, długo gratulował mi strzału, po czym bez zbędnych ceregieli zabrał się do ćwiartowania zwierzęcia, by uprzedzić nadejście intruzów: drapieżników lub padlinożerców. Najpierw rozciął na całej długości skórę na brzuchu i zagłębił ręce. Wygarnął śmierdzący kłęb trzewi na piasek. Później wielkimi pociągnięciami maczety zaczął wykrawać nieregularne kwadraty fioletowego, lepkiego mięsa, z rękami umazanymi zakrzepłą krwią aż po łokcie, depcząc po wnętrznościach i nie zwracając na to uwagi. Kiedy jego jutowy worek, ociekający krwią, wypełniony był co najmniej dwudziestoma kilogramami mięsa, odwrócił się do mnie i oznajmił z tym swoim szerokim uśmiechem:

- Stek!

Wróciliśmy do obozu, pozostawiając na miejscu resztki ofiary.

Wlokłem się z tyłu, utykając na lewą nogę. Każdemu krokowi towarzyszył przeszywający ból, przebiegający w górę aż po udo. Aby nie być ciężarem, krzyknąłem do pozostałych:

- Nie czekajcie na mnie! Idźcie przodem, ja dojdę!

Oddalili się stopniowo i szybko zniknęli mi z oczu w tym gęstym, wilgotnym lesie. Stan mojej lewej stopy zawdzięczałem chique. Są to małe, miedzianoczerwone owady, żyjące w ziemi i atakujące stopy. Wpijają się w ciało dziesiątkami, jak kleszcze, i składają pod skórą setki jajeczek. W ten sposób ich larwy, mikroskopijne robaczki, mają zapewnione wyżywienie od chwili przyjścia na świat.

Sympatyczne te istoty szybko się rozmnażają. Stopa, którą zwykle atakują od spodu, u nasady palców, pokrywa się otwartymi ranami rojącymi się od pasożytów i błyskawicznie się rozszerzającymi. Ponadto roznoszą gorączkę i zakażenie krwi, nie licząc wszelkich infekcji, które w dżungli zagrażają każdej otwartej ranie.

* * *

Nie mogłem już wytrzymać. Po raz pierwszy od wyruszenia z obozu, poprzedniego dnia rano, przyznałem sobie prawo do odpoczynku i uznałem, że ból był silniejszy ode mnie.

Siadłem na martwym pniu drzewa. Bez tchu. Rozwiązałem sznurowadło mojego wysokiego buta, oblepionego błotem, i ostrożnie ściągnąłem go, choć najlżejsze dotknięcie ran powodowało, że musiałem zaciskać zęby.

Pod stopą miałem dwie dziury. Pierwsza, okrągła, wielkości monety, u nasady grubego palca, nie była zbyt bolesna. Po prostu widać było żywe mięso. Druga, dłuższa, ciągnąca się wzdłuż nasady palców przez całą szerokość stopy, pokryta była białawą warstwą ropy, napęczniałą, grubą na centymetr.

- Kurwa! Robi się zakażenie!

Nożem odciąłem rękaw koszuli i zrobiłem z niego tampon, którym nacisnąłem na kieszeń ropy. Wypływający płyn był obrzydliwy, białozółty, i wydzielał zgniłą woń. Na szczęście jeden z Małych Ludzików za pomocą zaostrego bambusa zeszkrobał wszystkie jajeczka. Byłem więc pewny, że nie będzie więcej robaków. Niemniej rany były fioletowe, z sinymi brzegami, i wyglądało to niepokojąco. Kiedy udało mi się, na ile to było możliwe, wycisnąć całą ropę, daleko odrzuciłem szmatę.

Z zadowoleniem wyciągnąłem nogę. Po opróżnieniu ogniska infekcji kuku nie było już takie straszne, jak mogłoby się wydawać. Kiedy nic nie dotykało moich ran, prawie ich nie czułem.

* * *

Panował ciężki, przesycony wilgocią upał, który przylepiał mi koszulę do ciała. Po twarzy bezustannie ściekał pot. Brak światła, zatrzymywanego przez wysokie drzewa, sprawiał, że było jeszcze bardziej duszno.

Było gorąco jak w szklarni, toteż rozszalała się tu orgia roślinności, prawdziwe nawarstwienie palm, lian i ogromnych roślin nasyconych wodą. Ziemia była miękka jak gąbka, a w okolicy pełno małych strumyków, które wpadały do Sanghi, toteż naturalnie pojawiło się błoto.

Ekspedycja opuściła obozowisko wczesnym rankiem poprzedniego dnia. M'Bumba nigdy dotąd nie zaciągnął nas tak daleko. Przeszliśmy wzdłuż Sanghi ze dwadzieścia kilometrów. Odkąd M'Bumba wszedł do tego dziewiczego lasu, zakreślił wielki łuk. Początkowo szedł na północ, oddalając się od rzeki, później skręcił i pod koniec dnia kierował się prosto na zachód.

Znajdowaliśmy się już zbyt głęboko w lesie, by liczyć na powrót przed zapadnięciem nocy. Postanowiliśmy więc kontynuować polowanie. M'Bumba ponownie zmienił kierunek, zawracając ku rzece bez wyraźnej przyczyny, i musieliśmy spędzić noc w spartańskich warunkach, oblepieni wilgocią, po skromnej i zimnej kolacji.

Tego ranka zrozumieliśmy, że M'Bumba szedł teraz na wschód, równolegle do Sanghi, w kierunku obozowiska, z którego „wyruszyliśmy.

- Kpi sobie z nas - westchnął Paulo. - A my łazimy jak idioci! Ale przysięgam, że on zmęczy się wcześniej niż ja!

* * *

Z typowym dla mnie oślim uporem wyruszyłem na to polowanie mimo powszechnej dezaprobaty. Moi dwaj towarzysze uważali, że - biorąc pod uwagę stan mojej stopy - lepiej bym zrobił siedząc spokojnie i czekając, aż rany się zabliznią. Montaignes, który uważnie przyglądał się każdemu ruchowi Małego Ludzika podczas operacji, był bardzo zafrasowany, i choć nic nie powiedział, zdenerwowałem go swoim uporem, by z nimi pójść.

- Masz sześćdziesiąt procent szans na zakażenie krwi. Poczekaj, aż to się zasklepi. Zwariowałeś!

Być może... Niewykluczone, że się to źle skończy i że umrę, ale problem polegał na czym innym. Nie byliśmy już na tym etapie rozważań. M'Bumba zbyt długo wodził nas za nos. Zbyt długo sobie z nas kpił. Jego wyzwanie nie mogło się przedłużać.

Moim obowiązkiem wobec siebie samego było zabić skurwysyna. Jeśli chciał mnie sprowokować, to mu się udało. Zgodziłem się, by to polowanie zamieniło się w walkę, i zamierzałem posłużyć się wszystkimi moimi możliwościami. Teraz była to już sprawa osobista między mną a nim. Magia czy nie magia, zdecydowany byłem dostać go za wszelką cenę i mieć przyjemność, by osobiście zastrzelić tego starego sukinsyna.

W takim stanie ducha nie mogłem pozostać w obozie. Całe dni spędzaliśmy w pobliżu M'Bumby. Każda godzina mogła przynieść decydujące starcie i do wściekłości doprowadzała mnie myśl o tym, że mógłbym je przegapić.

* * *

Już od pierwszej chwili zrozumiałem, że popełniam błąd i że za to zapłacę. Moje rany, które znalazły nieco ukojenia podczas nocy, otworzyły się na nowo praktycznie natychmiast, powodując, że każdy krok wymagał dużej siły woli. Ostatnia noc spędzona w dżungli i marne dwie godziny snu nie poprawiły sytuacji. A teraz jeszcze to wszystko zaczynało gnić!

Podsakując na jednej nodze znalazłem sobie rozwidlony kij i przyciąłem go tak, by służył mi za kulę. Przywiązałem but do pasa i podjąłem na nowo marsz, powtarzając sobie, że teraz nie trzeba się Skarżyć, lecz iść. Iść! Iść! Podsakiwałem, pomagając sobie piętą, ze stopą w powietrzu, ociekając potem pod wpływem dodatkowego wysiłku, jaki w to wkładałem. Iść, dalej!

Odgłos strzału, daleko przede mną, sprawił, że stanąłem jak wryty. Potężny huk kalibru 478. To Paulo.

Więc już! Dostali go! Och! Skurwysyny! Ustrzelili go.

Rozległ się drugi strzał. Tym razem to 375! Montaignes! Dlaczego strzelano drugi raz? Co nawaliło? Zapominając o cierpieniu zacząłem biec i po paru metrach odrzuciłem kulę.

Nie chodziło o M'Bumbę. Ci dwaj kretyni strzelali w powietrze z radości. Bez tchu, przebiegłszy całą odległość, przy czym po twarzy chłostały mnie gałęzie i musiałem przeskakiwać parę strumyków z bosą stopą, rozczarowany patrzyłem na ich znalezisko.

Na polance leżały dwa szkielety słoni. Ich wielkie białe kości były nienaruszone, ułożone tak jak w momencie ich śmierci. Leżały jak dwa pomniki, jeden naprzeciw drugiego, niemal głowa w głowę, pośrodku grubego kobierca ciemnej i chaotycznej roślinności. Słońce, przeświecające przez szpary w koronach drzew, posyłało na polankę żółte, ciepłe promienie. Wielkie budzące respekt kości, w tej ograniczonej przestrzeni, wyglądały jakby spoczywały w krypcie.

- Forsa! - ryczał Paulo biegnąc w moim kierunku. - Forsy jak lodu!

Rzucił się na mnie i objął jak gracz futbolowy po strzeleniu bramki.

- Elias! Wyobrażasz sobie? Uściskaj mnie! Nie chcesz mnie pocałować? To wielka wygrana! Los na loterii! Wystarczy się schylić. To Najświętsza Panienka położyła je nam na drodze! Elias! Ej! Elias, do cholery, powiedz coś! Nie sprawia ci to przyjemności czy co? No uśmiechnij się, do cholery!

Montaignes, który przyglądał się szkieletom dwa razy większym od niego, posłał mi uszczęśliwiony uśmiech.

- Nie brakuje ani jednej kostki - oznajmił mi jak jakąś wielką nowinę. - Widziałeś te kły?

- No pewnie, że widział te kły! - ryknął Paulo prosto w moje ucho. - Elias! Do kurwy nędzy, nie pocałujesz mnie?

Opętany myślą, że M'Bumba nadal był na wolności, z dużym opóźnieniem zdałem sobie sprawę z tego prezentu. To były szkielety dorosłych słoni. Starych nawet, sądząc po imponującej wielkości kłów. Za przykładem Paula szybko przeliczyłem je na gotówkę i mnie również ogarnęła radość. Było tu parę tysięcy dolarów. Cokolwiek by się teraz wydarzyło, rezultaty wyprawy nie mogły być złe. Już teraz przyniosła nam więcej, niż wynosiły jej koszty. Kość słoniowa, która spadała nam prosto z nieba, załatwiała nasze sprawy finansowe na dłuższy czas.

Paulo długo jeszcze ryczał swoje podziękowania pod adresem Ducha Świętego, z rozłożonymi ramionami, zaciskając w dłoni kalkulator, stojąc pośrodku polanki. Moją radość trwała krótko. Ostatecznie rozwaliłem sobie stopę podczas biegu i teraz bolało mnie już bez przerwy, nawet bez dotykania ran.

Siedząc z wyciągniętą nogą z najwyższym trudem przekonałem tego egoistę, Paula, by zostawił kość słoniową na miejscu i że wrócimy ją pilnować i przenosić następnego dnia, po odpoczynku. Myśl o pozostawieniu tutaj pieniędzy była mu wstrętna, ale - widząc mój stan - w końcu się zgodził.

Zaczął wówczas gorączkowo biegać wokół polanki, z, maczetą w ręku, potężnymi

ciosami waląc w pnie drzew.

- Paulo! Dosyć już tego, wystarczy! I tak tropiciele jutro znajdą drogę...

- Nie, proszę pana! - wrzeszczał, mokry od potu. - Ktoś musi porobić znaki! Nie zostawia się za sobą skarbu nie robiąc na drodze znaków, proszę pana!

Wreszcie, kiedy opatrzył już wielkimi białymi nacięciami praktycznie wszystkie okoliczne drzewa, pan Paulo raczył schować swoje narzędzie i podać mi ramię, żeby mnie podtrzymać. Rzucił jeszcze ostatnie rozczulone spojrzenie na szkielety i ruszyliśmy, trzymając się pod ręce i utykając, w długą drogę, która dzieliła nas jeszcze od obozu.

Mała wybiegła nam na spotkanie, za nią Bebe i okrągła sylwetka Tatave. Niepokoili się naszą długą nieobecnością - nie było nas już od dwóch dni - a teraz jeszcze przerazili się widząc, że idę podtrzymywany przez Paula i Montaignes'a. Mała pomyślała zapewne, że jestem ranny i, jak się wydaje, ulżyło jej, kiedy zobaczyła, że chodziło jedynie o chique, które nadal pastwiły się nade mną. Zaraz też pobiegła grzać wodę, by zrobić mi kąpiel nóg.

Błogosławieństwem była chwila, kiedy zanurzyłem swoje giczoły w misce gorącej i pachnącej wody, którą przygotowała dla mnie pod moskitierą. Montaignes doradził mi, bym tak siedział, aż woda wystygnie, po czym z poważną miną obejrzał moją stopę. Obmacywał kciukiem moje rany, oglądał je szczegółowo znad okularów, robiąc przy tym precyzyjne, profesjonalne ruchy i wydając ciche, pełne dezaprobaty cmoknięcia. Westchnął, poprawił na nosie okulary i posłał mi lekarski uśmiech, żeby mnie uspokoić.

- Dam ci antybiotykową zasypkę. Zresztą, niczego innego nie mam. A nawet tego nie mam wiele.

- Dobra, zasyp mi.

- Tylko że... Słuchaj, Elias. Nie krzycz, posłuchaj. W twoim stanie, jeśli nadal będziesz chodził, czeka cię ogólna infekcja. Posłuchaj mnie. Chcę tylko, żeby to do ciebie dotarło: jeżeli teraz ci się nie zabliznią, czeka cię zakażenie krwi. Zrozum mnie dobrze: to musi nastąpić.

Popatrzyłem na niego, przyjrzałem się swojej stopie w miednicy. Znów spojrzałem na Montaignes'a, z jego poważną miną za okularami, i wybełkotałem:

- Chyba nie mówisz poważnie, Montaignes?

- Bardzo poważnie, stary.

- Więc co mam zrobić, doktorze?

- Trzy do czterech dni bez ruchu, drogi pacjencie. Nic ci nie pomoże. Kategoryczny zakaz polowań.

* * *

O! Kurwa! Miałem wszystkiego dość. Już od dziesięciu dni upierdolony taplałem się w błocie, w wodzie, w piekle tej zasranej dżungli; latałem za tym słoniem jak dziki, w każdy kolejny boży dzień; przykładałem się do tego, jak potrafiłem, i wiadomo było, że w końcu go dorwiemy.

M'Bumba męczył się. Wkrótce zaczniesz popełniać błędy, a wtedy go dorwiemy. Była to kwestia dni. Odwaliłem całą brudną robotę w tym cholernym polowaniu, a teraz miało mnie ominąć najlepsze. To świństwo.

Diagnoza doktora Montaignes'a była dla mnie jak walnięcie po łbie. Bardziej przygnębiony niż dziecko pozbawione deseru, zamknąłem się w sobie i przez dłuższy czas pogrzeżyłem się w milczeniu.

Zapadał wieczór, a ja nie ruszyłem się z miejsca. Paulo i Montaignes wesoło rozmawiali z Małymi Ludzikami. Stary, wymyty, ogolony, przebrany, z mokrymi jeszcze włosami, częstował anyżówką i perorował, lekko już podchmielony.

- No, wielkoludzie, takie rzeczy tylko Paulo potrafi znajdować. Ja mam nie tylko szczęście, ja mam nosa.

Tropiciele szczebiotali wesoło i wyglądało na to, że anyżówka im smakuje. Mała i Tatave energicznie krzatali się w kuchni. Kiedy Mała dowiedziała się o naszym znalezisku, klasnęła w dłonie i rzuciła się, by przygotowywać ucztę, przewidując obławienie. Wszyscy szykowali się na wesołą zabawę.

Za nami, nad sawanną, słońce zafundowało sobie jaskrawo czerwony zachód, tworząc całą paletę ognistych kolorów, które pochłonęły moją uwagę. Przytłaczał mnie potężny blues, zapewne spotęgowany zmęczeniem.

Nie zabiję M'Bumby, powtarzałem sobie. Byłem tego pewien. Podczas mojej nieobecności Paulo odnajdzie go i nie da mu żadnych szans. Wpakuje mu między oczy tę kulę, którą on także tak bardzo pragnie wystrzelić. A przez ten czas ja będę tu siedział ze stopą w miednicy, gapiąc się na zachód słońca. Te idiotyczne mięsożerne larwy, to był znak. Los odsuwał mnie od dalszej rozgrywki. Już byłem wyrzucony z gry. Ostateczna faza polowania miała się odbyć beze mnie.

Wszystko we mnie aż wywracało się w obliczu takiej niesprawiedliwości. Moje popadnięcie w niełaskę pozwalało mi zdać sobie sprawę, Jak dalece z upływem czasu M'Bumba stał się dla mnie ważny. Byłem pełen entuzjazmu dla tego polowania, które rozpoczęło się jak przyjemny weekend, a przerodziło się w pasjonującą i irytującą zabawę w

chowanego. Byłem teraz przekonany, że M'Bumba miał sens. Stary, okaleczony słoń miał stać się ukoronowaniem naszego życia myśliwych, a w każdym razie jego epizodu, który rozpoczął się rok wcześniej. Po to został nam zesłany.

Nadchodzące dni miały być najważniejsze i przynieść największe emocje. Ja zawiodłem w kluczowym momencie. Zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę i wielkość stawki sprawiała, że jeszcze boleśniej odczuwałem przymusową rezygnację. Przeklinałem los, Afrykę i tę bandę rozpasanych egoistów, którzy, podczas gdy ja walczyłem z rozpaczą, myśleli tylko o tym jak pić, obżerać się i przechwalać.

* * *

Monumentalna góra białego, smakowitego ryżu, przedzielona w połowie zagłębieniem, w którym dymił sos z mięsem i owocami, trzy rzeczne ryby, tłuste i długie, pieczone w całości, z rozciętymi brzuchami pokrytymi małymi, kwaśnymi ziarenkami, które Mała znajdowała w lesie, liczne leśne indyki obsypane tajemniczymi ziołami i naturalnie morze Chateau-Monbrisac 1976; potrzeba było całej tej kolacji, śmiechów moich towarzyszy i kilku szklanek wina, bym zdołał otrząsnąć się nieco ze smutku.

Tatave, przyklejony do brzegu stołu, nad którym błyszczały jego wielkie okrągłe oczy, opychał się bez opamiętania wszystkim, co pojawiło się w zasięgu jego rąk. Paulo dużo pił, jeszcze więcej krzyczał i opowiadał nie kończące się kawały, których zakończenia pod wpływem wina nie pamiętał. Montaignes śmiał się mimo wszystko. Jemu też było wesoło i zaśmiewał się z byle czego.

Małe Ludziki dostały swoją część uczty i pożarły ją siedząc w kucki na ziemi, naprzeciwko siebie. Po posiłku ojciec wyciągnął długą drewnianą rurkę i wielkie zawiniątko trawki. W jeden z otworów wciskał jej imponujące ilości. Jego syn zapalał i pociągał, wciągając w płuca cały dym. Wszyscy czekali, że w pewnej chwili dym zacznie mu lecieć uszami.

Błyskawicznie obaj pogrążyli się w stan głębokiego oszołomienia. Ich małe oczka stały się mikroskopijne, dwa małe czarne groszki w krwistoczerwonej otoczce. Szczebiotali nadal na jedną nutę, „puiii... puiii... puiii...”, i zaśmiewali się waląc po udach i kołyszac w miejscu.

Montaignes usiadł koło nich, jakby bez powodu, i zaczął im prawić uprzejmości. Śmiali się i poczęstowali go trawką, podając mu wielki shilom. W ten sposób, zamiast cygar do kawy, wypaliliśmy sporo gorzkiej i wonnej trawki, dobrze wysuszonej, oczyszczonej i

bardzo mocnej. Szybko poczułem się całkowicie odprężony i wreszcie stałem się bardziej towarzyski.

Paulo majaczył, naćpany Montaignes, ze wzrokiem utkwionym w suficie i jedną półkulą mózgową pogrążoną w marzeniach, posługiwał się drugą, by odpowiadać „tak”, „na pewno” i „aha?”, co sprawiało wrażenie, że uczestniczy w rozmowie...

- Ty, jako naukowiec, powiesz mi, że to żaden dowód... Znaleźliśmy dwa trupy. Nie jednego: dwa! Dwa dorosłe, i w dodatku stare...!

- Na pewno...

- To znaczy, że były to stare słonie, które poszły umierać. I że umarły w drodze. W drodze na cmentarzysko słoni!

Zapewne popełniłem tę niezręczność, że się uśmiechnąłem, bo Paulo natychmiast odwrócił się do mnie z oskarżycielsko wyciągniętym palcem wskazującym.

- Tak, proszę pana! Wiem, co mówię! No w końcu do jasnej cholery! Przecież te stare skurwiele gdzieś muszą umierać! Nigdy nie znajduje się trupów! A tu aż dwa! Dwa, może to nie jest statystyka?

* * *

Siedzące w swoim kącie Małe Ludziki zaczęły podśpiewywać. Czarny, jak tylko siedzi i nie ma nic do roboty, zaczyna śpiewać. Syn powoli uderzał w kawałek drewna. Bez końca wyśpiewywali prostą melodyjkę na dwa głosy, o wysokiej i miękkiej zarazem tonacji; choć dobiegała z odległości zaledwie dwóch metrów, wydawało się, że płynie z daleka, z pogrążonego w ciemnościach lasu.

Montaignes skorzystał z nieuwagi Paula, by zamknąć oczy i zastygnąć z uśmiechem szczęścia na ustach. Stary udawał mi matematycznie, że się myliłem, coraz to dolewając sobie potężną dawkę wina. Tatave zasnął kamiennym snem na jakiejś skrzynce, z pośladkami w górze i głową na ziemi. Bebe, ogarnięty wilczym apetytem, dobierał się kolejno do wszystkich resztek.

Po sprzątaniu Mała przyszła wziąć udział w naszym wieczorku. Wślizgnęła się pod moskitierę, odświeżnie ubrana, pełna wdzięku i dziecięcej radości. Siedząc koło mnie przyglądała mi się, z głową wzruszająco złożoną w kielichu obu dłoni, z nieznacznym uśmiechem i wyrazem szczęścia w wielkich czarnych oczach, wpatrzonych w moje.

Usiłowałem uciec, patrzeć gdzie indziej, zażenowany bezwstydną szczerością jej spojrzenia. Ale za każdym razem musiałem do niej powracać. Miała na sobie nową turkusową

spódnicę i szeroką plastikową bransoletę w odpowiednim kolorze. Zaczesała włosy do tyłu tak, że tworzyły grzywę jak u lwa. Pożyczyła sobie jedną z moich dżinsowych koszul, o wiele na nią za dużą, i podwinęła wysoko rękawy. Głęboki dekolt, tuż przede mną, ukazujący nasadę jej pięknych jasnych piersi, doprowadzał mnie do szaleństwa. Tyle razy widywałem ją nagą albo z piersiami na wierzchu. Po raz pierwszy czułem, że jej pragnę, że mnie pociąga.

Elias - myślałem sobie. - Co ty wyprawiasz? Jesteś chory? Chorujesz na to, że jest piękna - odpowiadałem sobie.

Tego wieczoru Mała weszła w moje życie. Nie mogłem zasnąć. Noc była gorąca, wypełniona odgłosami owadów i wilgocią. Ciemności panowały całkowite, bez księżyca, było czarno i ciężko.

Paulo chrapał jak mechaniczna piła.

Pociłem się pod swoją moskitierą, wierząc się i przewracając z boku na bok na wąskim łóżku, które boleściwie trzeszczało pod moim ciężarem. Daleko odrzuciłem koc i nie byłem nawet w stanie leżeć bez ruchu, zbyt zdenerwowany, wstrząsany zadziwiająco silnymi emocjami za każdym razem, kiedy o niej pomyślałem, i o tej chwili, kiedy na mnie patrzyła. Jej delikatna twarz, szeroki uśmiech, doskonała linia dłoni, na których opierała podbródek... a zwłaszcza tyle uczucia w tych głębokich, czarnych oczach... Wspomnienie to nie dawało mi spokoju. Stale je przywoływałem, nie potrafiąc już w końcu zobaczyć w myślach dokładnych rysów jej twarzy, raczej coś zamazanego, bezkształtnego, co doprowadzało mnie do rozpacz.

Przez krótkie, ulotne chwile moje myśli błądziły w okolicy jej legowiska, pod małą moskitierą, kilka metrów od naszej, tuż obok mnie. Zapewne jej także było gorąco. I pewnie też odsunęła koc...

- Śniesz na jawie - mówiłem sobie. - Robisz sobie złudzenia. To z powodu braku kobiet. Śpij. Odpręż się i zaśnij. Myśl o czym innym. Czy były to tylko złudzenia? Nie! Jej spojrzenie było zbyt wymowne. A poza tym przypominałem sobie, z nieustającą przyjemnością, wszystkie te drobne względy, które od początku mi okazywała i które dotąd ledwo zauważałem. Ależ tak! W jej spojrzeniu było tyle ufności, poczucia wspólnoty, tyle uśmiechu... Nie mogło być mowy o pomyłce. Zapewne wypila trochę wina, które wyzwoliło jej uczucia, ale musiały one istnieć już wcześniej.

A ta urocza pantomima w rzece tego dnia, kiedy prała bieliznę...

W każdym razie na pewno nie myliłem się co do moich własnych uczuć. Fakt, że dotąd Mała była dla mnie tylko małą podopieczną, jakby małą sympatyczną siostrzyczką. Co więcej, zawsze uważałem ją za małą dziewczynkę, nie zwracając nawet uwagi na jej kształty. Teraz jednak odczuwałem wobec niej męskie pożądanie i niepohamowane pragnienie, by

przycisnąć ją do siebie.

Walczyłem ze sprzecznymi marzeniami i refleksjami, plątałem się coraz bardziej i nie mogłem zasnąć.

* * *

Pierwszym obrazem, jaki zapragnąłem ujrzeć po przebudzeniu, był jej obraz właśnie. Odczułem jakby skurecz w sercu, połączony z falą szczęścia, kiedy ją zobaczyłem, tak szczupłą i ładną. Tego ranka miała na sobie krótkie sportowe czerwone szorty i bawełnianą koszulkę z obszernym dekoltem, odsłaniającym delikatne ramiona. Jej radosny uśmiech, małe białe ząbki, wielkie oczy, wszystko to było jak olśnienie.

- Dzień dobry. Dobrze spałeś, Elias?

Podawała mi kubek gorącej kawy. Oczekiwałem, czegoś więcej niż takiego banalnego porannego powitania, ale sam nie bardzo wiedziałem czego. Cóż innego mogła powiedzieć? Było mi głupio, że mój zapal został ostudzony, a ja, przywołany na ziemię, wsadziłem nos w kubek.

Myśliwi wypłynęli o świcie. Ruszyli w górę Sanghi aż na wysokość słoniowej krypty. Stamtąd mieli dojść na miejsce, by odpiłować kły. Nie można się było ich spodziewać przed wieczorem.

Obozowisko pogrążone było w przyjemnym cieple afrykańskiego poranka. Specyficzną, napiętą ciszę wielkich przestrzeni przerywały od czasu do czasu krzyki ptaków. Rzeka, szeroka - i rozlana, płynęła powoli, wzmagając jeszcze ogólne wrażenie spokoju. Obawiałem się, że uschnę z nudów, odsunięty od działania, ale w końcu nie było mi tak źle.

* * *

Kuchnia składała się z rzędu czterech ognisk rozpalonych nad wykopanym w ziemi rowem, który pozwalał manipulować nad nimi bez pochylania się. Każde ognisko otoczone było kręgiem białych kamieni. Obok wznosił się stos czarnego drewna, rezultat krwawicy Tatave. W tyle, pod plandeką rozpiętą niczym dach namiotu, trzymaliśmy najbardziej nietrwałe zapasy. Reszta rozmieszczona była w kufrach na ziemi dookoła ognisk: była tu imponująca ilość miednic, garnków i lśniących czystością naczyń, niczym na bazarowym stoisku.

Tatave odpowiedzialny był za otwieranie puszek. Spokojny, siedząc w kukki, jeszcze

grubszy niż kiedy wyruszaliśmy, nastawił sobie muzykę z poobijanego radiomagnetofonu: „You give me fever...” Shirley Bassey, na złej prędkości. Tego ranka zdałem sobie sprawę, że co najmniej jedną trzecią zawartości każdej nowo otwartej puszkę przeznaczał na osobiste i natychmiastowe spożycie.

Parę kroków dalej stały pirogi, do połowy schowane wśród żółtych traw. Na brzegu schły w słońcu rozłożone na ziemi kolorowe części bielizny i ubrania. Za kuchnią widać było moskitierę Małej i kącik, jaki urządziła sobie wspólnie z Tatave. Na jego umeblowanie składały się jedna lampa i składany fotel, które nam podwędzili.

O dziesięć metrów stąd wznosiła się parasolowa sosna, pod którą zawiesiliśmy naszą wielką białą moskitierę, otoczoną trzema stosami równo ułożonych kufrów.

* * *

Nagle pojawiła się Mała z zeszytem w ręku. Po drodze przyłożyła nim Tatave, karcąc go z surową miną.

- Ty pracować, jasne?

Tatave roześmiał się. Pogodzili się już.

Przyszła i usiadła koło mnie. Znow nie wiedziałem, jak się zachować, co robić, co myśleć, i usiłowałem uśmiechać się. Otworzyła zeszyt na kolanach i zaczęła przewracać kartki, niekiedy rzucając krótkie spojrzenia na obrazki. Montaignes zredagował dla niej ten elementarny leksykon podstaw francuskiego, jak sam mawiał, używając do tego celu szkolnego zeszytu. Był tam alfabet, wypisany kolorowymi flamastrami, cała masa doskonale narysowanych przedmiotów, z wypisanymi nazwami po francusku, wielkimi literami, oraz puste miejsca, by mogła sama poćwiczyć ich pisownię.

Znalazła wreszcie właściwą stronę i z błyszczącymi oczyma wyciągnęła do mnie zeszyt. Pokazała mi obrazek, którego szukała: mały facecik i mała kobietka w ślubnych strojach, trzymający się za ręce. Było tam napisane „MĄŻ”.

- Mąż - powiedziała. - Ty, Elias, mąż.

Powiedziała to ze spokojem, jak oczywisty fakt. Serce zabiło mi szybciej. Rozklejałem się, poddając jej urokowi wobec takiej niewinności. Pod wzorem napisała wielkimi niepewnymi pociągnięciami, wszystkie trzy litery, „MĄŻ”, jakby chcąc uprawomocnić sprawę ze swej strony.

* * *

Moja rana goiła się. Jej brzegi były czyste i zablizniały się. Nadal jednak nie mogłem postawić stopy na ziemi i wlokłem się z trudem, podskakując na jednej nodze albo podpierając się piętą, choć, jak mogłem, unikałem chodzenia.

Mimo to poszedłem z całą trójką: Małą, Tatave i Bebe, żółtym pieskiem, na brzeg nieco dalej w górę rzeki, gdzie łowili te swoje tłuste szare ryby. Była to praca mozolna i milcząca. Chodzili zanurzeni w wodzie do ramion, trzymając między sobą sieć obciążoną kamieniami, które wlokły się po mulistym dnie.

Tego dnia szybko przestali, by rozpocząć zabawę, gonitwy i by pryskać na siebie wodą jak dzieciaki, którymi przecież byli. Bebe, rozumiejąc, że połów skończony, trzema susami znalazł się w wodzie, by przyłączyć się do uciech. Siedząc w cieniu przyglądałem się ich figlom.

Przyszła do mnie nieco później, zostawiając tamtą dwójkę w wodzie. Usiadła obok mnie. Jej koszulka kleiła się do ciała; we włosach miała pełno kropelek wody.

Szukałem, co mógłbym powiedzieć.

Czy rzeczywiście należało coś mówić? Pozwoliłem, by zapanowała między nami cisza. Mała niemal odwrócona była do mnie plecami, z oczami utkwionymi gdzieś w powierzchnię wody, milcząca i nieruchoma. Co ja powinienem zrobić?

Wyciągnąłem rękę. Być może gest mój był trochę niepewny. Powoli położyłem dłoń na jej ramieniu, by odwrócić ją ku sobie. Posłuszenie pozwoliła się przyciągnąć. Miałem przed sobą jej błyszczące czarne oczy, zdziwione, nieco przestraszone, i przytuliłem ją do siebie, pochylając się, by dotknąć jej warg.

W ostatniej chwili odwróciła twarz i wtuliła głowę pod moje ramię, w przypływie nieśmiałości. Rozczuliło mnie to. Łagodnie pogładziłem jej włosy, po czym, unosząc je, złożyłem delikatny pocałunek na jej karku. Odpowiedziała mi gorącą pieszczotą i poczułem na szyi jej małe ząbki. Próbowałem łagodnie podnieść jej głowę, ale za każdym razem zwijala się w kłębek kuląc ramiona. Dopiero po długotrwałych pieszczotach powoli uniosła twarz i spojrzała na mnie.

Była bardzo poważna. Wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i wysunęła usta ku moim. W chwili gdy wargi nasze miały się zetknąć, wybuchnęła śmiechem i odrzuciła głowę do tyłu. Z twarzą ukrytą w dłoniach zanosila się od długiego, niepohamowanego i trochę wymuszonego śmiechu.

Paulo i Montaignes wrócili z kością słoniową późno w nocy: cztery piękne sztuki, każda niemal dwumetrowej długości. Niestety! Podczas powrotu popsuł się silnik pirogi. Nie było już sprzęgła, wszędzie sterczały zniszczone koła zębate. Wyglądało na to, że szkoda jest nieodwracalna, co pozbawiało nas jednej pirogi na drogę powrotną.

Głośno wyraziłem swoją radość z powodu kości słoniowej, a także rozpacz w sprawie silnika, bardzo głośno poskarżyłem się na swoją stopę, jeszcze głośniejszym głosem wyraziłem żal w związku z tymi wszystkimi pięknymi dniami polowań, których byłem pozbawiony, i zachwycony pobieglem położyć się spać, mając przed sobą obietnicę spędzenia kolejnego dnia z Małą.

* * *

Rano pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była jej twarz.

Przyglądałem się jej z daleka albo, kiedy była blisko mnie, obserwowałem każdy jej szczegół nigdy się tym nie nudząc. Myślałem tylko o niej. Tylko jednej rzeczy pragnąłem, mieć ją blisko siebie.

Całe dni spędzałem w kuchni albo nad rzeką, kiedy prała. Gdy miała czas, wyruszaliśmy na spacer, trzymając się za ręce. Tatave podążał za nami, a Bebe plątał się między nogami. Długo też kąpaliśmy się i bawili w rzece, a wtedy ocierała o mnie swoje drobne ciało i wymykała się ze śmiechem, prześlizgując się między moimi ramionami. Przez cały dzień wymienialiśmy spojrzenia i uśmiechy. Nie sposób opisać, jak dobrze to na mnie działało.

Podczas naszych tete-a-tete była niewiarygodnie piękna. Jeszcze piękniejsza, zdawało się, niż na początku naszego romansu, bo właśnie tego słowa należy tu użyć.

Nieustannie miałem ochotę dotknąć jej niesamowitej jasnej skóry, jak u Tahitanki, aksamitnej, budzącej pożądanie. Gładziłem wówczas jej twarz, delikatnie, i czasami składałem długi pocałunek na policzku. Jej grube włosy, gęste jak grzywa, subtelny wdźwięk jej nadgarstków i dłoni, każdy jej widok, każda chwila z nią spędzona sprawiały, że czułem się szczęśliwy.

Była żywa i inteligentna. W swojej pracy zadziwiała mnie swoimi umiejętnościami, a jeszcze bardziej zmysłem organizacyjnym. Dla dziewczyny w tym wieku była to robota delikatna i trudna. Z obowiązków wywiązywała się wspaniale, nigdy nie było nawalanek.

Pilnie przestudiowała leksykon Montaignes'a i zadawała mu mnóstwo pytań. Nie

mając pojęcia o gramatyce, nie potrafiła układać zdań w poprawnej francuszczyźnie, ale dysponowała bogatym słownictwem. Zadając jej pytania odkryłem, że doskonale umie się wypowiedzieć i wyrazić swoje myśli.

* * *

Miała podwójną osobowość: to właśnie mnie w niej fascynowało. Na jej białą część składały się jej jasna skóra, delikatność rysów i zaskakujący wdzięk ruchów. Poza tym była w niej tylko Afryka. Kiedy ucierała proso dla Małych Ludzików w wielkim drewnianym moździerz, miała tak samo łukowato wygięte plecy i długie, regularne ruchy ramion, jak wszystkie afrykańskie kobiety ucierające proso. Była umięśniona, dobrze zbudowana i sucha, przyzwyczajona do trudnego życia. Podczas naszych zabaw miałem okazję zauważyć siłę Jej ramion i dwóch bicepsów wyrobionych przez pracę nad moździerzem.

Wieczorem, kiedy wszyscy już leżeli, szedłem do niej i siadaliśmy obok jej moskitiery, w jej małym salonie. Tam też, szeptem, najwięcej rozmawialiśmy, o wszystkim i o niczym, dla samej przyjemności bycia razem.

- Ty, odjechać?

- Tak. Pewnego dnia odjadę.

- Ty, odjechać, twoja dom?

- Nie, nie dom. No, właściwie tak. Ja mam wszędzie domy.

- Ty, domy dużo? Ty robić dom, ja w dom wszystko prac, robić czysto. Ty przychodzić, zadowolony.

Czasami opowiadała nie kończące się historie o swojej wiosce, pełnej braci i braci ojca, w której mężczyźni podkładali sobie wzajemnie świnię, a kobiety rzucały, jedna na drugą, uroki. Słuchałem nieuważnie, pochłonięty grą cieni na jej policzkach albo długim łukiem jej szyi, zahipnotyzowany jej ogromnymi czarnymi oczami, oddalonymi od moich o parę centymetrów. Potem szedłem spać z lekkim sercem, bardziej odpężony i szczęśliwy niż kiedykolwiek przedtem.

Jedyne chwile, które nie należały do mnie, to były jej noce i późne popołudnia. Chętnie bym uprawomocnił moje stosunki z Małą wobec moich dwóch towarzyszy, ale kiedy tylko Paulo i Montaignes pojawiali się w pobliżu, stawała się oficjalna, a nawet uciekała, jeśli się zbliżyłem. Spotykałem ją wówczas, co bardzo mnie smuciło, dopiero o wiele później, na naszych wieczornych pogaduszkach.

* * *

Naiwność naszych pierwszych pocałunków sprawiła, że Mała stała mi się jeszcze droższa. Pierwszy raz wydarzyło się to w lesie, kiedy za sprawą nagłego natchnienia wziąłem ją za ramiona, pochylając się, i przycisnąłem wargi do jej ust. Zastygła w bezruchu. Kiedy przedłużyłem swój pocałunek, odskoczyła w tył z dłonią przy ustach, jakby sobie ze mnie kpiała. Następnie, kiedy wyciągnąłem do niej rękę, podeszła. Pocałowałem ją znowu. Przyzwyczaiła się. Po kilku dalszych próbach zaczęła odpowiadać na moje pocałunki.

Zasmakowała w nich niesamowicie szybko. Tak bardzo, że wkrótce nie chciała już przestać. Traktowała to jak wszystko inne: jeszcze jedną prerogatywę żony wobec męża, Eliasa, i co chwila wczepiała się we mnie, by przycisnąć swoje usta do moich. W kuchni rzucała wszystko, by usiąść mi na kolanach i całować namiętnie. Podkrażała się do mnie, kiedy opatrywałem sobie rękę, i wieszała się na mojej szyi całując rozchylonymi wargami. Przyciskała mnie do siebie, przytulała się do mnie i nieustannie przysuwała swoją twarz do mojej.

Potem nastąpiło głaskanie, nieśmiałe pieszczoty i przymilanie się. Często gładziła mnie dłonią po moich krótkich włosach, które ją zadziwiały. Patrzyła wtedy na mnie poważnie i wzdychała:

- Ja, bardzo lubić. Bardzo!

Jakoś tak smutno. A potem nachylała się, by mnie pocałować.

Któregoś popołudnia zobaczyłem Tatave, jak przestępował z nogi na nogę pośrodku obozowiska, z głową wzniesioną ku niebu i wargami zwiniętymi w kurzy kuper, naśladując nas. Posyłał w przestrzeń wielkie, donośne pocałunki i śmiał się beczelnie.

* * *

Paulo i Montaignes powrócili któregoś wieczoru ze szczególnie trudnego wypadu. M'Bumba wyprowadził ich w jakiś oddalony zakątek bagien, po czym - jak zwykle - zniknął, pozostawiając ich w błocie.

Paulo miał włosy zlepione na skroniach i karku jakąś brązową mazią, która zabrudziła także koszulę. Jego buty zamieniły się w dwie bryły gliny. Montaignes wyglądał odrażająco od stóp do głowy, miał błoto nawet na okularach i był bardzo zmęczony. Próbowałem powiedzieć coś, by podnieść ich na duchu.

- Cześć, chłopaki! Jak leci? - rzuciłem wesołym tonem.

Na nic innego nie wpadłem. Nagle poczułem się bardzo głupio: ja taki czysty i wypoczęty, rozwalony na leżaku. Zdjęli z siebie wszystko i bez słowa poszli się kąpać, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Później Paulo zbliżył się, z nie wróżącym niczego dobrego uśmiechem na ustach:

- I co, proszę pani, mam nadzieję że to kuku na stopie już nie sprawia takich cierpień? Smaruje pani to przynajmniej maścią...?

Znów poczułem się głupio. Moja stopa była już całkowicie wyleczona. Owszem, trochę kuląłem, ale głównie, żeby ich zmylić.

- Ten kutas! - krzyknął Paulo w stronę, Montaignes'a, leżącego na łóżku - ten kutas myśli, że jesteśmy tylko głupimi myśliwymi! Wydaje mu się, że niczego nie widzimy. Jesteśmy ślepi, prawda?

- Paulo...

- Myśli, że go nie widzimy, ten nasz marzyciel! Jak smali cholewki! Co? Jak kręci się wokół Małej! Co? I jak sobie ją obmacuje przez cały dzień? Masz, zastanawiam się, czyja teraz się nie rozchoruję...

- Ale, Paulo, posłuchaj...

- Tak! Zastanawiam się, czy nie poprosić o urlop. Nie jestem leniuchem, ale...

- Paulo!

* * *

Zostało to powiedziane niby od niechcienia i z uśmiechem, ale zostało, co oznaczało, że moi towarzysze nie pochwaliли mojego zachowania. Mieli zresztą rację. Od paru dni pozostawiałem im całą robotę, bez żadnego wiarygodnego usprawiedliwienia.

Udawałem, że jeszcze trochę boli, że mogłoby się źle goić, utykałem, kiedy tylko ktoś na mnie patrzył... Ale wagary się skończyły. Paulo i Montaignes coraz gorzej znosili te podchody we dwóch, podczas gdy dowódca wyprawy fundował sobie słodkie życie.

- Przecież jestem już zdrowy. Jeszcze jeden dzień, żeby uniknąć zbędnego ryzyka, i idę z wami, chłopaki!

Sprytnie wynegocjowałem dodatkowe dwadzieścia cztery godziny, przysięgając, że pojutrze będę uczestniczył w polowaniu. Nie chodziło mi o leniuchowanie, ale miałem bardzo dokładne plany co do jutrzejszego rozkładu dnia; plany, w których realizacji nic mi nie mogło przeszkodzić, nawet jakiś przekłety słoń. Zapadłem w sen opracowując ostatnie szczegóły

swojego projektu.

* * *

Obudziłem się bardzo zdenerwowany. Miało się to stać dzisiaj. Wypiłem kawę, rzucając radosne spojrzenia na zgrabny mały tyłeczek mojej narzeczonej. Napinał on cudowną czerwoną spódniczkę i sprawiał, że miałem ochotę gryźć.

Dzisiaj będzie moja. Postanowiłem to. Długo myślałem nad tym i analizowałem swoje uczucia. Były szlachetne i czyste. Od tej pory wybierałem ją sobie na towarzyszkę i musiałem ją posiąść. Wszystko było w porządku...

Nie zwlekając przystąpiłem do pierwszej części mojego planu: pozbyć się elementów niewygodnych.

- Tatave! Taaaaataaaave!

Nadbiegł, z wiecznie rozradowaną miną, i rechocąc posłał mi z oddali wielkiego buziaka.

- Chodź tutaj. Coś ci wytłumaczę...

Kucnąłem przy nim, położyłem mu rękę na ramieniu i słodkim głosem wyjaśniłem:

- Mała i ja wybieramy się do lasu. Będziemy szukać...eee...grzybów! Ty zostaniesz tutaj, bo trzeba pilnować obozu. To wielka odpowiedzialność i tylko ty możesz wykonać tę pracę. Musisz wszędzie patrzeć, na wszystko, cały czas. Zrozumiałeś?

- Nie.

Uśmiechnął się, patrząc na mnie wzrokiem pełnym radości i wspaniałej afrykańskiej niewinności, i czekał.

- No dobrze... Hm! No więc tak: my, odejść, ja i Mała. Szukać grzyby. Ty, wielka odpowiedzialność. Ty pilnować obóz, kiedy ja tu nie być. OK? Ty, wielka odpowiedzialność OK? Ty, patrzeć wszędzie, cały czas. Ty, rozumieć?

- Nie.

Gdyby mógł uśmiechnąć się szerzej, zrobiłby to. Jego wzrok wbity we mnie był pusty, pełen nieograniczonego zadziwienia. Co jest? Puszczął do mnie murzyńskie oko? Do cholery! Jak można być takim bałwanem? Czy tylko ja jeden na świecie posądzałem go o krztę inteligencji?

- Posłuchaj, mały - wrzasnąłem. - Ty zostać. Ja, do lasu! Grzyby, mniam mniam! Elias i Mała odeszli. Ty, wielki wódz, pilnować, pilnować! Rozumiesz?

Mała pojawiła się nagle za jego plecami i złapała go za ucho, wykręcając je.

- My odeszli! Ty, rozumieć.

Iskierka inteligencji znów rozbłysła w oczach Tatave jednocześnie z grymasem bólu na jego twarzy. Podniósł do góry kciuk.

- OK! OK! Rozumieć. Elias i Mała do lasu, żeby, hi! hi!, szukać grzyby, hi! hi!

Uderzyłem otwartą dłoń w głowę tego kretyna, który najwyraźniej nie był taki głupi, i szybko przygotowałem koszyk z wałówką: coca-cola, herbatniki, czekolada... Byłem gotów.

Albo prawie. Błyskawicznie tasakiem pokroiłem dobry kilogram mięsa na małe kostki, zawinałem w papier i wsunąłem do koszyka: druga część planu.

Następnie, z sercem bijącym jak u sztabaka, poszedłem zaprosić moją przyszłą i ruszyliśmy we dwoje, prosto do rzeki.

Sangha nie była głęboka, nie licząc paru dziur, które łatwo było wypatrzeć uważając na kolor dna. Woda sięgała mi do piersi, a najczęściej do bioder. Naprzeciwko obozu, w środkowym nurcie, rzeka rozwidlała się opływając długie, puste i trawiaste wysepki o piaszczystych brzegach. Poprzedniej nocy wybrałem sobie miejsce. Te długie spokojne wyspy, jak okiem sięgnąć, zapewniały całkowitą izolację, doskonałą intymność i wspaniałe otoczenie.

Mała niosła koszyk na głowie, a Bebe, któremu znudziło się już płynąć za nami, pozwalał się jej nieść na rękach. Dobiliśmy do cypla jednej z wysp. W pobliżu małej piaszczystej plaży woda była całkowicie przezroczysta, nie głębsza niż dwadzieścia centymetrów i lśniąca od słońca.

Mała położyła się jak długa na piasku, zmęczona przeprawą przez wodę, ze spódnica przylepioną do ciała i kropelkami wody na włosach. Wyglądała jak nimfa wodna, i na chwilę widok ten odjął mi mowę.

No, dalej! Najpierw część druga. Pozbyłem się już Tatave. Teraz trzeba było unieszkodliwić Bebe. Jego nie można było zostawić w obozowisku. Zawsze i wszędzie towarzyszył swojej pani. Pozbawić go przytomności i związać byłoby niedelikatnością wobec mojej połowicy. Poza tym lubiłem go. Po prostu miałem mu za złe, że zawsze, systematycznie, przerywał nasze pieszczoty i wciskał swój pyszczek między nasze wargi. Sposób, w jaki zwykł wówczas lizać twarz swojej pani pojękując przy tym, bardzo działał mi na nerwy.

- Bebe! Bebe! Tutaj, Bebe! Zobacz, co dla ciebie mam!

Wyciągnąłem zawiniątko z mięsem. Bebe natychmiast podbiegł i wcisnął w nie swój spiczasty pysk, wariacko wymachując kawałkiem żółtej szmaty, która służyła mu za ogon.

- Masz, mój Bebe! To dla ciebie! Dla kogo to będzie? Ależ dla Bebe!

Jeden po drugim wciskałem mu do pyska kawałki mięsa. Ochoczo zatapiał w nich zęby, siedząc wygodnie, z oczami przysłoniętymi mgiełką wdzięczności.

- Och! Bebe! - próbowała interweniować Mała. - Za dużo jeść! Elias! Za dużo! Za dużo!

Ruchem dłoni nakazałem jej milczenie i nakarmiłem Bebe aż do ostatniego kawałka mięsa. Jego mały brzusek był rozdęty i okrągły jak piłeczka. Zrobił parę kroków po plaży, zdziwiony tym nieoczekiwanym ciężarem. Następnie przeciągnął się i potężnie ziewnął. Byłem w siódmym niebie. Niepewnie podszedł do dużej kępy żółtych traw, wcisnął się w nią, położył łeb i zasnął. Nareszcie! Nareszcie byłem z nią sam na sam!

Zdjąłem jej spódnice. Nie zrobiła nic, stojąc nieruchomo, i przyglądając mi się z wyrazem ogromnego zdziwienia w oczach. Wziąłem ją na ręce, przytuloną do mnie jak dziecko, z głową złożoną na moim ramieniu, i pochodziłem tak z nią trochę.

- Pójdziemy się wykąpać - zaproponowałem łagodnie.

Bawiliśmy się do utraty tchu, pływając i biegając w wodzie, goniąc się wzajemnie. Atakowaliśmy się wielkimi bryzgami wody. Moje dłonie zamykały się niekiedy na którejś z jej krągłości. Jej dłonie chwytaly i dotykały mojego ciała, mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

Potem, nagle uspokojeni, długo staliśmy objęci w chłodnej wodzie, bez ruchu, bez powodu, w ogólnej ciszy. Wsłuchiwałem się w jej oddech. Przyciskałem do piersi jej mokre ciało. Czułem się niewiarygodnie szczęśliwy. W końcu zaniósłem ją na plażę i położyłem na piasku.

Długo patrzyłem na jej sterczące piersi, wymierzone prosto w słońce, na jej płaski brzuch, jej długie nogi, jeszcze drżące po naszych gonitwach, i na piękny czarny trójkąt miękkiej i młodej sierści między jej udami.

Nachyliłem się nad nią i wyciągnąłem ręce. Dłonie zamknęły się na jej piersiach, a potem rozpocząłem eksplorację; moje palce przesuwaly się po wszystkich zakątkach jej ciała i często zatrzymywały się na dłużej. Pod wpływem moich pieszczot wila się i prężyła jak małe zwierzątko. Zanurkowałem i przycisnąłem usta do jej skóry, wydzielającej mocny pieprzny zapach, po czym ponownie ruszyłem na rozpoznanie jej ciała.

Była gotowa, wilgotna, z wygiętymi plecami. Jej oczy, które zamknęła, kiedy zaczęły ją pieścić moje dłonie, otworzyły się teraz, jakby przysłonięte mgłą. Z jej gardła wydobywało się niskie, głucho mruczenie.

Pożądanie sprawiało mi ból.

Poczekalem jeszcze, pieszcząc i liżąc ciało, które mi oddawała. Jej oddech stał się

szybszy. Jęknęła cicho, a mnie ogarnęła fala szczęścia. Położyłem ręce na jej udach i...

Ryk niehumanoidalnej wściekłości spadł na nas jak grom: M'Bumba atakował! Pędził na nas. Był dwa metry od nas!

Skoczyliśmy na równe nogi. W stanie dziwnego uniesienia, pod wpływem strachu i nagłości sytuacji, rozglądałem się na wszystkie strony, a przyrodzenie krępowało mi swobodę ruchów, i starałem się dojrzeć, gdzie on był.

Ale pozostawał niewidoczny. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Ryk nie ustawał i wydawało się, że dobiega z bliska.

Nagle zapadła cisza.

- Gdzie jest ten skurwysyn?! Gdzie?!

Dobrze już znany łoskot łamanych gałęzi i drzew, tratowanych na jego drodze, potworna przybliżająca się szarża, wszystko to zmroziło mi krew w żyłach. Hałas dobiegał z przeciwnego brzegu. Boże! Dochodził z obozowiska!

Potwór pojawił się, roztrącając ostatnie drzewa. Niczym wielka, ciemna katedra, najeżona z prawej strony spiczastym łukiem jedyne kłosa, na ogromnych nogach, przypominających zgniatacze, które wprawiały ziemię w drżenie i wznosiły tumany kurzu za każdym dotknięciem gruntu.

Nagle stanął, gigantyczny, pośrodku naszego sprzętu. Moskitiery, kuchnia, z której unosiły się smużki dymu, skrzynie, całe nasze siedlisko wydawało się śmieszne w porównaniu z tą masą. Coś poruszyło się, o dwa kroki od nóg potwora. Ciemna i okrągła sylwetka, która potoczyła się w kierunku rzeki.

- Kurwa, nie! Tatave!

Stojąca przy mnie Mała wrzasnęła. Teraz wielka masa przed nami przestępowała wściekle z nogi na nogę. Tatave biegł ze wszystkich sił w kierunku wody, tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego małe niezdarne nóżki. Forteca poruszyła się i w mgnieniu oka była już nad nim. Zobaczyłem, jak ogromna trąba wznosi się wysoko w niebo, trzymając naszego małego kuchcika, po czym gwałtownie spada w dół z wielką siłą ciskając jego ciało na ziemię. Następnie podniosła je i cztery czy pięć razy jeszcze rozmiżdżyła je o ziemię.

Wściekle pomruki, sapnięcia i porykiwania słonia, przepełnione nienawiścią i żądzą niszczenia, wyznaczały rytm tej sceny i napawały nas grozą. W końcu ujrzałem, jak chwytając Tatave za nogi. Zamachnął się z furją, po czym cisnął bezwładne zwłoki, które wyleciały w powietrze na niesamowitą wysokość. Z rozłożonymi rękami i nogami, obracając się powoli wokół własnej osi, przeleciały nad obozowiskiem i roztrzaskały się o drzewo.

* * *

Odruch szaleństwa kazał mi rzucić się naprzód. Zacząłem biec przez wodę, a potem z wściekłością płynąć w kierunku drugiego brzegu. Mała wrzeszczała, wzywając mnie do powrotu.

Musiałem tam iść.

Zabić! Zaszokowany śmiercią Tatave i potworną sceną jego masakrowania, wzburzony tym huraganem dzikich pomruków, tym rykiem, jakiego nigdy nie słyszałem u żadnego zwierzęcia, przez parę sekund ogarnęła mnie niezłomna pewność. Trzeba było zniszczyć to coś. Ta potworna czarna skała, ożywiona nienawiścią, nie mogła pozostać na tym świecie. Była zbyt potężna, zbyt zawzięta, zbyt okrutna. Coś takiego nie mogło istnieć. To musiało umrzeć.

Ze wszystkich sił brnąłem w jego kierunku, chwilami przechodząc w crawl, który przybliżał mnie do brzegu.

M'Bumba, nadal rycząc i sapiąc, chodził po całym obozie. Widziałem, jak kolejno wszystko znika. Nie było już moskitier, pozrywanych uderzeniami trąby; kuchnia rozniesiona w drobny mak; w powietrzu przelatywały części ekwipunku; żelazne kufry, uniesione trąbą, spadały na ziemię i pękały z hukiem. Zwierzę całym ciężarem, z hałasem przypominającym wystrzał armatni, przewalało się po wszystkim, co znalazło na swej drodze. Wydawało się, że jest wszędzie. Szybkość jego ruchów graniczyła z cudem.

Byłem już dziesięć metrów od brzegu, gotów do ostatniego i samobójczego sprintu w kierunku zwierzęcia. Nagle ujrzałem je przed sobą, ogromne, wypełniające całe moje pole widzenia, niesłychanie potężne i szerokie.

Przeraziłby nawet samego diabła. Całe bohaterstwo i szaleństwo opuściło mnie momentalnie, stanąłem jak wryty i nawet postąpiłem kilka kroków do tyłu, przerażony swoją nagością i znikomością.

Patrzył na mnie, z głową przechyloną na bok, a ogromne ponadrywane uszy wachlowały jego gigantyczną głowę.

Byłem zbyt blisko brzegu. Zaraz się na mnie rzuci. Po co ja to zrobiłem? Był gigantyczny, a przede wszystkim zadziwiająco szeroki. Jego pierś wyglądała jak ściana czarnego, spękanego ciała. Jego głowa, nieregularnych kształtów skała, miała odcień szary, nieco jaśniejszy. Jedyne kieł wycelowany był we mnie. Resztkę lewego zaledwie wystawała ze szczęki, a miejsce, w którym został ułamany, wyglądało na ostre niczym szablę.

Na jego szyi i kle wisały kawałki lian i gałęzi. Cztery kolumny jego nóg oraz brzuch

pokrywała gruba warstwa błota, ciemna i popękana, tworząca jakby skorupę pokrytą łuskami. Wyglądał jak brontozaur albo inne świństwo w tym rodzaju! Potwór z zamierzchłych czasów, wielki i silny jak mamut!

Widział mnie, byłem tego pewien. Sapnął, zawachlował uszami niczym dwoma wielkimi żaglami i ciężko rzucił się do przodu. Na mnie! Zatrzymał się z przednimi nogami w wodzie, niecałe dziesięć metrów naprzeciw mnie. Stałem jak skamieniały, nie poruszyłem się nawet o włos.

Pokiwał z furią głową, odwrócił się do mnie plecami, po czym nagle wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie runął na mnie jak nawałnica. Zatrzymał się dokładnie na granicy wody i zaczął ją deptać, powodując gigantyczne bryzgi. Warczał jak wielkie drapieżniki. Kilkakrotnie powtórzył te udawane szarże, za każdym razem powodując skurcze w moim żołądku. Wreszcie zatrzymał się, sapiąc jak smok, z ogromnymi przednimi nogami w wodzie; popatrzył na mnie chwilę, po czym odszedł i stracił zainteresowanie dla mojej nieruchomej postaci.

Przeszedł przez obozowisko i za pomocą trąby podniósł ciało Tatave, które obojętnie odrzucił na bok. Wydał ostatni krótki gniewny ryk i pobiegł w kierunku lasu.

* * *

Nie mogłem się powstrzymać, by nie liczyć na jakiś cud. Moje nadzieje okazały się płonne, kiedy tylko zbliżyłem się do ciała. Tatave nie żył. Żaden okrucieństwa życia nie mógł przetrwać w tej bezkształtnej masie.

Nadbiegła Mała i nie zdążyłem jej zatrzymać. Zobaczyła to, co zostało z jej przyjaciela, zgięła się wpół, spazmy ogarnęły jej żołądek, i zaczęła wymiotować blada jak trup, po czym wyjąc pobiegła wprost przed siebie, głucha na moje wezwania.

* * *

Był to straszny cios. Zarówno dla mnie, jak i dla Małej, dla Paula i Montaignes'a, kiedy wrócili. Krótka relacja wydarzeń, jaką im przedstawiłem, pozostawiła ich otępiałych, nieruchomych i milczących.

Kiedy zapadł wieczór, siedzieliśmy bez słowa przygnębieni, wśród pozostałości po obozowisku. Nikt nie miał odwagi zabrać się za cokolwiek. Przerażająca śmierć naszego małego towarzysza ciążyła nad nami i uniemożliwiała podjęcie jakiegokolwiek działalności.

Od czasu powrotu Paulo i Montaignes nie ruszyli się z miejsca i siedzieli pogrążeni w ponurych myślach, nadal ubrani w swoje ubłocone stroje myśliwskie. Zapaliłem kilka pochodni, które skwierczały donośnie w panującej ciszy i rzucały tańczące cienie na zasepione twarze moich towarzyszy. Bebe rozciągnął się na całą swoją długość, z głową na ziemi, i od czasu do czasu pojękiwał.

Wyciągnąłem rękę do Małej, żeby przytulić ją i pocieszyć, ale zaraz się wymknęła. Poszła do pirogi i wyciągnęła z niej swój bęben. Oddaliła się od nas i wkrótce zaczęła wybijać, gdzieś nad rzeką, regularny powolny rytm, który bez przerwy się powtarzał:

Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam, Bam, Bam! Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam!

Źle się czułem. Przed zapadnięciem nocy zebrałem to, co zostało z Tatave, i wiele mnie to kosztowało. W takich chwilach można sobie zdać sprawę, że istota ludzka składa się jedynie z mięsa, i że kiedy ogranicza się wyłącznie do tej wewnętrznej tkanki, wygląda odrażająco. Prześladowały mnie wspomnienia tych kawałków oraz czerwonych plam na prześcieradle, w które je zawinałem; nieustannie stawały mi przed oczami i nie mogłem się ich pozbyć.

Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam, Bam! Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam... brzmiał tam-tam Małej nad rzeką.

Jedno było pewne. Nikt o tym nie wspomniał, ale byłem pewien, że Paulo i Montaignes podzielali moje odczucie. Pozostawało tylko jedno wyjście. Teraz albo M'Bumba, albo my. W każdym z nas głęboko tkwiło postanowienie, by zabić go za wszelką cenę. Musiał zapłacić.

Paulo otrząsnął się z odrętwienia, by upić się do nieprzytomności. Długimi pociągnięciami, dążąc do utraty przytomności, wypił prosto z butelki świeżo odkorkowaną szkocką. Montaignes poszedł w jego ślady, ale nie wytrzymał długo i zasnął na krześle. Osamotniony Paulo pił dalej i tej nocy wlał w siebie więcej alkoholu niż kiedykolwiek przedtem w mojej obecności.

Małe Ludziki paliły przez cały wieczór. Rozpoczęły nucenie półgłosem ponurej pieśni, zapewne żałobnej. Były to dźwięki gardłowe, przygnębiające, nic przyjemnego. Uciekłem od tej beznadziejnej atmosfery. Tam, nad rzeką. Mała nadal waliła. Szedłem wzdłuż brzegu, gubiąc się nieco w całkowitej ciemności bezksiężycowej nocy, wiedziony odgłosem tam-tamu.

Odnalazłem ją dobre sto metrów od obozu, a raczej od jego resztek. Dźwięki kierowane były nad wodę. Za bęben służył jej cienki i wy - drążony pień drzewa, leżący na dwóch podpórkach. Siedząc na piętach machała dwoma ciężkimi kijami z regularnością

automatu, jej oczy były szeroko otwarte i pozbawione wyrazu. Na mój widok uśmiechnęła się lekko i niepewnie. Położyłem się obok niej.

Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam, Bam, Bam! Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam!

Machinalnie zacząłem wybijać ten sam rytm dłonią na trawie. Po chwili zauważyła to i zaczęliśmy się bawić, waląc jednocześnie; ja w ziemię, a ona w bęben. Potem przerwała i wyjaśniła mi ze smutnym uśmiechem:

- To, bęben, znaczyć „Przyjść, przyjść”. W wioska, słyszeć. Wiedzieć zła rzecz, tu niedobrze. Oni przyjść. Oni zabrać Tatave. Ja musieć walić bęben. Tatave umarły, tutaj niedobrze. Umarły dobrze, tylko wioska. Oni przyjść i zabrać on.

Ponownie ujęła kije i, podczas gdy ja leżałem koło niej, waliła tak przez całą noc.

Część trzecia

Wydawało mu się, że nas zatrzymał.

Utrata jednego z naszych i zniszczenie prawie całego dobytku powinno dać nam do myślenia. Zresztą po ostatnim ataku zniknął z okolicy. Według naszej zgodnej opinii, jako że zawsze podążał w kierunku północno-zachodnim, nie było żadnego powodu, by teraz zmienił kierunek. Wydawało się, że ma wytyczony jakiś cel i zapewne kontynuował swoją drogę sądząc, że przeciwnicy zrezygnują z pogoni. Inteligentny był ten skurwiel!

Jego kierunek, na północny zachód, wiódł prosto nad jezioro Tebe, słynne Jezioro Dinozaurów Montaignes'a, poprzez połacie gęstej dżungli, pełnej nieznanych gatunków i praktycznie niezbadanej.

Po dyskusji postanowiliśmy iść dalej. Trzeba było pomścić śmierć Tatave. Kiedy zabijają ci faceta, trzeba natychmiast zlikwidować winnego. W takich przypadkach nie ma co pozostawiać bogom rozkoszy zemsty. Gdybyśmy teraz mieli się cofnąć, do faktorii, żeby zorganizować nową ekspedycję, nie powrócilibyśmy już nigdy na trop M'Bumby. Paulo i ja wiedzieliśmy o tym z doświadczenia. Po powrocie do normalnego życia dramaty wydają się mniej pilne i realne.

Nie, żadnego cofania się! Trzeba iść naprzód! Ekwipunek został zniszczony? Obędziemy się bez wygód. Paulo i ja tak bardzo lubiliśmy komfort właśnie dlatego, że potrafiliśmy się bez niego obejść i byliśmy gotowi do ponownego objęcia służby. Dżungla była gęsta? Zagłębimy się w nią i będziemy z niej żyć. Zdarzało się to już wcześniej, w innych, podobnych miejscach i w innych okolicznościach. Przeżycie w lesie było sprawą wyłącznie organizacyjną, z którą potrafiliśmy się uporać. Poza tym mieliśmy jeszcze broń, żeby polować. Jeśli chodzi o Montaignes, opanowanego myślą o Jeziorze Dinozaurów, to był z nami na sto procent. Mała, ze swej strony, była twarda i lepiej czuła się na łonie przyrody niż którykolwiek z nas. Była w stanie wytrzymać kilka tygodni w warunkach prymitywnego obozowiska.

* * *

Kłopoty pojawiły się ze strony tropicieli, następnego dnia po tragedii, kiedy to w ogólnej atmosferze obelg i przygnębienia stanęli przed nami poważni, wypychając Małą do

przodu.

- No, fajnie - mruknął Paulo. - Będą teraz zawracać dupę! Mała, z twarzą o wyostzonych zmęczeniem rysach, wyrzuciła z siebie bezbarwnym głosem:

- Małe Ludziki odejść. Oni chcą naboje.

- A nie mówiłem? Eee... Mała, powiedz im... Daję o trzy pudełka naboji więcej. On tak nie odejść!

Mała przetłumaczyła. Mocno stojący na swoich kaczkowatych nogach, z ugiętymi kolanami, zdecydowani, obaj faceci wysłuchali jej. Ich małe czarne oczka, bez wyrazu, patrzyły na nas, twarze były zamknięte, szczęki zaciśnięte. Syn głośno oddychał, rozszerzając i zaciskając nozdrza. Nie, potrząsnęli głowami. Ojciec zaszczebiotał jak rozzłoszczony koliber. Mała, zdenerwowana, wzruszyła ramionami.

- On nie chce! Ja mówię! On mówić odejść. Chce naboje. Ja mówię...

- No więc powiedz mu jeszcze raz! Masz, dorzuc pięć pudełek i nie mówmy już o tym.

Mała mozolnie przetłumaczyła, mieszkanką szczebiotu i Kuju. Obaj tropiciele zacięli się, z pochylonymi wełniastymi głowami, którymi zgodnym ruchem potrząsali przecząco.

- Do jasnej cholery! To przecież się we łbie nie mieści!

Paulo walnął się po udach, głęboko odetchnął, po czym przywołał całą swoją znajomość tubylczej psychologii, nabytą przez lata spędzone wśród miejscowych, by spokojnie kontynuować targi.

- Powiedz mu, malutka. Ja, wielki wódz Paulo, gotowy dać prezent: dziesięć pudełek naboji! Dziesięć! I karabin!

Nieźle podbił! Paulo rzucał na szalę wszystko, i miał rację. Nie mieliśmy już czasu, żeby bawić się w szczegóły. Musieliśmy ruszyć za M'Bumbą i zorganizować się, by przeżyć w dżungli. Obecność tych dwóch osłów o ptasim języku była niezbędna. Karabin to wyjątkowa okazja dla dzikusa zagubionego w tej zapadłej okolicy. Trafia się raz na sto lat, sądząc po stanie jego kalibru 12. Mieliśmy w faktorii kilka takich starych egzemplarzy.

Obaj potrząsnęli głowami. Nie ma mowy. Montaignes klasnął językiem i wzdychając założył ręce. Trzeba przyznać, że zaczynali już grać na nerwach. Zmęczona Mała wyglądała, jakby była u progu załamania.

- Ja mówię! Ja mówię! - powtarzała. - On nie chce, M'Bumba, on mówić! M'Bumba!

- Tak, słyszałem - odpowiedział Paulo, drapiąc się w głowę. - M'Bumba, przekleństwo, i te rzeczy... Rozumiem. Powiedz mu, że rozumiem... Powiedz mu... Powiedz

mu, co chcesz, no już! Powiedzmy dwa karabiny.

Stary musiał jeszcze dołożyć karabiny, potem latarki, potem zaczął dygotać, z zaciśniętymi pięściami, wrzeszcząc:

- Daję ci wszystko! Wszystko! Mała, powiedz mu, że cały ekwipunek jest ich, jeśli z nami pójda!

Wszystko, to nie było wiele. Po katastrofie zostaliśmy z dwoma nadającymi się do użytku kawałkami moskitiery, dwiema czy trzema śmiesznymi miednicami, paroma latarkami. Po prostu z niczym. Została nam tylko jedna łódź. Pech chciał, że poprzedniego dnia wyciągnąłem na ląd pirogę z żywnością i drugą; tę, gdzie Paulo zepsuł silnik. Odwróciłem je, żeby przejrzeć dna i w razie potrzeby pozatykać ewentualne szczeliny. Teraz obie pirogi były w kawałkach. Do niczego. Był to najcięższy cios, jaki można było nam zadać.

Monfaignes'owi udało się uratować parę tomików poezji i, co dla nas ważniejsze, mapy i kompas. Poza tym w ciągu czterech minut i paru sekund M'Bumba zniszczył łóżka, fotele, reflektory, startł z powierzchni ziemi generator, porozwalał kufry i ich zawartość, porozsypywał i zamienił w papkę całą żywność, z wyjątkiem worków soli i jednej paczki kawy, zmiażdżył łopaty, garnki, wszystko, co gdzieś leżało, w tym także skrzynkę Chateau-Monbrisac 1976.

Nadchodziły ciężkie czasy. Przed nami, na brzegu rzeki, niczym stos śmieci, leżały wszystkie zapasy z naszego składu, cały nasz podstawowy dobytek.

- Wszystko dostaniesz! Pójdiesz wreszcie, ty kurewski czarnuchu!?

- OK, Paulo! Starczy, trzeba pomyśleć. Poczekaj!

Położyłem mu rękę na ramieniu, uprzedzając nadchodzący atak szału i strzelanie do skurwieli. Odciągnąłem go do tyłu. Małe Ludziki zapiszczały. Przerażona Mała patrzyła na nas.

- Oni, źli! Chcieć naboje!

- Taki wał! - ryknął po chamsku Paulo. - Gówna! Gówna im dam! Płacimy po zabiciu zwierzęcia. O ile wiem, jeszcze niczego nie zabiliśmy! Mogą sobie te swoje naboje...

- OK, Paulo. Spokojnie. Sam się tym zajmę.

* * *

Po chwili podszedł do nas syn, cały roztrzęsiony, i ruszył prosto na Paula. Powstrzymałem go natychmiast tysiącem uspokajających gestów i miłych poklepywań po

plecach.

- Chodź, Mała. Muszę z nim pogadać. Posadziłem go nieco dalej i długo tłumaczyłem, patrząc prosto w oczy, spokojnym i pełnym wyższości tonem:

- M'Bumba, nic. My, siła przeciw M'Bumba. My, duchy przeciwne M'Bumba. Ty idziesz z nami, bo jesteś wielki myśliwy... itd.

Potrząsnął łbem, powiedział, że M'Bumba odejść, wrócić, nic nie można zrobić, i zaczął się denerwować. Pokazałem mu swoje dłonie i cienką białą blizną pośrodku.

- Ja, M'Bumba. On i on, też M'Bumba. Z nami M'Bumba nic nie zrobić.

Zamyślił się, co było dobrym znakiem. Pozwoliłem mu namyślić się do woli, po czym roztoczyłem przed nim perspektywę bogactwa.

- Kiedy M'Bumba zabity, pięć karabinów, dwadzieścia pudełek naboju, po powrocie do Powszechnej Faktorii Handlowej. Wszystko. Popatrzył spode łba na Małą i coś zaszczębiotał.

- On mówić, ty dać pirogę z silnikiem.

Sprawa była wygrana, żądza zysku zwyciężyła przekleństwo.

- OK! Piroga z silnikiem twoja.

Poszedł do ojca. Wypalili swoją fajkę, pomajaczyli, naradzili się i w końcu zawarliśmy umowę.

Opuściliśmy to miejsce jeszcze tego samego wieczoru. Mała zajęła się Tatave. Jego zwłoki zostały umieszczone na palach, wysoko, żeby uniknąć napaści padlinożernych zwierząt, i blisko brzegu, by ludzie Kuju dostrzegli je, kiedy przyjdą na wezwanie tamtamu.

Pozbieraliśmy nasze śmieci i załadowaliśmy resztki, które nam zostały, na jedyną pirogę zdatną do użytku. W zasadzie, nie licząc paru drobiazgów, mieliśmy już tylko broń i amunicję. M'Bumba ominął skrzynię z zapalnikami. Naprawdę musiał nad nim czuwać diabeł! Wystarczyłoby, żeby postawił na niej nogę, a wybuch oderwałby mu ją i w ten sposób nasze kłopoty by się skończyły.

Dynamit, potężny zapas amunicji, trzy karabiny: mogliśmy ruszyć w głąb dżungli.

Wyprawa nadal podążała w górę Sanghi. M'Bumba zniknął, ale nie przejmowaliśmy się tym. Wiedzieliśmy, że jesteśmy na właściwej drodze. Posuwaliśmy się naprzód małymi etapami, przerywanymi krótkimi wypadami w głąb lądu, kiedy pozwalała na to roślinność.

Piroga płynęła powoli, skąpana w dziwnym zielonym świetle. W ciągu tych dni, nie zdając sobie z tego sprawy, powoli wniknęliśmy w niesamowity świat otaczający nas teraz już ze wszystkich stron.

Koryto rzeki zwęziło się. Nierealne światło, które na nas padało, przenikało przez gigantyczne sklepienie roślinności, przypominające nawet przedziwnej katedry. Drzewa o

długich, cienkich pniach rozrastały się nagle trzydzieści metrów nad ziemią, tam gdzie znajdowały światło, i rozpościerały niezliczone gałęzie, pogmatwane, obrośnięte zwałami jasnych paproci i roślinnych pasożytów, tworząc zieloną barokową architekturę usianą dziwacznymi, poskręcanymi węzłami.

Pod tą kopułą roilo się od mangowców, drzew chlebowych o ogromnych pomarańczowych owocach i całego mnóstwa odmian palm w pełnym rozkwicie, poprzeplatanych lianami, obsypanych majestatycznymi kwiatami, białymi i nierzeczywistymi, które zakwitały jedynie rano, i wielkimi owocami o intensywnych kolorach.

Na obu brzegach tworzyło to nieprzebytą ścianę, która aż drżała od wewnętrznego życia. Poniżej, u stóp drzew, rozciągała się warstwa gigantycznych tłustych roślin o podłużnych lub okrągłych liściach, najeżonych kolcami lub gładkich i nabrzmiatych wodą, tak jakby na każdym metrze kwadratowym tej okolicy zebrane były wszystkie możliwe odmiany flory.

Od czasu do czasu ogromny, gładki i goły pień wyjątkowo wielkiego okazu przebijał przez sklepienie i rozkwitał jeszcze wyżej, na siedemdziesięciu metrach, poza zasięgiem wzroku.

Pod wielką kopułą zalaną szmaragdowym światłem krzyki ptaków zyskiwały dziwne brzmienie. Były ich tysiące, ukryte za gęstą płataniną wielkich drzew. Słysząc było skrzeczenie, popiskiwanie, melodyjne zmienne gwizdy, tworzące razem obłądną muzykę, dużo głośniejszą niż zwykle.

Niekiedy wszystko milkło i na parę sekund zapadała intensywna cisza.

Każdy nasz wypad dawał nam sposobność odkrycia jakiegoś cudu. Raz szliśmy długo w nierzeczywistym lesie wielkich drzew o ognistych kwiatach, lśniących w promieniach słońca wpadających przez dziury w sklepieniu. Długie, czarne i pokręcone gałęzie wiły się w nieskończoność, tworząc, jak okiem sięgnąć, gigantyczną siatkę upstrzoną pękami płonących kwiatów.

- Nigdy jeszcze nie widziałem tylu naraz. Kurwa, ale to piękne!

- *Delonix regia* - wyjaśnił Montaignes. - Kwiaty dopiero co rozkwitły. Jest koniec pory suchej, czas wielkiego kwitnienia... Piękne, prawda?

Nagle znaleźliśmy się wśród delikatnoróżowych orchidei z fioletową otoczką, wielkich niczym dwie razem złożone dłonie, i poprzyczepianych do pni i gałęzi drzew. Innym razem, wśród monumentalnych pni gigantycznych drzew, trafiliśmy na rozległe pole drzew coli, obsypanych ogromnymi owocami w kolorze ostrej czerwieni, niemal fosforyzującymi, o dziwnych kolczastych kształtach. Skorzystaliśmy z okazji, by zrobić sobie zapas ich nasion,

wielkich jak orzechy, które działają pobudzająco w nie mniejszym stopniu niż kawa.

Był koniec lata i las osiągnął szczyt rozkwitu. Przeptywaliśmy przez chmury ciężkich upajających woni, które nagle zanikały. Kwiaty pojawiały się nawet na wodzie, z korzeniami pod powierzchnią, wśród skupisk palm i liliowych nenufarów, które piroga delikatnie roztrącała na boki.

Przez wiele godzin płynęliśmy klucząc pomiędzy majestatycznymi zasłonami z lian, tworzącymi nawet fałdy, niczym kurtyna w teatrze, i spadającymi z niebotycznych wysokości.

- Te liany to epifity - wyjaśnił Montaignes. - Są zawieszone na gałęziach tam wyżej, ale nie odżywiają się nimi. Starają się utworzyć jak największą powierzchnię, żeby wychwytywać z powietrza drobiny, którymi się żywią. Niezłe, co?

Liany były wszędzie, tworząc pręgi na tle zieleni. W niektórych miejscach przechodziły z jednego brzegu na drugi, gęsto poprzeplatane, tworząc jakby most, z którego zwisały paprocie i oślizgłe mchy.

* * *

Przeptynęliśmy w pobliżu stada mandryli, małp o potężnych torsach i kolorowych mordach. Siedząc sobie na brzegu patrzyły na nas zachowując całkowity spokój. Samce miały niesamowite jaskrawoczerwone pyski, podłużne, obramowane turkusowymi policzkami. Sierść ich była czarna, z jedwabistym rudym kołnierzykiem i zabawną małą bródką.

- Kolory służą im do rozpoznawania się między sobą - wyjaśnił Montaignes. - Ale dziwi mnie ich liczba.

Było ich około pięciuset, zgromadzonych bez wyraźnej przyczyny na brzegu, jedne siedziały na zadach, inne biegały na czterech łapach, niektóre machały do nas przyjaźnie.

- Nie można powiedzieć, żeby były bojaźliwe - zauważył Paulo. - Zabawne, jak spokojne są tutaj zwierzęta, nie?

Przychodziły jeść nam z ręki. Mieliśmy rzadką okazję długo przyglądać się całym stadom małych leśnych antylop, które zeszły nad rzekę do wodopoju. Rzecz zadziwiająca, nie uciekły na nasz widok i łagodnie patrzyły na nas wielkimi inteligentnymi oczami. Były to ładne małe zwierzątka, w większości rude, o wydłużonej sylwetce - podobnie jak antylopy sawanny - lecz o dużo krótszych nogach, zwłaszcza przednich. Niektóre na szczycie głowy miały parę niewielkich rogów.

- To cudowne - powiedział Montaignes. - One zupełnie się nie boją.

Wytrzeszczał oczy za swoimi okularami, starając się widzieć je wszystkie jednocześnie i recytując z zachwytem:

- Cephalopa zebra, ta mała w prążki. Cephalopa russica, najczęściej spotykana... Cudowne!

Wkrótce zaczęły latać wokół nas ptaki o turkoczących skrzydłach, którymi machały równie szybko jak owady. Maleńkie, śmigłe, pierzaste kulki, w najjaskrawszych kolorach, i tak ufne, że wydawały się gotowe usiąść nam na dłoni, gdybyśmy ją wyciągnęli. Stada tysięcy skrzeczących papug, widocznych pośród zieleni, gęsto siedzące w koronach drzew, niebieskie i jaskrawoczerwone. Mangi zielone, złociste jak skarabeusze albo cynobrowe, albo niebieskie. Paleta najpiękniejszych kolorów.

Podczas któregoś z wypadów zobaczyliśmy nawet rodzinę pięciu wielkich turaków, ptaków wielkości koguta, o niewiarygodnie niebieskim upierzeniu i mocnym, żółtym i błyszczącym dziobie, z głową zdobną w piękny czub z czarnego jak smoła puchu.

- Nigdy się ich nie spotyka - cieszył się Montaignes. - Żyją na najwyższych drzewach, tam, w górnej warstwie lasu. Są bardzo nieufne, uciekają na górę przy najmniejszym alarmie. Ale mamy szczęście! Nie zdajecie sobie sprawy...

Pochłonięty tymi zjawiskami jak ze snu, które podniecały zarówno jego estetyczną wrażliwość, jak i ciekawość przyrodnika, Montaignes wkrótce jako pierwszy rozpogodził się. Był całkowicie odprężony, najczęściej siedział na samym dziobie pirogi, zwrócony do przodu, z nogami nonszalancko spuszczoneymi po bokach, rozglądając się lub półgłosem czytając wiersze Baudelaire'a, które, jak mówił, odpowiadały specyficznej atmosferze, jaka tu panowała.

- „Ład, przepych, zmysłów nasycenie”. Dokładnie tak! Wszyscy byliśmy zauroczeni. Paulo uspokoił się, a Mała odzyskała swój śliczny uśmiech. Nawet obaj tropiciele zapomnieli o kłótni i znów zachowywali się jak poprzednio. Oni też siedzieli na przedzie pirogi, koło Montaignes'a, paląc swój bambus i śmiejąc się cicho.

Pamięć o tragedii zacierała się. Powolna i spokojna podróż w górę rzeki, przyjemna temperatura, kilka wycieczek gęsiego przez leśne ostępy wielkiej dżungli, miłe pozdrowienia tubylców, rajska atmosfera panująca wokół, wszystko to sprzyjało zasklepieniu zadawnionych ran. Żartowaliśmy. Wybuchały salwy śmiechu. Wieczorem w dobrych humorach instalowaliśmy nasze dwie skromne moskitiery i materace. Brak wygod nie dawał się nam we znaki. Wszyscy sypialiśmy doskonale.

Już od siedmiu, a może ośmiu dni płynęliśmy w tej czarodziejskiej krainie. Piroga powoli przesuwała się po nenufarach. Siedzący przy sterze Paulo nagle wyprostował się, mrużąc oczy. Natychmiast spojrzałem do przodu.

Co jest? Widzisz coś?

- Wioska!

Popatrzyłem w kierunku, który mi wskazał, i zobaczyłem okrągłe cienie jakieś dwieście metrów od nas, na skraju lasu, blisko brzegu.

Wioska! Małe Ludziki zaczęły szczebiotać. Montaignes podniósł nos znad swoich wierszy i o mały włos nie wpadł do wody odwracając się. Krzyknął:

- Nareszcie! Spotkamy jakichś ludzi!

- Mam nadzieję, że mają palmowe wino! - wykrzyknął Paulo. - Potrzebuję się porządnie napić! i skierował pirogę w tamtą stronę.

Nagle, kiedy się zbliżaliśmy, „coś” kazało mi podnieść głowę. Pewność, że coś było nie tak. Odruchowo mocniej zacisnąłem dłoń na karabinie.

- Ej, Elias, co jest?

- Nie wiem. Dziwna jakaś ta wioska. Nikogo nie ma. Paulo zwolnił obroty silnika.

- Masz rację... Może odeszli.

- Ale dokąd?

- No, nie wiem!

Piroga powoli przybliżała się. Uspokoilem się. Ptaki nadal wrzeszczały równie głośno. Nic ich nie spłoszyło. W przyrodzie panował spokój, żadnej oznaki niebezpieczeństwa. Płynęliśmy wzdłuż wioski, odkrywając ją stopniowo.

Siedzący pod najbliższą chatą szkielet ludzki zdawał się patrzeć w zielone sklepienie nad nami, z rękoma spoczywającymi po bokach.

Małe Ludziki zaczęły popiskiwać. Mała zasłoniła sobie oczy i przytuliła Bebe do siebie. Następne dwa szkielety leżały obok pierwszego. Potem grupa trzech innych, potem jeszcze dalsze, grzecznie skupione po kilka, wśród okrągłych, rozpadających się chat. Ani żywego ducha!

Paulo dobił do brzegu, wciskając pirogę w przybrzeżne gałęzie.

- No to wódkę mamy z głowy, chyba że jakaś stara butelka... Pójdziemy się przywitać z tymi panami?

Było ich pięćdziesiąt trzy, rozrzuconych wśród około dwudziestu zabudowań, niektóre leżały wewnątrz. Chaty były stare i przegniłe.

Były to półkule, na kształt igloo z gałęzi. Dachy z palmowych liści zgniły i wystawały z nich fragmenty drewnianych rusztowań. Nie znaleźliśmy żadnego śladu materiałów czy ubrań.

Po pierwszych oględzinach o mieszkańcach można było powiedzieć, że byli niskiego wzrostu, z wydatnymi twarzami o wystających łukach brwiowych. Mniej więcej połowa szkieletów należała do dzieci w różnym wieku. Od jakiego czasu wioska ta była martwa, ukryta w zielonej poświacie, podczas gdy świat kręcił się dalej?

Paulo pogрузił się w handlowej analizie trzech rzeźbionych totemów, wysokich na półtora metra, z których każdy zwieńczony był głową w koronie, z odwróconym uśmiechem w kształcie daszka, i które wbite były w ziemię przed jedną chatą.

Montaignes, zafascynowany, chodził po całej wiosce i ostrożnie wsuwał głowę do każdej chaty.

Bebe, mały żółty piesek, węszył wszędzie, wyglądał, jakby znalazł naraz dziesięć trufli i nie dowierzał własnym oczom.

Coś mnie dręczyło. Przyjrzałem się wielu szkieletom, ale nie zauważyłem ani jednej złamanej kości, jedyne go śladu, jaki mógłby pozostać po zadanej ranie. Każdy z nich był nienaruszony. Nie wydawało się również, by stoczono tu jakąś walkę. Nie było żadnej broni ani strzały, ani dzidy wbitej w ziemię, ani w ogóle niczego takiego. Więcej: wszyscy ci ludzie leżeli na plecach, zarówno dorośli, jak i dzieci.

- Nie są rozmowni, co?

Paulo podszedł do mnie, powiódł spojrzeniem dookoła i podsumował moje myśli:

- Od czego umarli wszyscy ci obywatele, że tak sobie leżą? Ustrzelili ich z karabinu z lunetą?

- Nie ma śladów.

- Ej! Naukowiec! - krzyknął Paulo. - Chodź no tu. Powiedz, co ty o tym myślisz?

Montaignes podszedł do nas, trzymając w dłoniach trzy małe miseczki z palonej gliny, i z poważną miną zadeklamował:

Przypomnij sobie, cośmy widzieli, jedyna W ten letni, tak piękny poranek: U zakrętu leżała plugawa padlina Na ścieżce żwirem usianej...

- To Baudelaire...

- Na co umarli?

- Trudno powiedzieć... Zbyt mało danych... Widziałbym tylko powszechne zatrucie albo epidemię. Jakąś porażającą chorobę... W każdym razie było te dawno. Popatrzcie.

Pokazał nam, w swoich małych miseczkach, brązową spleśniałą papkę.

- To szminki, farby do twarzy, kolorowe.. Widzicie sami: zupełnie straciły barwę. To wymagało czasu!

W tym momencie przebiegł koło nas Bebe, biegnąc ile sił w krótkich nóżkach, trzymając w zębach ogromną goleń.

- Bebe, wracaj! Trochę szacunku! Oddaj mi to!

Rzuciliśmy się w pościg. Kość, trzy razy większa od niego, zakłócała mu utrzymanie równowagi, ale nie przeszkadzało mu to szybko biec i błyskawicznie prześlizgiwać się pomiędzy szkieletami, na które my staraliśmy się uważać.

- Wracaj, Bebe!

- To niepoważne, Bebe, proszę temu panu oddać jego kość!

- Bebe - próbował Montaignes uprzejmie - ta goleń potrzebna jest właścicielowi, badaniom etnologicznym i historii ludzkości. Byłoby w dobrym tonie, gdybyś położył ją na miejsce!

- Przestaniesz wreszcie, do kurwy nędzy!?! Jesteśmy w końcu na cmentarzu! Bebe, ty cholero, chodź tu, bo jak cię złapię...

W końcu złapaliśmy go i Montaignes wpasował kość, na ile się dało, prawowitemu właścicielowi. Kiedy tylko odeszliśmy kawałek, Bebe chwycił coś, co zapewne musiało kiedyś być obojczykiem, ale daliśmy już spokój.

Małe Ludziki poruszały się niespokojnie i wykrzykiwały jakieś niezrozumiałe rzeczy z pirogi, której za nic nie chciały opuścić.

- No dobra, to nie będziemy już dłużej przeszkadzać - rzekł Paulo. - I dziękujemy pięknie!

- Poczekajcie!

Montaignes wyciągnął z kieszeni gruby plik papierów.

- Muszę zaznaczyć to miejsce!

Głosy Małych Ludzików przeszły na wyższy ton, dźwięczało w nich Przerazenie. Montaignes rysował szkic wioski.

- Dosyć tego. Nie możemy tu zostać. Bebe! Do nogi, Bebe, odpływamy!

I znów piroga płynie powoli w górę rzeki, wzdłuż brzegów porośniętych wielkimi drzewami o gładkich pniach. Siedząc tuż nad lustrem wody zatracaliśmy poczucie czasu. Już od dziesięciu dni posuwaliśmy się tak w głąb tego dziwnego świata. A wszystkim nam wydawało się, że jesteśmy tu dopiero od wczoraj.

Nic specjalnego się nie wydarzyło, ale odkąd zanurzyliśmy się w tej wybujałej roślinności, czas stał się dla nas sprawą drugorzędną. Montaignes recytował wiersze i zapadał

w głębokie zamyślenie, ze wzrokiem zagubionym w rozszalałej zieleni. Paulo podśpiewywał, trzymając ster. Mała przyozdabiała włosy majestatycznymi czerwonymi kwiatami. Tropiciele szczebiotali przez cały dzień. Dotarliśmy do samego serca lasu, ze wszystkich stron otoczeni nieprzeniknionym, dziewiczym gąszczem.

Ale Montaignes na swoich mapach, biorąc pod uwagę szybkość, obliczył naszą drogę i za pomocą sekstansu potwierdził wyniki. Jego pewność siebie była niezachwiana.

Dopływaliśmy w pobliże jeziora Tebe, tego słynnego Jeziora Dinozaurów, które oddalone było już tylko o parę dni żeglugi.

M'Bumba nie dał już o sobie znać, ale w ogólnej nienaturalnej euforii każdy z nas był głęboko przekonany, że odnajdziemy go na brzegach jeziora. Podobnie jak sprawa czasu oraz możliwe konsekwencje tak głębokiego zapuszczenia się w dziewiczą dżunglę nie stanowiły dla nas żadnego problemu.

Krajobraz zmienił się. Wśród wybijającej roślinności Sangha płynęła teraz pod gołym niebem. Na jej brzegach, po obu stronach, wznosiły się kłębowiska namorzynów, tworząc z poskręcanych i gnijących konarów nieprzebyte zasieki i łukowate zatoczki. Wielkie poziome pnie, grube niczym dęby, wznosiły się łagodnie, rzucając na wodę pasma cienia o znośnej temperaturze.

Pni ogromnych drzew czepiały się liany, mchy i niewiarygodne gęstwy pasożytujących paproci.

Płynęliśmy w pobliżu brzegu, starając się maksymalnie unikać słońca, które ostro prażyło na powierzchni rzeki, tworząc jednobarwny obraz. Rozróżnić w nim można było mnóstwo chlorofilowych ocieni: błotnistą zielenią wody nurtu rzeki; brunatną zielenią tłustych roślin wodnych i palm w nabrzeżnej gęstwinie; gwałtowne erupcje listowia namorzynów, przypominającego ogromny bluszcz, od samej powierzchni wody aż po wysokość dziesięciu metrów; bladą zielenią opadających paproci i niemal fosforyzującą zielenią niektórych mchów o długich wąsach; a wszystko to uwieńczone, tam wysoko, rozproszoną zielenią czubków wielkich drzew.

Czarna piroga, metaliczno-niebieska beczka z benzyną i plamy naszych ubrań odcinały się, jakby zupełnie nie na miejscu albo co najmniej obce, od całej tej zieloności.

Brzegi ożywiały teraz stada ptaków brodzących o długich nogach, o upierzeniu we wszystkich możliwych kolorach, które łowiły setkami wokół zatoczek. Nie bały się zupełnie, tak że pewnego ranka, z wyłączonym silnikiem, dryfowaliśmy pośrodku stada czubatych żurawi nie przeszkadzając im w najmniejszym stopniu, mając możliwość obserwowania ich jak na specjalnie przygotowanym przedstawieniu: były to wielkie ptaki o długich, spiczastych

dziobach, pięknym popielato-niebieskim upierzeniu, długich czarnych nogach dumnie wzniesionej szyi i głowie zwieńczonej czubem z błyszczących piór, lśniących w promieniach słońca.

Pomimo wszystko nasze zbliżanie się powodowało masowe odloty całych stad większych ptaków, przypominających czaple, o niepokalanym, nierealnie białym upierzeniu. Leciały patem w zupełnej ciszy, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, zataczały na niebie obszerne kręgi i znikały.

Patrzyliśmy wszyscy z zapartym tchem, zaskoczeni, milczący, nasycając się pięknem tego widoku. Te przedstawienia tuż nad wodą, które przyroda jakby specjalnie dla nas szykowała, w dużej mierze przyczyniały się do utrzymywania nas w stanie jakby zawieszenia, nieco głupawej beztroski.

O zachodzie słońca ogarniało nas wilgotne i ciężkie gorąco, tak jakby las wydzielał ciepło zmagazynowane ze słonecznego żaru przez cały dzień. Wyraźnie zapamiętałem jeden z takich wieczorów, przepojony zapachem wielkich nocnych kwiatów, które dopiero co rozkwitły. Ptaki zamilkły. W spokojnej dżungli słyszeć było jedynie skrzek „latających psów”, wielkich właśnie przebudzonych nietoperzy. Nad wodą, jak każdego wieczoru, unosił się rodzaj ciemnej mgły, jakby niewyraźna para wodna, która w miarę zapadania nocy szybko ciemniała.

Nagle pojawiło się nad wodą, wynurzając się z tej mgły, stado liliowych flamingów o długich szyjach, i zaczęło krążyć dookoła. Najmniejsze pozostawały wewnątrz kręgu, inne kolejno zajęły pozycje w większej odległości od środka. Nie wydawały najmniejszego dźwięku; ich długie czerwone nogi ciągnęły się z tyłu, niekiedy zawadzając o powierzchnię wody, a wielkie spiczaste skrzydła zdawały się poruszać w zwolnionym tempie. Długie szyje falowały miarowo. Głowy, zakończone wielkimi zakrzywionymi dziobami, pochylały się i podnosiły na przemian. Sprawiało to wrażenie, jakby czynna tu była jakaś cudowna karuzela, jakieś Merry go round z siedzeniami o niezwyklej postaci. Taniec ten trwał aż do całkowitego zapadnięcia zmroku, kiedy widać już było tylko jasne smugi, po czym, jakby otrzymawszy jakiś sygnał, ptaki przerwały krąg i zniknęły w ciemnościach.

Tylko raz napotkaliśmy rodzinę hipopotamów, cztery dorosłe i dwa małe tłuszciszki, wypoczywającą na brzegu. Jeden siedział w wodzie, parę metrów dalej, z grzbietem, na styku powietrza z wodą, lśniącym w słońcu.

- Rany boskie, ależ one są wielkie! - wykrzyknął Paulo.

Natychmiast oddalił pirogę, biorąc kurs na środek rzeki. Chwyciłem karabin, gotów na wszelką ewentualność, z zamiarem zastrzelenia pierwszego, który by się zbliżył. Na ogół

uważałem, że są raczej sympatyczne, ale nigdy dotąd nie widziałem aż tak wielkich. Dobrze im się wiodło, były jedyne w okolicy. Na brzegu samiec, gigantyczna czarna bryła trzymetrowej szerokości, ziewał rozdziawiając ogromną różową paszczę i przyglądał się nam.

Nie poruszyły się. Temu, który siedział w wodzie i wyglądał jak prawdziwa góra mięsa, nie drgnęła nawet skóra na grzbiecie.

* * *

Po paru dniach zastanowiła nas stała obecność krokodyli.

- Nie wydaje ci się, że jest ich tutaj sporo?

- Owszem.

Widać je było praktycznie na każdym brzegu, leżały w każdej zatoczce i w każdej szparze w kłębowiskach namorzynów. Były też na pniach leżących na powierzchni wody, uczone gniącego drewna niczym strażnicy, z półotwartymi pyskami, nieruchome. Wygrzewały się na słońcu grupkami po pięć czy sześć, jeden bardziej tłusty od drugiego.

Były to ludojady, tak nazywano je w miejscowych narzeczach, i należały do największego spośród trzech czy czterech gatunków zamieszkujących rzekę. Wielkie samce osiągały sześć metrów długości. Były imponujące, prehistoryczne, ze wzdętymi brzuchami pośrodku ciała a grzbiety i ogony pokrywały im podwójne rzędy twardych wypustek niczym zęby piły. Ich półotwarte pyski, o nieregularnych kształtach, wydawały się uśmiechać sardonicznie, odsłaniając długie ostre zęby. Łuski były ciemnozielone i rzucały czarne odbłaski. U niektórych, wysoko podnoszących głowę, widać było kawałek podbrzusza z jaskrawożółtymi łuskami.

Nie ruszały się bardziej niż pnie drzew. Czasami, kiedy zbliżaliśmy się, któryś z nich otrząsał się, uniesiony na grubych łapach, po czym nieprzyjemnym, falistym ruchem cicho zanurzał się w wodzie, przy czym na jej powierzchni pojawiały się zaledwie nieznaczne zmarszczki.

Zupełnie nie wydawały się agresywne. Oczywiście woleliśmy mieć karabiny pod ręką, ale nigdy żaden z ludojadów nie uczynił gwałtowniejszego ruchu. Przepływaliśmy zachowując należytą odległość. Pozwalały nam przepływać w swoim polu widzenia z martwym wzrokiem, nie reagując. Z czasem przyzwyczailiśmy się do nich, w miarę upływu godzin, pomimo niepokojącej liczby tych bestii. Jedynie przy forsowaniu niektórych zatoczek, wypełnionych krokodylami po obu stronach, rzeczywiście odczuwaliśmy niepokój i na pokładzie naszej kruchej łupiny panowała wówczas niemiła atmosfera.

Nie lubiłem tych stworzeń i powstrzymywałem się, by wziąć pudełko naboju i postrzelać sobie do nich. Krokodyły to debile, całkowicie pozbawione wszelkiej logiki i wszelkiej organizacji społecznej. Myślą tylko o żarciu, zabijaniu i wygrzewaniu się na słońcu. W swoim obżarstwie są tak głupie, że pożerają własne małe, jeśli nie ma niczego innego w okolicy, i regularnie zjadają się wzajemnie. Mają w sobie coś oślisłego, czego nienawidzę. Nawet ich dzieci są potworne.

Chwytają ofiarę na brzegu i wciągają ją na dno, do swego rodzaju jamy. Pozostawiają ściervo pod wodą, żebygniło, i od czasu do czasu zachodzą tam chapnąć jakiś kasek. Nie służą do niczego, są bezapelacyjnie szkodliwe, krwiożercze, a ich metoda polowania, polegająca na leżeniu w ukryciu całymi godzinami, jest podstępna i zdradziecka. Naprawdę nie lubię ich.

Moją odrazę dzielali inni. Widziałem, jak Paulo przy sterze machinalnie gładzi zamek swojej 478, leżącej w poprzek kolan. Montaignes, siedzący na dziobie z Winchesterem w dłoniach, przyglądał się im z zawziętym wyrazem twarzy, najwyraźniej pragnąc, by któryś zdecydował się na atak. A Bebe, za każdym razem, kiedy przepływaliśmy wśród nich, wściekle szczekał stojąc przednimi łapami na burcie, wyrażając w ten sposób ludojdom swoją dezaprobatę wobec istnienia ich gatunku, a jego mały żółty ogonek sterczał przy tym pionowo.

* * *

Dostała nam się potężna ulewa, zbyt wczesna jak na tę porę roku i całkowicie niewytłumaczalna. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Parę minut po zniknięciu słońca i zapadnięciu w lesie naglej ciszy spadł deszcz w postaci gęstych strumieni, które bębniły o powierzchnię rzeki powodując nieprzeniknioną mgłę. Ściany roślinności drżały, lśniąc w potokach wody. W ciągu paru chwil byliśmy przemoczeni, i wreszcie znaleźliśmy schronienie pod sklepieniem namorzynów, podczas gdy widzialność spadła do paru metrów.

Grupka małp kolobów, którym długi i gęsty biały ogon służy do utrzymania równowagi przy przeskakiwaniu z jednego drzewa na drugie, ukryta wśród listowia przyglądała się nam nieruchomo.

Deszcz ustał równie nagle, jak się pojawił. Korony wielkich drzew, oślepiająco błyszczące teraz w promieniach słońca, dosłownie ociekały wodą.

Montaignes rozpoczął długi wywód, na pół do siebie samego, na pół do mnie, poświęcony kształtom liści tych drzew. Jak zauważył, wszystkie były spiczaste i

obowiązkowo skierowane ku dołowi, niezależnie od innych ich cech, czy były okrągłe, owalne, czy wydłużone. Dzięki temu woda mogła szybciej spływać z nich po deszczu, a w ten sposób blaszka, najważniejsza część liścia, szybciej wysychała.

- Właśnie poprzez blaszkę liść pochłania zarówno pożywienie z powietrza, jak i światło, które przyswaja drogą fotosyntezy...

Rozszerzył swoje wyjaśnienia o informacje dotyczące chemicznego składu liścia i kiedy na nowo podjęliśmy naszą węglugę, pogubiłem się trochę w tym wszystkim.

* * *

Jakże terkotanie naszego starego silnika, choć niekiedy męczące, może jednak uspokajać, pomyślałem sobie parę godzin później, wsłuchując się w pracowite serie wystrzałów, które rozbrzmiewały coraz częściej. Silnik wytrzymał jeszcze jakiś czas, po czym, jak było do przewidzenia, zamilkł pomimo potężnych ciosów pięści Paula. Rozpędzona piroga skierowała się ku namorzynom.

Pomogłem Paulowi, z trudem łapiącemu równowagę, w wyciągnięciu silnika i złożeniu go na dnie pirogi. Zdjął pokrywę, siedząc w kukki, w towarzystwie Montaignes'a, który przyszedł mu z pomocą.

- Na pewno nic poważnego - mówił Paulo. - Nic takiego. Zaraz odpływamy.

- Podczas gdy gmerali wśród części, nagle zdałem sobie sprawę z naszej bezsilności. Nie mieliśmy doprawdy niczego, jeśli nie liczyć broni i silnika. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zagłębiliśmy się w dżunglę, jasno ujrzałem kruchość naszej sytuacji; dotąd przysłańało mi ją nie wiem jakie oczarowanie. Natychmiast poczułem się naprawdę nieswojo.

Paulo przywołał jednego z Małych Ludzików, żeby podmuchał w małą upapraną rurkę, którą nazywał „dopływem paliwa”.

- To nic poważnego! Po prostu osad, jak w rurze od sracza! Mocno dmuchaj, wielkoludzie... Roboty na pięć minut. Zaraz odpływamy. Jesteśmy nie do zdarcia!

Nawet kiedy z powrotem założyli silnik na swoje miejsce i kiedy zapalili go od pierwszego pociągnięcia, mój niepokój nie rozwiązał się całkowicie. Zaczynałem uważać, że w tym lesie dzieją się dziwne rzeczy...

* * *

Kilka godzin później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Silnik znowu dostał

czkawki. Paulo gwałtownie wcisnął gaz. Maszyna zablokowała się, wydając nieprzyjemny, suchy odgłos, i zamilkła na dobre.

- Kurwa - powiedział zwięźle Paulo. - Kurwa! Kurwa! No dobra... Elias, przyjrzyj się, czy naprzeciwko nie ma krokodyli. Spróbujemy dobić do brzegu.

Przed nami był odsłonięty zakątek i Paulowi udało się, maksymalnie skręcając ster, na tyle ustawić dziób płynącej z prądem pirogi, by tam trafić. Nie mieliśmy nawet jednego wiosła!

Tropiciele szybko oczyścili niewielką przestrzeń potrzebną na noc i hałasując rozbiegli się po okolicy. Czynności związane z zakładaniem obozu mieliśmy dobrze opanowane i nasze obozowiska były bardzo porządne. O! oczywiście, nie były to już dawne luksusowe obozy, ale dawaliśmy sobie dobrze radę, maksymalnie wykorzystując to, co ofiarowała nam przyroda: wielkie gałęzie, wolne przestrzenie lub naturalne sklepienia roślinności. Powierzchnownie wyrównywaliśmy teren i czyściliśmy go z liści i innych odpadków, gnijących na ziemi, w miarę możliwości dochodząc aż do gruntu; wówczas rozpinaliśmy dwie moskitiery, jakie nam pozostały, albo na palach, albo na niskich gałęziach, a u podstawy mocowaliśmy je starannie w małym rowku, który okalał obozowisko i w który wciskaliśmy dolny brzeg muślinu, przysypując go ziemią.

Mała natychmiast rozpalala jedno lub dwa ogniska na potrzeby kuchni. Menu było już gotowe. W pirodze obierała korzenie lub jarzyny, jakie rano znajdowała w lesie. Podobnie w ciągu dnia oprawiała zwierzynę, którą Małe Ludziki przynosiły ze swoich wycieczek. Na ogół był to indyk albo mała wodna cyweta, rodzaj wydry, której mięso smakowało podobnie jak królika. Jadaliśmy nieźle. Głównym mankamentem naszego położenia pozostawała wilgoć ma teracy i koców, nasiąkniętych wodą otaczającą nas wszędzie, a w szczególności stojącą zawsze na dnie pirogi, co sprawiało, że nigdy nie mogły całkowicie wyschnąć.

Po kolacji zawsze siedzieliśmy sobie godzinkę przy ognisku. Noce nad rzeką były chłodne i ciche. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, na ogół bez związku z naszą wyprawą. Paulo wspominał. Montaignes robił wykład o tym czy o tamtym. O M'Bumbie praktycznie nigdy nie było mowy. Postanowiliśmy trzymać się owego mitycznego spotkania nad Jeziorem Dinozaurów. Paulo już nie przeklinał go, jak zresztą i nikogo innego. Co do mnie, to nieco o nim zapomniałem.

* * *

Nasza beztroska miała swoje dobre strony. Grupa w dobrym nastroju stawiała czoło

sytuacji, a z doświadczenia wiedziałem, że pomaga to w przezwyciężeniu wielu ewentualnych problemów. W czasie działań, to znaczy kiedy grupa jest osamotniona wobec wydarzeń trzeba za wszelką cenę unikać jakiegokolwiek wojny nerwów i ryzyka konfliktów. Gwałtowne reakcje i napady złego humoru, zwykle towarzyszące kłopotom, szybko niszczą spójność grupy i sprawiają, że staje się ona bardziej zagrożona. Najczęstszą przyczyną fiaska ekspedycji są niewłaściwe reakcje jej członków na pierwsze trudności, co pociąga za sobą dalszy łańcuch niepowodzeń.

Trzymaliśmy się. Paulo bardzo się uspokoił. Wystarczająco znałem jego profesjonalizm, by wiedzieć, że działał świadomie. Mała, jak się okazało nadzwyczaj przydatna, żelazną ręką prowadziła sprawy intendentury i co wieczór dawała nam dobrze zjeść, co miało pierwszorzędne znaczenie. Montaignes zaś był doskonały. Jak już to zauważyliśmy w trakcie polowań, za jego cherlawą sylwetką kryła się w istocie wyjątkowa odporność psychiczna, i to zarówno wobec sił przyrody, jak i przeciwności losu. Zawsze w pierwszej linii, gotów do pracy, spokojny i uśmiechnięty, dzieląc czas między poezję, namiętne studiowanie przyrody i działania dla ekspedycji, Montaignes stał się dobrym towarzyszem.

Już od paru dni chodził bez kurtki. Z gołym torsem, koszulą przewiazaną na szyi i czarną przepaską we włosach siedział po turecku przed ogniskiem, które oświeślało go od dołu; odprężony, czując się doskonale w tym otoczeniu przecież niezbyt normalnym dla ludzi wykształconych. Z niezmaconym spokojem, pośrodku gęstej dżungli, na brzegu rzeki z pirogą o niesprawnym silniku wyciągnął plik kartek, elektryczną latarkę i zabrał się do pisania! Przysunąłem się do niego.

- Co tam piszesz na tych papierach, tak późno?

- E, to nic specjalnego. Dziennik podróży.

- Aha. Zapisujesz, co zrobiłeś?

- No...

Przetarł oczy i przeciągnął się. Rozżarzone węgle rzucały pomarańczowe plamy na szkła jego okularów.

- Widzisz, Elias, zdaję sobie sprawę, że przeżywamy wyjątkowe chwile. Nie chcę tego zapomnieć. Bo...

Forma świata stawała się nierzeczywista Jak szkic, co przestał nęcić Na płótnie zapomnianym i który artysta Kończy już tylko z pamięci...

- Baudelaire?

- Mmmm...

Ponownie pogrążył się w swoich papierach. W zamyśleniu popatrzyłem na niego przez chwilę, pochylonego, z okularami powoli zsuwającymi się z nosa, wsłuchując się w nerwowy, nieustający szmer, jaki wydawało jego pióro przesuwające się po papierze. Lubilem tego faceta.

* * *

- Bebe!... Bebe!...

Głos Małej dobiegał do mnie z bardzo daleka. Z owego świata poza snem, gdzie było mi tak dobrze. Mała też tam była. Biegała z ogromnym kwiatem we włosach i z tymi wielkimi, rozkochanymi oczami, którymi patrzyła na mnie czasami.

Mała! Wielka tęsknota w moim półśnie. Od czasu wypadku Tatave nie zbliżyła się już do mnie. Zapewne czuła się winna, bez powodu, że była ze mną, kiedy zaatakował M'Bumba.

- Bebe!... Bebe!...

Nie licząc kilku uśmiechów w ostatnich dniach, kiedy nasze spojrzenia spotykały się niespodziewanie, nasz flirt zatrzymał się owej tragicznej chwili na plaży naszej miłości.

- Elias! Ty obudź, proszę! Elias!

Skoczyłem na równe nogi, całkowicie rozbudzony. Po drugiej stronie moskitiery Mała przestępowała z nogi na nogę i zagryzała wargi.

- Wejdz! Co się stało?

- Bebe nie ma! Ja wołać Bebe! Bebe! On nie przychodzić!

Bebe najwyraźniej nam uciekł. Jego mała pani była pełna niepokoju, a ja poczułem radosne klucie w sercu, bo do mnie zwróciła się o pomoc.

- Nie bój się. Jest niedaleko. Zaraz się tym zajmę.

Wstałem i przede wszystkim wypilem kawę. Byłem, jak się okazało, ostatni. Paulo i Montaignes, od dawna na nogach, rozprawiali się z silnikiem. Z gołymi torsami, umazani smarem po łokcie, niemal wszystkie części porozkładali na brezencie rozciągniętym na ziemi, nad wodą. Paulo, z podwiniętymi nogawkami panterki, jakby wybierał się na krewetki, pomachał do mnie wesoło.

- Rozebraliśmy to świństwo! Dokumentnie!

Montaignes, na kolanach, skupiony, sortował małe części swoimi długimi palcami.

- Co pan o tym myśli, doktorze? - spytałem.

- Nooo... Powiedzmy... Mam wrażenie, że wszystko jest w porządku ale obrzydliwe, pozatykane, zasyfione... Porządnie to przemyć benzyną i chyba wystarczy... Mam nadzieję...

Niech pan wpadnie go odebrać w połowie tygodnia! - dodał z lekkim uśmiechem.

Paulo zrzędził sam do siebie, co było oznaką dobrego humoru.

- To przez te świństwa, które płyną w benzynie! W Afryce zawsze tak było. Każdy silnik zapaskudzą. Durnie, nie umieją czyścić zbiorników!

Mała postępowała za mną krok w krok, w milczeniu, ze smutkiem i uporem w poszerzonych oczach.

- No już, ślicznotko, pójdziemy poszukać Bebe...

Jeśli na coś nie miałem ochoty, to właśnie na zagłębianie się w dżunglę, kiedy oto nadarzyła się okazja, by spędzić trochę czasu na łądzie, w łagodnej temperaturze nad rzeką. Ale nie mogłem nic poradzić na te oczy. Włożyłem swoje mokre buty, z westchnieniem zapiąłem pas z przytroczoną maczetą. Winchester na ramię i ruszyliśmy pierwszą przesieką. Cholerny Bebe!

Kiedy tylko wkroczyliśmy pod sklepienie wielkich drzew, powietrze stało się gęste i gorące, pełne woni gnicia i rozkładu. Roślinność szalała, jak zawsze, wybuchając wielkimi kulami listowia i pękami szerokich palm, w powszechnym bałaganie sięgającym trzydziestu metrów wysokości, a całość stanowiła nieprzebytą przeszkodę, niekiedy poprzecinaną strefami całkowitego mroku, czerniejącego na tle i tak ciemnego otoczenia.

Byłem ostrożny i postanowiłem systematycznie penetrować okolicę. Przejście pięciuset metrów, powrót po śladach do obozu i kolejne pięćset metrów w innym kierunku. Dżungla, bardzo gęsta, była niezbyt bezpieczna i bardzo męcząca, zmuszając nas do wyrąbywania maczetą przejścia, stałego prześlizgiwania się, podskakiwania i kluczenia. Tak czy inaczej, Bebe nie mógł zawędrować zbyt daleko.

- Bebe! Bebe!

Wykrzykiwała to we wszystkich tonacjach. Był tam gniew, smutek, miłość, a także wiązanki przekleństw i obietnic w Kuju. Żeby nie zostawać w tyle i żeby nieco złagodzić

jej niepokój, wziąłem się za to i ja:

- Bebe! - wrzeszczałem w dal. - Malutki! Malutki! Malutki!

Mała biegła przede mną bez zmęczenia, boso, z niesłychaną zręcznością. Zatrzymywała się nagle, nasłuchując, wypatrując dookoła swoimi wielkimi oczami. Z upływem czasu coraz bardziej ogarniało ją zwątpienie. Stawała wtedy i pogrążała się w ponurych myślach, zagryzając wargę, co sprawiało, że robiła bardzo ładną minkę.

Nie wiedziałem już, jak jej wytłumaczyć, że nie powinna się niepokoić.

Wczesnym przedpołudniem, już chyba podczas dziesiątego wypadu, o jakieś dwieście metrów od obozu Mała nagle odskoczyła do tyłu, wydając cichy okrzyk. Na wysokości człowieka poruszał się wśród listowia zielony boa. Gigantyczny. Głowa jak u cielaka...

Nie dając mu czasu na cokolwiek ciętym maczetą i niemal odrąbałem mu łeb. Był to właściwie odruch, sprowokowany okrzykiem Małej. Węże boa nie są zbyt niebezpieczne ze względu na swoją powolność. Uderzyłem go tak szybko także z powodu jego rozmiarów, które zrobiły na mnie wrażenie. Z ciekawości rozciągnęliśmy go na ziemi. Mierzył ponad sześć kroków i był jednym z największych, jakie kiedykolwiek widziałem, z jasnozielonymi łuskami, o płaskiej i kwadratowej głowie.

* * *

Do południa nadal nie wpadliśmy na ślad tego małego diabła. Mała była coraz bardziej zrozpaczona, a ja zasmucony, że widzę ją w takim stanie, mówiłem jej kolejno wszystkie głupoty, jakie mówi się w takich okolicznościach.

- Poszedł się przejść... Niedaleko... Wróci... Nie trzeba się niepokoić... Ja znajdę...

Wróciliśmy do obozu, gdzie oczekiwała nas dobra wiadomość: silnik został zmontowany. Mechanicy, bardzo dumni, twierdzili, że już zapalił. Szorowali dłonie i ręce w rzece, najwyraźniej bardzo zadowoleni z wykonanej roboty.

- Jak nowy! - krzyknął do mnie Paulo. - Luksus, nie?

- Ekspedycja idzie dalej - dodał Montaignes poważnie. - Dzielna i nieustraszona w głębokiej dżungli. Czy myśliwym uda się odnaleźć Jezioro Dinozaurów?

- Wyruszamy zaraz, do cholery! - wrzasnął Paulo. - Elias, znalazłeś psa?

Opowiedziałem swoją historię. Paulo zaczął przemierzać brzeg wielkimi krokami, zdradzającymi niezadowolenie.

- Teraz ten pies. Dopiero co skończyliśmy silnik... Same kłopoty. Trzeba coś zrobić, do cholery! Gdzie się podział ten Bebe? Kto go widział? Do ciężkiej kurwy, zróbcie coś!

Mała w panice wywracała oczami. Paulo stanął przed nią i straszliwym gestem uniósł rękę.

- Jak złapię tego twojego kundla, to go...

Fala przerażenia, jaka pojawiła się w oczach dziewczyny, zmusiła Starego do zamknięcia. Ukląkł przy niej, położył jej ręce na ramionach i bardzo łagodnie, ojcowskim tonem, zaczął jej opowiadać wszystkie możliwe głupstwa.

- Przecież ja żartuję, malutka... Ja... Denerwuję się, ale żartuję! Ta twoja kuleczka nie może być daleko. Elias ci ją odnajdzie, nie?

Potem kazał mi szybko coś zjeść i pomóc Małej w odnalezieniu Bebe.

- I żadnych miłosnych eskapad, jasne? - dodał.

* * *

To nie jest normalne, myślałem sobie idąc ponownie do dżungli. Pierwszy raz się zdarzało, żeby tak długo pozostawał daleko od żarcia. Mała widziała go po raz ostatni poprzedniego wieczora, tuż przed zaśnięciem. Czyżby zapędził się zbyt daleko? Mógł tam natknąć się na dzikiego kota albo coś innego. A może na krokodyla z rzeki?

Nie mogłem w to uwierzyć. Bebe to nie to samo co jakiś miejski kundelek. Dobrze znał niebezpieczeństwa dżungli, to był stary spryciarz. Mały afrykański piesek nie żyje długo, jeśli nie ma pewnych zalet, nawet jeśli jego panią jest taka śliczna księżniczka. Więc gdzie był ten dureń? Opóźniał tylko wszystkich.

- Bebe... Bebe, do jasnej cholery...

Tym razem postanowiłem działać metodą kolistą, oddalając się od obozu po okręgu o coraz większej średnicy, zamierzając zajść tak daleko, jak tylko się da.

Popołudnie było wyczerpujące, pod wielkim sklepieniem upał osiągnął najwyższy stopień. Płoszyliśmy ptaki najróżniejszych kolorów i wielkości, a także małpiatki galago, jakby wystraszone wiewiórki o małych, różowych noskach, z przyssawkami na łapkach, dzięki którym czepiały się gałęzi. Ale Bebe ani śladu. Po pięciu godzinach poszukiwań usiadłem, wyczerpany i całkowicie zrezygnowany, ociekając potem.

- Mała... - westchnąłem.

- Nie! Szukać! Bebe, niedaleko! On może boli! Ty iść... Elias...

- Mała, przeszukaliśmy całą okolicę!

Cóż mogłem jej powiedzieć? Wiedziałem, jak bardzo kochała swojego małego towarzysza, i było mi niesamowicie przykro na myśl o zaprzestaniu poszukiwań. Ale przecież co jeszcze mogłem zrobić? Przeszukaliśmy wszystko. Nawet gdyby był martwy, znaleźlibyśmy go. Zastanawiałem się, jak by tu ją najłagodniej przekonać nie raniąc jej, kiedy ogarnęło mnie potworne podejrzenie...

W momencie, kiedy o tym pomyślałem, twarz Małej wykrzywiła się. Rozdzierający grymas, a z jej oczu popłynęły dwie wielkie łzy.

- Boa? - szepnęła cicho, jakby wypowiadając jakiś tragiczny pewnik. - Boa zjeść

Bebe?

* * *

Potrzebowaliśmy dwóch godzin na odnalezienie ciała węża. Mała biegła, jej małe stopy waliły w ziemię, za każdym krokiem jęczała cicho, przerażona niczym matka, przeżywając dziecięce piekło, na które przykro było patrzeć. Słońce powoli zachodziło, i była już prawie noc, kiedy wreszcie odnaleźliśmy boa.

Rana oddzielająca głowę od reszty ciała poważnie się poszerzyła, atakowana przez liczne i rojne stado małych nekrofagów, czarnych włochatych owadów, które za pomocą trąbki wstrzykują w mięso wydzielinę, przyspieszającą gnicie. Dziś rano, kiedy go zaskoczyliśmy, boa poruszał się. Zapewne więc nie był w trakcie trawienia. Teraz odwróciłem ciało i nie widziałem żadnego wzdęcia, zwykle znamionującego obecność ofiary. Ale to zwierzę było takie wielkie!

Dla świętego spokoju rozciąłem maczetą cały brzuch, poczynając od ogona w górę. Z wnętrza wydobywać się zaczął smród padliny. Klęcząc nad ścierwem i operując maczetą jak tasakiem czułem, jak fetor wypełnia mi nozdrza i ze wszystkich sił powstrzymywałem kurcze żołądka.

Pojawiła się mała kula żółtej sierści.

Co za kurewstwo! Ciąłem i rwałem oburącz, żeby poszerzyć nacięcie, aż żółty kształt, uwolniony” stoczył się na ziemię, całkowicie pokryty jakimś lepkim świństwem, które sklejało sierść. Był jakiś wydłużony, jak zając.

Był to Bebe, ociekający jakąś ciecżą, wszystkie kości miał połamane, zmiażdżone i porozciągane przez potężny przewód pokarmowy węża.

Mała wydała dźwięk podobny do czkawki, przykładając dłonie do ust. Zatrzęsa się w miejscu, jakby nie wiedząc, co robić, po czym ruszyła biegiem przed siebie, na oślep.

- Mała! Poczekaj! - krzyknąłem.

Zniknęła już wśród roślinności. Było całkowicie ciemno.

- Mała, kochanie! Wracaj! Uważaj! Byłem sam wśród ciszy i ciemności.

- Masz, skurwielu! - warknąłem, waląc wściekle węża maczetą. - Ty wielka świnió!

Kto mu dał prawo, żeby porwać się na tak urocze, zabawne i bezbronne stworzenie jak Bebe?

Szybko wykopałem w ziemi otwór głębokości jakichś pięćdziesięciu centymetrów, pomagając sobie maczetą i obiema rękami. Trup węża, otwarty na całej długości, śmierdział

na potęgę. Ten żarłok miał w żołądku jeszcze dwa inne węże i jakiegoś małego gryzonia, wszystkie trzy w stanie daleko posuniętego rozkładu. Ostrożnie, dwoma palcami, przyciągnąłem lepką kulę, która kiedyś była Bebe, i strąciłem ją do dziury. Nakryłem ją kawałkiem drewna i, żeby chociaż nie dobrały się do niej padlinożerne zwierzęta, przysypałem ziemią i wszystko mocno ubiłem.

W obozie Mała schroniła się pod moskitierą, okryła kocem, skulona w rogu materaca, i wypłakiwała swój wielki, ogromny smutek.

- Biedactwo! - lamentował Paulo. - Naprawdę kochała tego włóczęgę! O rany!... Trzeba, powiedzieć, że naprawdę nie mamy szczęścia!

Zakrzętnął się w kuchni i czerpiąc z zapasów przygotował jakiś niejadalny guiasz. W obliczu tego dziecięcego nieszczęścia postanowiliśmy, że zostaniemy jeszcze jedną noc. Kiedy kolacja była gotowa, wśliznąłem się pod moskitierę.

- Mała! - zwołałem łagodnie. - Chodź jeść.

Siadłem przy niej, ciągle szepcząc jej różne głupstwa i zachęcając, by przysła coś zjeść. Łkała, wstrząsana spazmami płaczu pod swoim kocem.

- Mała? To ja, Elias. Nie płacz już. No już... już...

Ściągnąłem z niej koc. Przytuliła się do mnie, szukając oparcia, i wcisnęła twarz w zagłębienie mojego ramienia.

- No już... już... Już dobrze... Uspokój się...

Czułem jej łzy spływające mi po szyi. Dziewczyna drżała i dygotała w moich ramionach tak gwałtownie, jak tylko potrafiło to jej drobne ciało. Pozwoliłem jej się wypłakać. Byłem wzruszony i przygnębiony. Potem poczułem coś lepkiego na dłoni, gładząc jej rękę. Od razu zorientowałem się, co to za ciecz.

- Mała, ty krwawisz! Pokaż rękę!

Rzeczywiście była to krew. Na siłę wyciągnąłem ją spod koca, nie wywołując żadnej reakcji. Oziębiała pod wpływem wielkiej żalości. Uniosłem ją i wyniosłem na zewnątrz, krzycząc:

- Chłopaki! Dajcie lampę! Ona jest ranna!

Była to długa i cienka rana, głęboka jak po cięciu nożem, ciągnąca się od ramienia aż po łokieć, po przekątnej ręki. Krew obficie płynęła w dół przedramienia, zabarwiając spódniczkę na czerwono. Mała była półprzytomna, nieruchoma, z pustym wzrokiem. Zagotowaliśmy wodę. Nie mogliśmy zrobić nic innego, jak tylko przyłożyć gorące kompresy. Trzymałem ją za rękę. Montaignes obu kciukami ścisnął brzegi rany.

Nagle pojawił się koło nas stary Mały Ludzik i podszedł do Montaignes'a, by obejrzeć

ranę, nie przestając szczebiotać i uśmiechać się. Następnie mocno potrząsnął głową i zrobił ruch, jakby chciał zabrać Małą ze sobą.

- Ty, leczyć? - spytałem, wskazując ranę.

Za pomocą kciuka i palca wskazującego zrobił tajemniczy ruch, jakby ścisnął ranę na całej długości.

- Szyć? - spytał Montaignes robiąc odpowiedni ruch.

Nie, kiwnął Mały Ludzik i przyciągnął Małą do siebie, cały czas potrząsając głową. Pozwoliliśmy mu działać. Albo to, albo gorąca woda.

Mały Ludzik usadowił Małą w swoim kąciku. Jego syn i on obmacali ranę szczebiocząc, raczej na wesoło. Mała, z półprzymkniętymi oczami, nie reagowała. Zrozumiałem, kiedy zobaczyłem manierkę. Była to moja manierka, ta, którą stary Mały Ludzik pożyczył ode mnie, żeby nabierać mrówek fannian, tych niszczących wszystko na swej drodze.

Mały Ludzik usiadł po turecku, z manierką na udzie. Ostrożnie odkręcił wieczko i potrząsnął, zaglądając do środka. Na zewnątrz pojawiła się wielka czarna mrówka, którą Mały Ludzik złapał z cichym okrzykiem, po czym zakręcił manierkę.

Młodszy trzymał rękę Małej i ścisnął brzegi rany tak, żeby powstały dwa małe wzgórki. Ojciec, z nachyloną głową, świszcząc jednostajnie, przytknął do rany mrówkę. Trzymał owada za odwłok, tuż za wielkimi dwoma czarnymi szczypcami, z których każdy miał niemal centymetr długości.

- Rozumiem - szepnął Montaignes. - Szczypce fannian ustawione są ukośnie jeden względem drugiego i kiedy się stykają, zachodzą za siebie. Po zaciśnięciu nie można już ich rozłączyć.

Stary przysuwał mrówkę bardzo powoli, aż znalazła się dokładnie nad raną. Czarne szczypce zacisnęły się. Skóra przez chwilę opierała się, ale wkrótce została przebita. Mały Ludzik zaszczębiotał radośnie. Krótkimi pociągnięciami szarpał mrówkę, naciągając skórę, żeby udowodnić nam, że szew trzyma. Po czym mocnym ruchem oderwał odwłok mrówki, pozostawiając tylko twardą, błyszczącą głowę, wielką niczym łebek gwoździa, i oba szczypce wbite głęboko w skórę.

- Fantastyczne - szepnął Montaignes.

Po zakończeniu operacji, którą powtórzono trzydzieści cztery razy, Mała miała na ręku nieco nieregularne zgrubienie, przez które przebiegała czerwona linia rany. Wyglądało to dosyć partacko, ale przecież nic więcej i tak nie mogliśmy zrobić, a Mały Ludzik gestami obiecywał jakieś maści na następny dzień.

Mała zobojeźniała na wszystko. Na rękach zaniosłem ją do łóżka i długo przy niej czuwałem. Leżąc tuż przy mnie, z głową opartą na moim ramieniu, patrzyła szeroko otwartymi oczami. Zasnęła późno, koło trzeciej nad ranem. Ułożyłem ją wygodnie i sam zapadłem w sen.

Niedługo później los dotknął Montaignes'a. Choć stało się to w sposób, który mógł wydawać się śmieszny, i choć fizycznie nie doznał uszczerbku, wyrządziło mu to, poważną krzywdę i nawet przez jakiś czas odbiło się na jego nastroju, zwykle przecież tak równym.

Podczas swoich patroli wzdłuż rzeki tropiciele znaleźli ślady wymiocin słonia, które liczyły już kilka dni. Posuwaliśmy się więc naprzód w przyśpieszonym tempie, mnożąc wypady w głąb dżungli, poszukując nowych śladów zwierzęcia, które najwyraźniej kręciło się po okolicy.

M'Bumba? Nie, nie przypuszczaliśmy. Coś nam szeptało, że nie. Było jeszcze zbyt wcześnie. Ale w każdym razie jakaś para klów, którą chętnie zrewindykujemy od właściciela. Szliśmy gęsiego, jak zwykle. Las był tak gęsty, że ciemne sklepienie znajdowało się niecałe dwadzieścia metrów nad nami. Na ziemi jak zawsze kłębowisko roślin, łodyg i zielonych kuł, i wyczerpujące przeciskanie się wśród lian, które trzeba było ciąć maczetami lub obchodzić na setki metrów.

Montaignes, nieco z tyłu, mówił sam do siebie w marszu, pochłonięty myślami, głosem lekko zdyszonym: Baudelaire, potem całe katalogi łacińskich nazw, bo rozpoznawał wszystkie rośliny pojawiające mu się przed oczami, jakby bawiąc się sam ze sobą.

- Eee... Poczekajcie, eee... Cyclamenia talimis! Wygrałem! Brawo!

- No, zamknij się wreszcie! - warczał od czasu do czasu Paulo. - Tu jest polowanie, do cholery!

- A to... Streptocarpus caudescens... I... Och! Tigra! - wykrzyknął.

- Ciszej! O rany! Mały, zaczynasz mi...

- Tigra! Tam! Ojej! Poczekajcie! Wszyscy stać!

I zanim zdążyliśmy zareagować, Montaignes podbiegł do pnia jakiegoś drzewa, położył karabin i zaczął się wspinać.

- Mały, polujemy... - powiedział Paulo smutnym tonem.

- Tylko chwilkę - obiecał Montaignes zdejmując buty. - Idźcie przodem. Dogonię was. Muszę mieć tę tigra. Ten czerwony kwiat, tam, przy pierwszych gałęziach...

Pośrodku grupy koronkowych paproci jasno lśniła krwistoczerwona plama. Przyglądając się jej uważnie dostrzegłem jej kształty, długie płatki, wyglądające jak jedwabiste języki wycięte z kardynalskiego płaszcza. Montaignes wspinał się jak małpa,

pomagając sobie rękami i nogami, wczepiając palce stóp w najmniejsze nierówności, rzadkie na tym gładkim pniu. W połowie wysokości musiał precyzyjnie się pod kłębowiskiem lian, spadających z wysoko położonych gałęzi, po czym zniknął. Zasłona lian poruszyła się pięć metrów wyżej i pojawił się znowu, rozradowany, z głową i ramionami pokrytymi gałęziami i liśćmi. Był na właściwej wysokości, dziewięciu czy dziesięciu metrów. Pozostawało tylko przedostać się do tigry, wśród listowia, jakieś pięć metrów od pnia.

- I hop!

Rzucił się odważnie do przodu, oburącz trzymając się liści, przeczołgał się pionowo i znalazł oparcie dla stóp. Następnie zaczął posuwać się powoli, przyklejony do zielonej ściany, za plecami mając tylko powietrze.

*Od złego i zdradliwych chronić mnie, eech... zasadzek, Krok mój ku drodze, eech...
Piękna kierują cierpliwie...*

Baudelaire! Zwariował ten Montaignes...

Moimi są sługami i czuję ich władzę, eech...

Całym sobą posłuszny tej pochodni żywej... eech... Mam ją!

Odwrócił się ku nam, trzymając się jedną ręką i wznosząc triumfalnie piękny czerwony kwiat.

- Tigra! Szalona rzadkość! Widzieliście taką wspinaczkę?

Wsadził sobie kwiat w zęby i zawisł na rękach, machając nogami w powietrzu i wydając małpie okrzyki.

- Heek! Heek! Ja bać się wielki myśliwy! Heek!

- Przestań. Zwariowałeś, czy jak?

Montaignes zręcznie wskoczył na gałąź i zaczął skakać, z rękami zwisającymi wzdłuż ciała, dziesięć metrów nad ziemią.

- Czita! Czita! Heek! Heek!

Przed nim zwisał pęk lian. Chwycił jedną z nich. Zrozumiałem jego zamiar, a on wydał okrzyk Tarzana, nadal trzymając kwiat w zębach.

- Ooooojiooooojioooooj!... Szarpnął lianę, która wytrzymała.

- Montaignes!

Rzucił się w dół. Gdzieś w górze liana puściła z suchym trzaskiem i zaczęła spadać w dół.

- Ooooojiooooojiooooo!... - Pluf!

I Montaignes wylądował na ziemi jednym uderzeniem, siedząc na tyłku pośrodku wielkiego krzaka o mięsistych liściach. Jego okulary poleciały gdzieś daleko. Pozostał

nieruchomo, z oczami przymrużonymi i nie wyrażającymi niczego, i z pięknym kwiatem zmiażdżonym pomiędzy zaciśniętymi zębami.

Paulo powstrzymał wybuch śmiechu, z kącikami warg odchylonymi do tyłu i radosnymi iskierkami w oczach, podczas gdy Montaignes'owi pomagałem wstać i otrzepać się z pyłu. Powstrzymał się jeszcze, wydając jedynie ciche wesołe okrzyki, kiedy Montaignes, głuchy na moje nagabywania, z oblędem w oczach zaczął szperać dookoła wśród łądyg i liści, mamrocząc:

- Moje okulary... Kurwa, moje okulary...

Stary omal nie wybuchnął śmiechem, ale akurat na czas zrobił zasmuconą minę, kiedy Montaignes wyciągnął spomiędzy listowia jakiś kawałek drutu z jednym szkłem.

- Kurwa, moje okulary... Stłukłem szkło!

Jak potrafił, tak naprostował to, co zostało z oprawki, ponaginał ramiona, powyciągał resztki szkła i wsadził sobie rezultat tych operacji na nos. Leżało to krzywo, a po prawej stronie, tam gdzie pękło szkło, sterczał kawałek drutu, niczym mała antenka. Kiedy się odwrócił, Paulo nie mógł już wytrzymać. Było to dla niego za wiele, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, a brzuch zaczął drgać.

- Ech, Mały, ha! ha! ha! Mam nadzieję, ha! ha! ha!... że nic sobie, ha! ha! ha! nie zrobiłeś, co? ha! ha! ha!

I Paulo wybuchnął, z szeroko otwartymi ustami, pełną pierśią, na rozstawionych nogach, rozglądając się dookoła. Był to długi śmiech, grzmiący niczym burza, który nie pozwalał mu nawet na nabranie tchu. Po jakimś czasie przyłożył rękę do serca i osunął się na ziemię, a po twarzy ściekały mu łzy.

- Hi! hi! hi!... Mały... nic złego!... Hi! hi! hi!

Montaignes, podrapany, zakrwawiony, widzący tylko na jedno oko, nie docenił dowcipu. Posępnie wodził wzrokiem. Małe Ludziki także zaczęły się śmiać. Potrzebował pomocy. Usiłowałem uspokoić Paula i pocieszyć Montaignes'a. Choć nie można powiedzieć, żeby się naprawdę boczył, przez cały wieczór pozostał jednak jakiś dziwny i milczący, pomimo nagabywań Paula:

- No, Mały, przecież to dla śmiechu... Dobrze chociaż widzisz? Hi! hi!

Nic nie powiedział, zajął się „swoim” okulem, zajrzał do Małej, żeby obejrzeć jej ranę, oznajmił, że goi się dobrze, i poszedł spać.

* * *

W ciągu następnych dni Montaignes sporządził sobie za pomocą paska materiału khaki, wyciętego z jakiejś torby, przepaskę z wyciętym otworem, w którym udało mu się nieźle zamocować swoje okularowe szkło. Wzmocniona tekturą opaska tworzyła z boku kąt prosty. W ten sposób, z jednym okiem ukrytym, Montaignes wyglądał, jakby nosił jakiś celownik. W regularnych odstępach czasu zdejmował przepaskę i przekładał szkło na drugie oko. Jedno odpoczywało, podczas gdy drugie patrzyło za oba. Było to dosyć estetyczne, w stylu „dżunglowym”, ale bardzo mu przeszkadzało. Mnożyły się przed nim trudności, a w dodatku Paulo nie mógł się powstrzymać, by go nie prowokować, co nie polepszało sprawy.

Stary wyczuł, że Montaignes denerwował się, co bechtało jego ukrytą złośliwość, pozostałą po okresie dzieciństwa spędzonego na ulicy i długotrwałym zwyczaju pastwienia się nad tymi, którzy się stawiają. Od tej pory różne ciężkawe „Widzisz?” i „Rzuć okiem!” rozbrzmiewały przez okrągły dzień. Paulo nie robił tego ze złej woli ale, nieświadomie, urażał Montaignes’a, który nie był przyzwyczajony do całkowitego braku litości. Zamykał się więc w sobie, przeżuwał to w milczeniu i było mu źle.

Kiedy się jest w grupie, przeżywającej zwłaszcza trudności, zamknąć się w sobie oznacza skazać się na rozmyślanie, na irytację wszystkim i niczym, wreszcie na rozgoryczenie. Montaignes znalazł się na tej równi pochyłej. I oczywiście los pastwił się nad nim. Jemu przypisane były wszystkie gałęzie, kałuże, mrówki, wszystkie przeszkody. Naprawdę pech!

Powoli zespół ogarniało napięcie. Docinki Paula stawały się coraz bardziej złośliwe, a i ja sam ochrzaniłem obu tropicieli, właściwie nie wiem dlaczego. Tak się rzeczy miały, kiedy, po paru dniach bezustannego łążenia i biwaków coraz prymitywniejszych ze względu na złe samopoczucie Małej, odnaleźliśmy ślady słonia. Były to odchody sprzed paru godzin. Na ich widok od razu zrozumieliśmy, że nie był to M’Bumba, były stanowczo za małe.

Dalej posuwaliśmy się w milczeniu. W tym kłębowisku roślinności słoń mógł znajdować się pięć metrów od nas i pozostawać niewidocznym. W dżungli zdarzało się, że niektórzy myśliwi natykali się na nogę słonia, wychodząc zza krzaka. Tropiciele biegli bezgłośnie i węszyli w powietrzu, kręcąc głowami na wszystkie strony, bardzo podnieceni.

* * *

Nagle usłyszeliśmy go. Szelest liści, potężny oddech i oto wyszliśmy wprost na niego w miejscu, gdzie roślinność była nieco rzadsza. Znajdował się o dwadzieścia metrów dalej i stał do nas tyłem, ogromny, ciemnoszary.

Natychmiast rozeszliśmy się, tworząc pięciometrowe odstępy, z karabinami gotowymi do strzału. Dostrzegł nas. Odwrócił się, z wyraźnymi oznakami wściekłości. Ujrzelśmy częściowo jego głowę, szerokie uszy, wysoko podniesione kły. Widziałem go z trzech czwartych, kiedy strzeliłem w skroń. 478 Paula wypalił jednocześnie. Upłynęły dwie sekundy w ciszy zanim zdecydował się Montaignes.

Słoń padł na kolana, aż ziemia jęknęła, zakołysał się i runął na bok, pokonany.

- Dobraaaa! - ryknął Paulo.

Rozległ się potężny bulgot i ciało słonia wypróżniło się, rozprzestrzeniając silny gorzki zapach zalatujący zgnilizną.

- Uch! Nażarł się mango, świnia! - wrzasnął Paulo. - Dlatego tak śmierdzi.

Była to piękna samica. Ogromna głowa, lekko przekrzywiona, spoczywała na podwiniętej trąbie. Padając zwała kilka drzew i spod jej ciała sterczały dookoła gałęzie. W ten sposób do kieszeni wpadały nam dwa ładne kły. Miały prawie po dwa metry długości.

Tropiciele chwycili swoje brzeszczoty od pił do metalu i nie zwlekając zabrali się do roboty, piłując kość o pięć centymetrów od skóry, podczas gdy Paulo, na swoim kalkulatorku, obliczał już zyski. Rezultat przywrócił mu dobry humor.

- Prosto w skroń, popatrz! Nie? Dokładnie! To jest strzał, co?! W głowie ofiary widniały dwie wielkie krwawiące dziury. Po moim strzale i Paula.

- Widziałeś, Mały? To jest robota! Żadnych cierpień, prosto w dziesiątkę!

Kula Montaignes'a, nieźle jak na początkującego, trafiła w trąbę, niemal u nasady, gdzie wyrwała potężny kawał mięsa. Paulo wskazał na tę brzydką ranę cmokając karcąco.

- Ale to, Mały, to... Tak się nie robi... Trzeba zrobić postępy, co?

- Tak, właśnie! - odparł wściekły Montaignes.

- Może potrzebowałbyś innej broni? Może potrzebowałbyś karabinu z okulem? Co?

- Dobra już! Daj spokój, Paulo! Zejdź trochę ze mnie!

* * *

W tej właśnie chwili pojawiło się słońce. Wysokie mniej więcej na metr, z cienką jasnoszarą trąbą i dwójgiem wielkich, zaniepokojonych oczu, po prostu wielki jednotonowy dzidzius, bojaźliwy i bezradny. Podeszło niepewnie, jakby nieco bokiem, niezdarnie.

Trąbą dotknęło ciała słonicy, po czym naparło na nie czołem, całym ciężarem, jakby chciał ją podnieść.

Boże drogi! Zabiliśmy matkę. Skąd mogliśmy wiedzieć, że ten tutaj jest w pobliżu?

Opuściła mnie cała radość. Montaignes, ze swoją przepaską na czole, mrugał oczami blady i przerażony.

- No, to się spisaliśmy! - podsumował Paulo.

Próbowaliśmy je nastraszyć, żeby odeszło, klaskaliśmy w dłonie i biegaliśmy przed nim głośno tupiąc.

- HUUU! HUUU! Dalej! HUUU!

Paulo załadował broń i wystrzelił w powietrze. Huk sprawił, że tropiciele zaczęli się śmiać, pochyleni nad swoją robotą, a słoniątko odskoczyło na kilka metrów. Ale nie zdecydowało się odejść. Podeszło znowu, patrząc swoimi wielkimi smutnymi oczami, które tylko wzmagaly nasze wyrzuty sumienia, i znów zaczęło popychać czołem ciało swojej mamy. Przesuwało też swoją trąbę, porośniętą długimi jedwabistymi włosami, po skórze słonicy i w końcu zaczęło przeszkadzać tropicielom w pracy. Młodszy z Małych Ludzików, zdenerwowany ruchem trąby, zaszczebiotał coś gniewnie, po czym nagle chwycił maczetę leżącą u jego stóp i wbił ją w szyję słoniątka.

Maczeta uwięzła, dość głęboko wbita w ciało, a spod niej wypływała strużka krwi. Mały Ludzik szczebiotał wściekle i gwałtownie machał rękami, żeby odpędzić małego, który kręcił się w kółko, już całkowicie przerażony.

Zrobiłem to, co wydawało się logiczne. Załadowałem broń i podszedłem do małego, długo celowałem, czekając, aż się uspokoi, i wystrzeliłem, kiedy pojawił się na muszce. Padł na ciało swojej matki.

Mały Ludzik podszedł, by wyciągnąć swoją maczetę, uniósł ją wysoko w górę i z błyszczącymi oczyma zaczął się śmiać, odsłaniając dziąsła, dzikim i nieprzyjemnym śmiechem.

Montaignes'owi nagle coś zaskoczyło i wybuchnął.

- Wyście wszyscy powariowali! Zupełnie powariowali!

Zaczął się. Teraz musiał nastąpić dalszy ciąg. Odreagowanie wielu dni urazu. Ryczał, czerwony, niepohamowany, nie panując nad sobą, z opaską przekrzywioną na czole i dłońmi zaciśniętymi do białości na karabinie. Jego krzyki przechodziły w falset i chwilami tracił głos. Upajał się własnymi słowami, zapamiętując się we własnej wściekłości. Musiało mu być bardzo źle.

Byliśmy wariatami. Byliśmy świniami. Nie mieliśmy prawa do czegokolwiek na tym świecie. Nie mieliśmy żadnych usprawiedliwień. Wyruszyliśmy na spotkanie śmierci. Wszyscy o tym wiedzieli. Wiedzieliśmy o tym i nie powiedzieliśmy mu. Zrobiliśmy to umyślnie. Byliśmy oddaleni od wszystkiego, zbyt oddaleni. Trzeba powstrzymać te

szaleństwa i poświęcić wszystkie siły na poszukiwanie szansy odnalezienia prawdziwego świata. I jeszcze mnóstwo innych rzeczy, których by nie powiedział, gdyby nie był wściekły.

Wzruszyłem ramionami i zarepetowałem karabin, żeby coś zrobić, podczas gdy on zdierał gardło. Pozwalałem mu się wyładować... Za chwilę opamięta się i zrozumie, że nie mogłem uczynić nic innego, jak tylko zastrzelić tego małego. Nie byłem winien temu nerwowemu załamaniu. Ale Paulo zdenerwował się i rozwrzeszczał jeszcze głośniejsze:

- Zamkniesz wreszcie mordę czy nie?!

I postąpił dwa kroki w kierunku Montaignes'a, który nadal ryczał, tracąc dech.

- Zamknij tę swoją jadaczkę albo ja ci ją zamknę!

- Ej, Paulo, spokojnie! - zawołałem. Natychmiast odwrócił się ku mnie i wrzasnął:

- Ty też chcesz mi wleźć na głowę? Tak? Chcesz zacząć?!

Tracił panowanie nad sobą. Robiło się gorąco. Miał minę rozjuszoną i zupełnie nie do żartów. Wściekły, rozdygotany, gotów na wszystko, a wiedziałem, na co tego starego wariata stać. Patrzył na mnie nieruchomo, jakbym go obraził. Odwrócił się i ruszył w kierunku Montaignes'a, którego wrzaski zaczynały przycichać.

- Ty mały dupku, zamknij się, bo nie ręcę za siebie! Cicho, mówię ci! Rozkazuję ci zamknąć dziób!

Na te słowa Montaignes zamilkł nagle i jego twarz jakby się wydłużyła, stając się jeszcze chudsza; przymrużył oczy i przybrał jakiś paskudny, zły wyraz twarzy, którego nigdy u niego nie widziałem. Odruchowo odciągnął kurek Winchestera. Klak! Ciąg dalszy był już logicznym następstwem, łatwym do przewidzenia. Stanął pewniej w rozkroku i opuszczył lufę na wysokość człowieka.

Postarzał się przy tym o dziesięć lat, a w policzkach zrobiły mu się dwie głębokie bruzdy.

- Tak? Taki jesteś?... - zasyczał Paulo. - Ty gnido - powiedział powoli. Cały zeszytniał, lekko pochylony do przodu, gotów do działania. Ryknąłem:

- Odbiło wam!? Stać!

I wymierzyłem w ich kierunku, gotów strzelać w nogi pierwszego kretyna, który się poruszy.

Przez kilka minut mogło się zdarzyć wszystko. Co za szaleństwo! Naprawdę wszyscy powariowaliśmy! Musiałbym pilnować się Paula, gdyby zabił Montaignes'a. Upływały sekundy, cała wieczność. I w końcu Montaignes rozluźnił się pierwszy...

Powrót do obozu był długi, trudny i upłynął w milczeniu przez ten ciemny las, gdzie ciągle się o coś potykaliśmy. Obaj tropiciele wzięli jeden kiel i pędzili przodem, regularnie zgodnym ruchem przerzucając go od czasu do czasu z jednego ramienia na drugie.

Ja wziąłem drugi na kark, niczym nosidła, odrzucając czyjąkolwiek pomoc. Zataczałem się pod ciężarem i starałem się iść szybko, zwalczając ogarniającą mnie złość na wszystko.

Nikt nie zmienił nastroju. Paulo najwyraźniej przeżuwał chęć mordy, Montaignes całkowicie zamknął się w sobie, pogrążony w myślach, bardzo daleki.

Kolacja była ponura, nikt nie miał ochoty na konwersację. Potem mokre materace, zupełnie czarna noc, chłodne podmuchy, cisza przerywana pomrukiwaniem i ciskaniem się z boku na bok w poszukiwaniu wygodnej pozycji, której nie było...

Nie było mowy o spaniu. Przemoczone pokrycie materaca było nadzwyczaj nieprzyjemne w dotyku. Pomimo całego wysiłku, jaki kosztował mnie powrót, nie mogłem pogrążyć się we śnie. Moje mięśnie, nareszcie rozkoszujące się odpoczynkiem, niczego innego nie pragnęły, ale głowa nie chciała się uspokoić. Myślałem, a myśli te nie były przyjemne.

Czułem zapach powietrza, przesiąkniętego wyziewami mokrych butów i ubrań. Widziałem plecy Paula, o parę centymetrów ode mnie. Stary spał, leżąc na boku, zwinięty w kłębek, z brudnym kocem okrywającym nogi, w samym podkoszulku, z workiem podłożonym pod głowę jako poduszką, i to na macie rozłożonej bezpośrednio na ziemi. Udało nam się uratować tylko trzy materace. Zgniły Paulo warknął, że woli matę i że nie jest panienką. Dżungla to jego żywioł. Nie było nas jeszcze na świecie, kiedy już ją przemierzał ze swoimi leśnymi towarzyszami w latach 1938-39. Nie, do cholery, nie był mu potrzebny materac!

Paulo! Stary! Kurwa! Żeby tak spać jak żebrak, w jego wieku. Brakowało jeszcze tylko napoczętej litrowej butelki czerwonego wina u wezglowia i złudzenie byłoby całkowite. Co się z nami porobiło?

W myślach obrzuciłem M'Bumbę stekiem wyzwisk. To jego napad na obóz spowodował to wszystko. Nasze postanowienie, by iść dalej, nasz nadmiar optymizmu, wynikający z pragnienia pomszczenia Tatave, całą tę wyprawę w górę rzeki i ten powolny upadek, którego nienormalność coraz bardziej odczuwałem. Wszystko zaczęło się właśnie wtedy. W dniu, w którym ten zasrany, niedojebany skurwiel dał dowód inteligencji i spowodował, że wszystko zaczęło iść źle.

Trwało to już teraz pięć tygodni. W jaki sposób wszystko mogło się zepsuć w tak krótkim czasie? Boże! Pamiętałem, całe wieki temu, wesoły wymarsz na safari, grupę kumpli ogarniętych pragnieniem życia i zabawy, zadowolonych, że czeka ich trochę przyjemności. Pirogi, komfort, kieliszki Bordeaux, a potem nagonka na to przeklęte stworzenie. Po prostu - życie!

Ale to teraz, to już nie było życie. Byliśmy na brzegu, ułożeni na gnijących barłogach, wokół przygasającego ogniska. Jedna piroga z niemal pustą beczką benzyny i trzema parami kłów, na ziemi jeszcze parę innych przedmiotów; byliśmy kloszardami tej rzeki.

Chociaż przy mnie też nie stała butelka, nie powinienem mieć żadnych złudzeń: wyglądałem dokładnie tak samo jak Stary. Mówił mi o tym już sam mój zapach. Co za upadek! Jak można było dopuścić do znoszenia takich codziennych cierpień, frustracji i napięć? I co miały znaczyć te pyskówki, które wszystko zaostrzyły? Bo przecież było już parę chwil, kiedy mieliśmy ochotę do siebie strzelać. Byliśmy trójką przyjaciół, którzy bardzo się lubili i tak dalej, i temu podobne... I oto stawaliśmy jeden przeciw drugiemu. To nielogiczne.

Jedynym wytłumaczeniem było, że wszyscy znajdowaliśmy się w stanie straszliwego podenerwowania. Pograżyliśmy się w szaleństwo, nie zdając sobie z tego sprawy, i dopóki do tego nie dojdzie, nadal będziemy wariować.

Tego wieczoru wątpliwości, które ogarniały mnie chwilami w ciągu ostatnich dni, zaczynały jasno się rysować. Był tu jakiś obłęd i wydawało mi się, że wszystko jest na najlepszej drodze do koszmaru, był jakiś ogólny brak logiki w naszym położeniu, którego dobrze nie rozumiałem, ale byłem pewien, że będzie dla nas fatalny. Dostawaliśmy kopniaka za kopniakiem. Taki był oczywisty rezultat najbardziej elementarnej analizy wydarzeń. Bebe, Montaignes, Mała, boa... Zabiliśmy słonia i od razu rzecz przemieniła się w krwawą jatkę. Strzelaliśmy do siebie. Wszystko się rozpadało. Nie potrafiliśmy przeciwstawić się biegowi wypadków.

Od czasu śmierci małego kuchcika nie mieliśmy już żadnej kontroli nad tym, co się działo. Płynęliśmy z prądem. Każda próba dobicia do brzegu zamieniała się w tragedię. Każda próba reakcji z naszej strony obracała się przeciwko nam.

Dlaczego byliśmy tutaj? Czy polowaliśmy na M'Bumbę? Ale dlaczego postanowiliśmy dotrzeć do Jeziora Dinozaurów?

Dlaczego byliśmy przekonani, że M'Bumba siedł w tym kierunku? Jaki mieliśmy dowód, że spośród tych tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli wybierze właśnie tamto miejsce? I dlaczego nadal, pomimo wszystkich tych moich wątpliwości, byłem o tym głęboko przekonany?

Nie, nie i nie! To nie tak! Karty były sfałszowane. To nie było normalne. Zmierzaliśmy prosto do katastrofy. Trzeba zresztą być ślepym, tak jak my, żeby nie widzieć, że katastrofa już się zaczęła. Znaleźliśmy się w pułapce, która wyglądała groźnie.

Umrzeć to nie problem. Paulo i ja byliśmy zawodowcami w tej dziedzinie, wielokrotnie skazywani na śmierć, raz zostaliśmy uratowani na kwadrans przed egzekucją. Walki, bitwy, zmagania, ginący ludzie - byliśmy gotowi na to wszystko. Można powiedzieć, że na tym polegała nasza praca. Ale na razie tonęliśmy, a nie walczyliśmy. Sytuacja wymykała się spod naszej kontroli. Trzeba patrzeć na rzeczywistość trzeźwo. Zagubiliśmy się.

Nie wiedziałem nawet, jak natrafić na grunt pod nogami, bo nie pojmowałem, co spowodowało, że go utraciliśmy. Wszystko było jak za mgłą: złośliwa seria przypadków, niezauważalne pogarszanie się sytuacji za każdym nowym zdarzeniem. Trochę tak jak czasami przy stole ruletki, kiedy się czuje, że dobre liczby nie wychodzą, bo los postanowił, że dziś się przegrywa i że nic nie wyjdzie.

Bez naszej wiedzy wszystko się wzajemnie powiązało. Ten ciąg wypadków osłabiał nas stopniowo, choć nie potrafił zmusić do opuszczenia rąk. W rezultacie przeszliśmy przez serię możliwych do zniesienia kłopotów, które pozbawiły nas w znacznym stopniu koniecznych do przeżycia zapasów i pogrążyły w gównie po uszy.

Wstałem i przeciągnąłem się z głębokim westchnieniem. Co za historia! Czyżbym majaczył? Gdzie to było przedtem? Być może brakowało nam po prostu szczęścia. Jak się tego dowiedzieć? Wszystko było zafałszowane.

Wiatr znad rzeki poruszał moskitierą na wprost mojej twarzy i pieścił mi plecy zimnym powiewem. Urządziliśmy biwak na gołym brzegu, w miejscu obszernym niczym plaża, nieco zakrzywionym, gdzie rosło kilka drzew. Ściana lasu oddalona była o jakieś sześćdziesiąt metrów.

Dwie moskitiery i jedna plandeka zastępowały nam dom na piaszczysto-trawiastej plaży. A wokół, w nieskończoność, tylko duszący las...

- Trzeba się stąd zmywać - szepnąłem.

Kiedy tylko sformułowałem tę myśl, stała się ona oczywista. Było to takie proste. Wydawało się, że szczęki pułapki zaciskają się. Wystarczyło uciekać, biegnąc w przeciwną stronę. Przejść tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Wyjść z dżungli, przedostać się do Konga, do Powszechnej Faktorii Handlowej. Albo nawet jeszcze dalej, bo naprawdę już miałem dość tego zadupia. Co stało na przeszkodzie, by zawrócić, poza naszym głupim i irracjonalnym uporem? Oczywiście, było jeszcze pragnienie zemsty za Tatave. Ale przed

nami nie było przeciwnika! Nikt nie wiedział, gdzie go szukać! Nie tchórzyliśmy, tylko na zimno stwierdzaliśmy, że sytuacja była bez wyjścia, że prowadziła do śmierci w imię niczego, i postanowiliśmy z tym skończyć.

* * *

Tak! Tak! Oczywiście! Wrócimy z naszymi sześcioma kłami, które, dodajmy przy okazji, z nawiązką opłacą poniesione koszty.

Przepajały mnie radość i ulga, jak gdybym pozbył się ogromnego ciężaru. Znalazłem wyjście. Było oczywiste, jasne, dziecinnie proste.

Maty, wilgoć, straszliwa cisza dżungli, wszystko to nagle stało się tymczasowe i przestało tak dokuczać. Odwrót oznaczał przywrócenie całej sytuacji do jej normalnych wymiarów. Wypad wyrośniętych harcerzy w pogoni za przewrotnym słoniem, który trochę za bardzo dał im się we znaki. Przy okazji załatwiliśmy sobie kilkadziesiąt kilogramów kości słoniowej.

Najtrudniej będzie przekonać mojego upartego jak muł kumpla. Paulo nigdy nie zadał sobie trudu, by sprawdzić albo zrozumieć, czy świat, w którym działał, był szalony, nielogiczny, niebezpieczny czy jakikolwiek inny. Dla niego takie kwestie nie istniały. Szedł do przodu i rozwiązywał każdy napotykaną problem, kolejno, nigdy nie zadając sobie pytań na temat jego wagi, kształtu czy rozmiarów. Jego jedynym dążeniem zawsze było: iść dalej do przodu, ciągle dalej. Kiedy przyjdę mu powiedzieć: „Dajmy spokój, spieprzamy stąd!”, spojrzy na mnie dziko i powie, że skoro się łamię, to mogę sobie wziąć pirogę i zostawić go tu polującego samotnie i żebym wreszcie przestał mu zawracać głowę. Jeszcze dobrze, jeżeli pod wpływem niesmacznego śniadania nie zacznie strzelać, by przyspieszyć mój odjazd.

Chciał dostać M'Bumbę po prostu dlatego, że wyruszył na jego poszukiwanie. Poza tym, byłem tego pewien, marzył o swoim cmentarzysku, mówił o nim coraz częściej. Według niego, jeżeli gdziekolwiek istniało, to musiało to być w tym gnijącym i tajemniczym lesie. Kiedy Paulo wbił coś sobie do głowy, zawsze było trudno go od tego odwieść. Ale kiedy zawładnęło nim marzenie, to już potrzebny był prawdziwy wyczyn. Musiałem przygotować całkowicie pewne, dyplomatyczne argumenty. Do jutra rana.

* * *

Montaignes stanie po stronie Paula, to jasne. Odkąd mocnym głosem oznajmił, że

idzie z nami, po śmierci małego kuchcika ta gra zawładnęła nim całkowicie. Głęboko przeżywał wszystkie wydarzenia tej ekspedycji. Jeszcze mniej niż my zdawał sobie sprawę z aberracji, bo brakowało mu doświadczenia. Ponadto najwyraźniej podobało mu się życie w dżungli.

Wśród intelektualistów w okularach częsty jest taki mały kompleks Tarzana. Montaignes był zachwycony, że tak dobrze i skutecznie daje sobie radę w tym środowisku. Praktycznie stosował tu swoją inteligencję i był zadowolony widząc, że to działa, jak gdyby pierwszy raz zdarzyło mu się jej użyć do czegoś innego niż myślenie.

Przeżywał tu wielkie chwile i z pewnością bardzo chciał, by potrwało to dłużej, a chociaż był takim filozofem, nie miał wiele więcej rozsądku od nas. W czasie dyskusji będzie poważnym przeciwnikiem.

Ale byłem pewien, że ich przekonam. Tak czy inaczej było to konieczne. Poza tym miałem już gotowy plan: pozwolę na kontynuowanie ekspedycji jeszcze przez kilka dni, aż dotrzemy do Jeziora Dinozaurów. Kiedy Montaignes zobaczy to swoje cholerne jezioro, będzie bardziej skłonny do powrotu. Taki był nasz cel od dawna i mogło to tworzyć złudzenie, że osiągnęliśmy jakiś rezultat. Spowodować to musi pewną ulgę, jakby rozprężenie, które wykorzystam, by zarządzić odwrót. Spryt i dyplomacja, oto hasło chwili.

* * *

Uspokojony opracowanym planem i myślą, że wkrótce wszystko się zakończy, wyśliznąłem się spod moskitiery i usiadłem na ziemi koło ogniska. Nalałem do menażki wody z bidonu, plastikowego obrzydliwego pojemnika, którego smakiem przesiąkała woda, i umocowałem ją nad ogniskiem do zagotowania.

Nie mieliśmy już nawet kawy. Od pewnego czasu nasze gorące napoje robione były na wywarze z jakichś gałązek i ziaren, które dały nam Małe Ludziki. Smakowało trochę herbatą, trochę pieprzem i jeszcze jakimiś nie określonymi rzeczami. Może byłoby to i smaczne z cukrem, ale nie mieliśmy już nawet cukru...

* * *

Wracać, oczywiście! Rozwiązanie było tak proste, że ogarnął mnie cichy śmiech i zaśmiewałem się pochylony nad swoim naparem. Ale byliśmy głupi! Przecież powrót to najlepsze rozwiązanie dla wszystkich! Dla tych dwóch wariatów, dla mnie, dla Małej.

Nie chciałem więcej, żeby moja księżniczka narażona była na te wszystkie niebezpieczeństwa. Uważałem, że jak na dziecko i tak już przeżyła zbyt wiele. Nieźle wyszła ze swojej ostatniej przygody i jej ręka goiła się jak należy, ale jeśli ktoś ucierpiał w tej całej historii, to z pewnością ona.

Poza tym był jeszcze nasz związek. Jeszcze jedna nienormalna rzecz. Podobnie jak poprzednio, nie mogłem zaprzeczyć, że mnie pociągała i że w myślach żywiłem dla niej ogromną, zadziwiającą czułość. Może był to kolejny urok, jeszcze jeden rezultat napięcia, jakie towarzyszyło nam w czasie tego polowania? Musiałem przekonać się co do tego po powrocie, w bardziej normalnych warunkach.

* * *

No to już. Decyzja zapadła. Wracamy. I odwrót zacznie się natychmiast po wschodzie słońca. Nie było już mowy o dotarciu nad jezioro ani o kilku dodatkowych dniach. Trzeba działać szybko: jutro rano sprawdzę zapas benzyny, zwołam wszystkich i ruszymy.

Ja dowodziłem tą ekspedycją, do mnie więc należała decyzja, czy mieliśmy kontynuować, czy zawrócić. Nigdy nie sformułowana głośno umowa między Paulem a mną stanowiła, że zawsze dowodziłem w zakresie „wypadów” i „działań zbrojnych” i że podporządkowałem się jemu w sprawach handlowych i w razie kłopotów. Paulo zawsze uznawał ten podział, toteż uzna go i tym razem.

Zresztą, jeżeli tamci dwaj by się stawiali, gotów byłem w sposób chytry i dyplomatyczny dać im w głowę i załadować na dno pirogi. Jazda! W tył zwrot! Cała naprzód!

Myśl ta uspokajała mnie w sposób niewiarygodny. Mało brakowało, a byłbym wszystkich obudził, żeby oznajmić im dobrą nowinę i zachęcić do natychmiastowego załadowania pirogi. „Ach, Elias, nie ma co, kiedy myślisz, to coś z tego jest! I pomyśleć, że są tacy, co uważali cię za ciemnego chama!”

* * *

Żeby to uczcić, zrobiłem sobie coś w rodzaju papierosa. Oczywiście nie mieliśmy już tytoniu, więc tym razem znowu tropiciele dali nam jakąś dziwną mieszaninę, z daleka przypominającą tytoń do cygar, z pachnącymi ziarenkami, które wydzielaly obrzydliwy, słodkawy dym. Przez dłuższą chwilę pocilem się, usiłując umieścić wystarczającą ilość tej substancji w środku kartki wyrwanej z kalendarzyka, najcieńszego papieru, jakim

dysponowałem. Staralem się, denerwowałem, siedząc samotnie przed ogniskiem zużyłem całe litry śliny, zanim wreszcie udało mi się uzyskać coś białego o nieregularnych kształtach, ale całkiem nadającego się do palenia.

- Aaach!...

Wyciągnąłem z ogniska małą gałązkę, zapaliłem od niej swojego peta i odrzuciłem ją do ognia. Strzelił wyższy nieco płomień, oświetlając na chwilę okolicę. Wówczas nagle ujrzałem lśniący pysk ogromnego krokodyla, o dwa metry ode mnie! Był to ludojad o bardzo ciemnych łuskach, z długimi stożkowatymi zębami, groźnie rozmieszczonymi wzdłuż całej szczęki. Jego wilgotne oczy błyszczały w świetle ognia.

Głowę zwrócił ku mnie. Wsparcie na przednich łapach znieruchomiało ogromne ciało ginęło w ciemnościach i wśród traw.

Moja ręka wsunęła się pod moskitierę i chwyciła karabin, leżący koło resztek materaca. Wycelowałem w potwora, wrzasnąłem i wystrzeliłem.

Mój krzyk i odgłos wystrzału spowodowały natychmiastowe zamieszanie. Pojawił się przede mną Paulo, w podkoszulku, z karabinem w dłoniach:

- Elias! Elias! Gdzie? Gdzie?

Montaignes wygrzebał się spod moskitiery, również z karabinem, bezskutecznie usiłując jedną ręką założyć swoją opaskę:

- Co się stało?! Paulo! Elias!

Krokodyl padł jak kloc, pysk rozleciał się na kawałki.

- To nic! To nic! Spokój! - wrzasnąłem. - Zabiłem krokodyla! Już dobrze! Spokój!

Montaignes wygrzebał się wreszcie i zapalił swoją wielką latarkę, jedną z ostatnich, które jeszcze działały, jako że - jak łatwo się domyślić - brakowało nam także baterii. Krąg białego światła otoczył ohydny trup ludojada. Czoło było w kawałkach, nie zostały nawet oczy. Jego wielkie cielsko koloru khaki, dające czarne odbłaski, wypustki na grzbiecie, w kształcie wielkich zębów piły, schodzące aż po czubek długiego, grubego ogona, wszystko to było obrzydliwe. Łapy, żałośnie oklapłe, szerokie i potężne, zakończone były mocnymi pazurami.

- Świństwo! - warknął Paulo. - Nie powiesz mi, że to nie jest ohydne! Te paskudztwa są dobre tylko na torebki.

Nagle Mała zaczęła wrzeszczeć. Montaignes natychmiast skierował latarkę w jej kierunku. Światło odszukało ją, wydobyło z mroku najpierw moskitierę, potem Małą, z wyciągniętą ręką, a dalej, o niecałe dwadzieścia metrów, wydłużone kształty dwóch krokodyli.

- Popatrz na te ścierwa! - warknął Paulo zdenerwowany.

Oba ludojady czołgały się po brzegu, bardzo powoli, przesuwając to jedną łapę, to drugą i obracając przy każdym kroku szerokim ruchem wielkie półotwarte pyski to na prawo, to na lewo.

- Czego one chcą? - spytał mnie Montaignes, kierując na nie światło latarki. - Dlaczego podchodzą tak blisko obozu? Czy takie są ich zwyczaje?

- Nie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Paulo z hałasem grzebał wśród sprzętu, mamrocząc przekleństwa pod adresem gadów.

- Ej, Mały - zawołał - mógłbyś mi poświecić?... Dziękuję. Paulo wyciągał dynamit. Wziął jedną laskę, po czym otworzył pudełko z zapalnikami.

- He! He! He! - rechotał - Skurwiele! Ja im pokażę!

Wyciągnął zapalnik, starannie wcisnął lont do środka małego walca, wsadził sobie zapalnik do ust i zagryzł parę razy, żeby lont nie wypadł. Robił to wszystko z wyraźną rozkoszą. Następnie rozpakował laskę dynamitu z jednej strony, uważnie, wysuwając język. Delikatnie zrobił mały otwór w środku, wsunął weń zapalnik i z powrotem naciągnął papier, strojąc przy tym miny pensjonarki.

- Przyszliśmy wystawić dupy na powietrze, co?! - ryknął co sił w płucach. - Ja wam je ogrzeję!

Podbiegł do nas, w kalesonach i podkoszulku, przyciskając dynamit do serca.

- Oświeć mi je, Mały! Żebym widział, gdzie są!

Montaignes skierował swoją latarkę na zwierzęta. Gady przeszły dwa metry w naszą stronę. W snopie światła ich oczy błyszczały jak małe pomarańczowe reflektorki.

- Kryjcie się! - ryknął Paulo.

Zapalił lont od płonącej szczapy. Rozległo się skwierczenie. Cofnęliśmy się i przykucnęliśmy. Paulo, z wysoko uniesionym podbródkiem, z palącym się lontem na wysokości oczu, cieszył się niczym stary kawalarz.

- Witajcie, krokodyle! - wrzeszczał. - Dziś czternastego lipca! Dobrze je oświeć, Mały! Niech obywatele widzą, jak wylatują w powietrze!

Rzucił laskę, ruchem zawodowca, tuż przed krokodylę, w kręgu światła, i w sekundę potem wszystko wybuchło. Eksplozja koloru krwi. Wokół przelatowały kawały mięsa. Dopadł nas podmuch, gorący i piaszczysty, ogłuszając mnie. Paulo koło mnie śmiał się dziko, chociaż go nie słyszałem. Ogarnął nas gryzący, upajający zapach dynamitu.

Potrzebowałem kilku minut, by odzyskać słuch. Wstrząśnięty Montaignes potrząsał głową i śmiał się.

- Ale potęga! Niezły pokaz siły, mój drogi!

- Dziękuję, dziękuję - odpowiadał rozanielony Paulo-Skromniś. - Nie będą już przyłazić i budzić mnie po nocy. Nawet już spać spokojnie nie można. Kurewska dżungla!

Nastawiliśmy sobie wody na herbatkę „Mały Ludzik”, opowiadając jakieś głupstwa. Cały incydent posłużył wzajemnemu pogodzeniu się, ale nagle zaintrygowały nas głuchoe odgłosy i szelesty, rozlegające się dookoła.

Montaignes zapalił latarkę. Hałas dobiegał od strony brzegu. Około trzydziestu krokodyli, długich, ogromnych, wijących się, powoli zmierzało w naszym kierunku, krok za krokiem. Po lewej zobaczyliśmy inne cienie poruszające się na brzegu. Montaignes odwrócił się. Nie było wątpliwości, tam też coś się kłębiło...

- Spływamy stąd - rozkazałem. - Zabierajcie żarcie i amunicję. Szybko!

Mała przytuliła się do mnie, przerażona. Powietrze przepełnione było coraz wyraźniejszymi szelestami. Niektóre krokodyle widać już było mimo ciemności.

- Zabierzcie wszystkie latarki!

- Mam dynamit.

- Jazda!

I jak najszybciej ruszyliśmy w kierunku przeciwnym do rzeki i tego, co z niej wyłaziło. Mała biegła z ręką wczepioną w moją koszulę. Wokół nas trawa aż ruszała się. Nie mogłem zrozumieć. Ile ich było? Sto? Więcej?

Dotarliśmy do podnóża drzewa odpowiedniej grubości, o gałęziach w miarę dostępnych, jakieś pięć czy sześć metrów nad ziemią.

- No, Mała, włącz!

Jedną ręką podniosłem ją, trzymając pod pośladkami, i popchnąłem w górę. Chwyciła się pnia i w dwóch ruchach dotarła do gałęzi. Montaignes zaplątał się, usiłując nałożyć przepaskę.

- No, prędzej! Ruszaj się!

Chwycił się pnia i szybko wspiął do góry. Miałem wrażenie, że za plecami poruszała się już cała plaża: odgłosy czołgania się, szuranie po piasku...

- Włącz, Paulo, szybko!

- Ty włącz!

- Nie wygłupiaj się, włącz!

Popchnąłem go i chwyciłem drzewo zaraz po nim. Kiedy dotarł na górę, siadł okrakiem na gałęzi, zwinniejszy ode mnie, i wyciągnął do mnie rękę, żeby mi pomóc. Usiadłem koło Małej. Montaignes i Paulo siedzieli na dwóch innych gałęziach. Zerknąłem w

dół.

Był już najwyższy czas. Pierwsze krokodyle były oddalone o około trzech metrów. Montaignes skierował światło w kierunku brzegu i wówczas, uczepli ni naszych gałęzi, zdaliśmy sobie w pełni sprawę z koszmaru.

Cała plaża aż kipiała od tych potworów. Pokrywały ją szczelnie, na ogromnej przestrzeni. Wszystkie posuwały się naprzód tym dziwnym krokiem, powolnym i pewnym. Przy naszym drzewie było ich pełno. Ocierały się o pień. Słychać było kłapięcia paszczy i oślizłe tarcia.

Wkrótce u naszych stóp było ich z pięćdziesiąt. Mała, wciśnięta pomiędzy mnie i drzewo, drżała bezustannie.

- To niemożliwe - mamrotał Paulo. - To niemożliwe...

Krokodyle potężnymi ciosami zaczęły walić ogonami w drzewo, ciosami, które wprawiały pień w drżenie i przerażały Małą. Podobnie jak pozostali miałem nieprzepartą ochotę, by strzelać w tę masę, ale choć niezwykle potężne, nasze karabiny strzelały pojedynczymi pociskami. Jedna kula na zwierzę; ledwo starczyłoby nam amunicji, by oczyścić brzeg. Nie miało to sensu. Potrzebny byłby tu ciężki karabin maszynowy.

Nasi napastnicy uspokoili się i zaczęli się powoli wycofywać, widocznie rozumiejąc, że byliśmy dla nich zbyt wysoko. W białym snopie światła latarki patrzyliśmy, jak rozwalają nasze obozowisko. Moskitiery leciały w strzepy, materace były rozrywane na kawałki. Cała cizba kłębiła się w miejscu, gdzie zastrzeliłem pierwszego. Aż dobiegały do nas odgłosy kłapania szczękami podczas uczyty. Od chwili, kiedy się to wszystko zaczęło, instynktownie zmusiłem się do zachowania całkowicie zimnej krwi, ale teraz czułem, że słabnę.

Co się tu znowu działo? Skąd przyszły te wszystkie potwory? Jak to się stało, że zebrały się do ataku na nas? Co za koszmar był znowu naszym udziałem?

* * *

- To niemożliwe... To niemożliwe... Jutro zmywamy się z tego zasranego kraju. Co? Powiedz, Elias? Spływamy, dżungla oszalała.

Wstawał księżyc, pełny i biały, rzucając siną poświatę na ludojady. Po lewej, dosyć daleko, rozległy się wrzaski, przenikliwe i przerażone.

- To jeden z Małych Ludzików - powiedział Paulo. - Poszukaj go, Montaignes.

Snop światła zaczął myskować, dopadł większego skupiska krokodyli, ogromnego ruchomego stosu wielkich, zielonych, błyszczących ciał.

- O kurwa, wpadł! - jęknął Paulo.

Krokodyle napierały, naciskając na cienki pień młodego drzewa, który ugiął się pod ciężarem. Zaczepiony rękami i nogami, z głową uniesioną ku niebu, jeden z Małych Ludzików wył. Krokodyle były niecałe dwa metry poniżej i drzewo, stopniowo, wydając mrozące krew w żyłach trzaski, pochylało się coraz bardziej.

Trach! Przegięło się o dobrych dziesięć centymetrów. Mały Ludzik podciągnął się i rozpaczliwie zamachał swoimi małymi nóżkami, z całej siły opasując pień. W niewiarygodnym wysiłku jeden z potworów, spośród dziesiątek kotłujących się, sprężył się i skoczył do góry, wysuwając pysk pionowo. Szczęki zacisnęły się parę milimetrów od małych stóp naszego tropiciela. Otworzyliśmy ogień.

Nadal wyjąc jak zarzynane zwierzę Mały Ludzik w końcu oplótł nogi wokół cieniutkiego pnia. Dlaczego nieszczęsny wybrał właśnie to żalosne drzewko? Był to potworny błąd. Ludojady kłębiły się u jego stóp, włączając na siebie wzajemnie tymi okropnymi, węzowymi i pozornie nieczułymi na wszystko ruchami. Ich wielkie cielska ześlizgiwały się jedno z drugich i opadały na ziemię. Rozglądały się wtedy dokoła, z otwartą paszczą i, nadal powoli, ponownie ruszały naprzód. W krótkim czasie były ich już trzy albo cztery warstwy, niczym kłęb gigantycznych i nastroszonych łuskami węży, oślizłych, z okropnymi szczękami i wydających przerażające pomruki.

Z trudem utrzymywaliśmy równowagę, a odrzut karabinów niemal zrzucał nas na ziemię. Zamki były już gorące, oczy piekły od prochu, a ramię zaczynało mnie boleć od stale ponawianych uderzeń. W szybkim tempie wystrzeliliśmy każdy po około dziesięciu naboju. Mimo mocy naszych karabinów, za każdym razem padał tylko jeden krokodyl.

Drzewo tworzyło teraz już niemal kąt prosty. Mały Ludzik, którego plecy wisiały tuż nad przepaścią, powoli popadał w obłęd. Z gardła wydobywały mu się paniczne wrzaski, jego umysł ogarniało szaleństwo.

Paszcze najwyższych ludojadów znajdowały się mniej niż metr od jego pośladków. Krokodyli było teraz co najmniej ze sto, zgromadzonych wokół jego drzewa, a od strony brzegu nadciągały następne, powolne, pewne siebie, ciche. Niektóre zaczęły walić w cienki pień drzewa ogonami, prostując się nagle niczym sprężyny. Pień zatańczył od lewej do prawej, drgając gwałtownie. Łup! Łup! Znowu trochę się wygiął.

Przestałem strzelać. Sprawa była beznadziejna i marnowaliśmy cenne naboje.

Mały Ludzik umilkł. Znajdował się już na dnie koszmaru. Jeden z jaszczurów wygiął się, raptownie wyprostował i skoczył, wyrzucając paszczę niczym strzałę ku górze. Chybił o milimetry, kłapnął szczęką, opadł z cichym plaśnięciem na swoich pobratymców, po czym -

nieruchomy - zsunął się po spiętrzonych grzbietach i znalazł się na ziemi, okraciem na dwóch innych nowo przybyłych. Ponownie podjął próbę wspinaczki. Inny z kolei wyskoczył i nie osiągnąwszy celu opadł. Ale teraz była to już kwestia sekund. Mały Ludzik nie mógł im się wymknąć.

- Załatwimy go? - zaproponował Paulo. - Elias, poślij mu kulę, proszę cię.

- Za późno.

Szczęki jednego z potworów, długiego na sześć lub siedem metrów, zacisnęły się na miednicy Małego Ludzika. Tym razem dał się słyszeć trzask nie zębów, lecz kości, w potwornym odgłosie pękającego cukierka. Mała ludzka lalka rozłożyła ręce, usiłując wydać ostatni pisk, który już do nas nie dotarł, i powoli, jak w zwolnionym tempie, nieodwracalnie, opadła w sam środek masy gadów.

W gromadzie krokodyli natychmiast zawrzało. U stóp małego drzewa aż kipiało od gwałtownych ruchów. Pojawiły się żółte brzuchy, jaśniejące w snopie światła, odsunięte od ucztu mocnym uderzeniem ogona. Wysuwały się szczęki, z krwawymi strzępami sterczącymi w kącikach. Spóźnialscy wyskakiwali do góry, żeby znaleźć się na wierzchu.

Mała pojękiwała, na żalosaną i jednostajną nutę, bardzo cicho. Ja sam czułem w ustach jakiś paskudny smak, naprawdę gorzki.

- Zgaś to, Mały! Wiemy, że go jedzą! Nie ma po co oglądać, jak to przebiega. I tak się w końcu dowiemy, no nie? - usiłował zażartować Paulo, ale do nikogo to nie trafiło. - Lepiej poświęć mi tutaj, ja im wyperswaduję smak czarnego mięsa!

Montaignes skierował latarkę na niego. Siedząc okraciem na gałęzi Paulo przygotowywał laski dynamitu. Miał ich pełno, w bluzie i w wielkich kieszeniach spodni od panterki, które w pośpiechu założył. Mamrocząc przekleństwa szykował zapalniki i mruczał coraz głośniej w miarę, jak narastała w nim złość.

- Mały biedny facet, który nic od nikogo nie chciał. Spokojnie robił swoje. Pożarty przez te skurwiele! Te kreatury! Te potwory! Zajebane glisty! Pierdolone kurewstwa! Ścierwa parszywe!

Zdecydowanymi ruchami wsuwał zapalniki w laski i gotowy dynamit chował po kieszeniach. Kiedy wyciągnął mały kawałek świeczki, który zapalił i przymocował do gałęzi, jednym susem poderwał się i wyprostował, stając obunóż na gałęzi.

- Dlaczego zjedliście mojego kumpla, ścierwa?

Montaignes skierował światło na tamtą kupę morderców, którzy zaczynali się już rozchodzić. Paulo wyciągnął rękę, zapalając laskę od świeczki, po czym powoli uniósł ją, a lont skwierczał mu w ręku.

- Smaczny był mój kumpel, skurwiele? Montaignes i ja skurczyliśmy się maksymalnie jak najbliżej pnia. Objałem Małą wpół. Zaraz wszystko będzie latać.

- SMAKOWAŁO WAM CHO CIAŻ?!

Pięćdziesiąt krokodyli wyleciało w powietrze jednocześnie, wśród huku, który pozbawił nas słuchu, a wokół nastąpiła prawdziwa ulewa postrzępionych kawałków jaszczurzego mięsa, pochodzących z ciał rozerwanych, rozprutych, posiekanych jednym ogólnym, krótkim i brutalnym uderzeniem.

W kręgu światła widać już było tylko kupę czerwonego i nadpalonego mięsa o obrzydliwych barwach, spowitego w białawe dymy. W dłoni Paula skwierczał już lont następnej laski. Montaignes przesunął latarkę. Stado potworów wycofywało się z miejsca uczty, ich oczy błyszczały w jaskrawym świetle. Dynamit wyładował pośrodku tej grupy.

Wszystko wybuchło; pyski, łapy i kawałki wirowały tuż nad ziemią, lecąc z wielką szybkością. Paulo cisnął trzeci ładunek. Jeden z potworów, wyrzucony do góry siłą eksplozji, przegięty do tyłu, zdawał się przez chwilę nieruchomo wisieć w powietrzu, a z brzucha wypadały mu wnętrzności, czarne i czerwone w świetle latarki.

Paulo zużywał całą swoją amunicję. Chwilami, kiedy na krótko odzyskiwałem słuch w jednym uchu, słyszałem jak ryczał:

- PRZEKŁĘTE!... WSZYSTKIE PRZEKŁĘTE!

Resztki kęp trawy i garście piachu smagały nam twarze, umazane czymś lepkiem i krwią. Montaignes, trzymając latarkę w wyciągniętej na ile się da ręce, dosłownie przykleił się do pnia, szukając osłony, drugą ręką zatykając prawe ucho, podczas gdy do lewego usiłował przycisnąć ramię.

Oślaniałem Małą plecami, z trudem utrzymując równowagę na gałęzi i także starając się chować za pniem drzewa. Paulo przez chwilę pozostawał nieruchomy, rękami zatykając uszy po wyrzuceniu każdej laski; przykucnął na skurczonych kolanach niczym kruk na drzewie, nie troszcząc się o jakąkolwiek osłonę ani o to, czym zostanie obryzgany. Podskakiwał do góry, kiedy rozbrzmiewał huk eksplozji, podnosił ręce z dzikim wzrokiem i ociekając krwią wykrzykiwał przekleństwa, całym jestestwem rozkoszując się kataklizmem.

- PRZEKŁĘĘĘTEEEEE!

* * *

Zużył dwanaście lasek, wszystko, czym dysponował, powodując niemal ciągłą eksplozję trwającą kilka minut. Potem zapanowała cisza.

Nasze drzewo wznosiło się pośrodku obszernego pobojuwiska. Montaignes był biały jak ściana. Paulo przeszedł tym razem samego siebie. Moje uszy, które przez jakiś czas przepełniał przykry świst, zaczynały stopniowo odzyskiwać dawne właściwości.

Paulo, siedząc na gałęzi z opuszczonymi nogami, zdyszany, śmiał się jak po wielkim wysiłku.

- Gdybyś chciał... studiować wnętrza krokodyli, doktorze... Możesz zacząć... Przygotowałem ci... sekcję...

Paznokcie Małej wpiły się w moje ręce. Nasłuchiwała, z oczami rozszerzonymi paniką, po czym wyszeptała:

- Posłuchaj... Och, posłuchaj!

Przez chwilę jeszcze czułem w uszach watę, po czym usłyszałem. Daleko i wszędzie dookoła, od strony brzegu i po bokach, szelesty i szuranie. Już pierwsze powoli wchodziły na teren pobojuwiska, gdzie te, które przeżyły, pożerały resztki. Zwabione odgłosami masakry i tonami świeżego mięsa, napływały setkami. Paulo zrezygnowany, spuścił głowę. Poszedł już cały dynamit, a zresztą i tak nigdy by go nie starczyło.

- Mam je w dupie - powtarzał pod nosem. - Mam je w dupie...

Zimne i martwe światło pełni księżyca na nowo ogarnęło okolicę. I zaczęła się prawdziwa noc, długa, przepełniona przerażeniem i odrazą wobec tego, co działo się niżej. Zimny wiatr przenikał nas do kości, drętwieliśmy na naszych gałęziach, a każdy ruch wymagał wyjątkowej uwagi.

U naszych stóp ludojady kłębiły się setkami, zajęte swoją obrzydliwą uczcą. Montaignes zgasił latarkę, która zaczynała już słabnąć. Zresztą nie chcieliśmy nic widzieć. I tak słyszeliśmy zucie, płynne odgłosy miażdżonego mięsa i trzask łamanych kości, dobiegające ze środka orgii... Dochodził nas wstrętny odór błota i mięsa, który wkrótce stał się nie do zniesienia. Oddychaliśmy ustami. Paulo po prostu zatkał sobie nos.

Gałąź boleśnie wbiła mi się w ciało. Ramię, którym otaczałem drzemiącą, otępiałą Małą, miałem sztywne i obolałe. Biedaczka, ciągle jeszcze otrzymywała ciosy. Musiałem być stuknięty, że ją tu przyprowadziłem!

Montaignes zdjął opaskę i starał się czymś zająć.

- Chcesz pospać? Może cię trzymać? - zaproponowałem.

- Nie. Kiedy tylko zamykam oczy, lepiej słyszę i chce mi się rzygać. Co będzie dalej?

- O świcie! - wtrącił Paulo. - To się skończy o świcie. Będą chciały poleżeć na słońcu. Znajdziemy sposób, by dostać się do pirogi i zwiać stąd.

- Tak - potwierdził Montaignes. - Odejdziemy nie patrząc na boki.

- Która może być godzina?

- Nie wiem. Trzecia? W każdym razie środek nocy, do świtu jeszcze daleko. O rany, ale mnie boli dupa!

Minuty płynęły jedna za drugą, każda bardziej uciążliwa dla mięśni i nerwów. Roznosiła mnie chęć ruszenia się, biegania, skakania, rzucenia się na te potwory, wyrąbania sobie drogi maczetą, może w połowie drogi zostałbym złapany i zjedzony żywcem, ale móc się wreszcie ruszyć! Samo niebezpieczeństwo nie zatrzymałoby mnie. Ale mroziła mnie myśl o jatce tam, na dole, i o żarłocznym mlaskaniu tych skurwieli. Skończyć wśród nich? Nad tym trzeba było się zastanowić. Mogłem przynajmniej wytrzymać do świtu. Wówczas, jeśli sprawy się nie ułożą, coś wymyślę, żeby dotrzeć do pirogi.

Staralem się skupić na możliwych trasach ucieczki i na koniecznych fortelach, zapewniających wszystkim maksimum bezpieczeństwa, i zastanawiałem się też, na wypadek prawdziwej katastrofy, jak z tego wydostać się samemu. Zajmowało to mój umysł i pozwalało lepiej znosić bieg wydarzeń.

Widziałem, jak Paulo, w mroku, obserwuje pole walki, ocenia odległości i intensywnie myśli: robił to samo co ja.

* * *

Wreszcie niebo rozjaśniło się. Nadchodził nowy dzień, niosąc ze sobą nadzieję. Ku naszej nieopisanej uldze bardzo szybko wydało się, że horda krokodyli wycofuje się. Zdaliśmy sobie sprawę, że większość potworów kieruje się ku rzece. Były tłuste, ogromne, długie niczym pnie drzew, minimum pięcio, a najczęściej siedmiometrowe.

- Odchodzą, co? Odchodzą? Powiedz mi, że odchodzą!

- Tak. Nie ma wątpliwości. Wracają do rzeki.

Pobojowisko zostało oczyszczone. Jeśli nie liczyć dołów w ziemi i tysięcy śladów pełzania, praktycznie nie pozostało nic po masakrze i po uczcie. Tam, na brzegu, zaczynały się tłoczyć. Najpierw jeden wśliznął się do rzeki, potem drugi. Teraz wycofywały się już ze wszystkich stron.

Ogarnęła mnie ogromna ulga. Skurwysyny! Ale nam dały!

- Och! Zobacz! Mały Ludzik!

Montaignes wskazywał palcem oddaloną o jakieś sto metrów od nas małą ludzką postać, u stóp drzewa, z którego właśnie zesła. Łażące nie opodal jakieś dziesięć krokodyli, o dwadzieścia metrów dalej, nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Mały Ludzik długo

rozglądał się wokoło, po czym puścił się biegiem w kierunku rzeki.

- Co on wyrabia? - warknął Paulo. - Tutaj! Ej, wielkoludzie! Chodź do nas!

Mały Ludzik biegł co sił w malutkich nóżkach, z torsem wygiętym do tyłu. Nagle skręcił, by ominąć miejsce, gdzie zebrały się krokodyły, i zniknął nieco dalej nad brzegiem rzeki.

- Chce je zająć od tyłu czy co, idiota jeden? To był syn! Tak kretyńsko zachowuje się tylko syn. To ojciec zginął tej nocy... Patrz, jest!

Mały Ludzik nagle stanął na brzegu, koło pirogi.

- Jasna cholera, co on wyrabia?

Rzucił się do przodu, w wodzie po kolana, trzymając cumę pirogi w ręku, po czym wdrapał się do łodzi. W dwóch susach znalazł się przy silniku, podczas gdy piroga ruszyła z prądem. Wśród masy krokodyli przeszedł jakby dreszcz nowej energii. Całe ich dziesiątki stojące na brzegu nagle weszły do wody powolnymi węzowymi ruchami. Nie sposób było już zliczyć ich podłużne kształty tuż pod powierzchnią wody.

- Płyną do niego! - wykrzyknął Montaignes. - Dureń!

Mały Ludzik wyprostował się na rufie pirogi; stojąc okrakiem nad silnikiem i utrzymując równowagę na burcie. Obszernym ruchem pociągnął sznurek rozrusznika, nie udało mu się, rozejrzał się wokoło i ponownie założył sznurek.

Nadpływały w jego kierunku ze wszystkich stron, bez pośpiechu. Jeden dotarł do pirogi i zachybotał nią uderzeniem ogona. Rozbijała się niebezpiecznie. Mały Ludzik odważnie utrzymał równowagę nad silnikiem i wysiłkiem całego ciała szarpnął za sznurek. Silnik zakrztusił się, po czym zawarczał.

- Złodziej! - ryknął Paulo.

Mały Ludzik przez chwilę walczył z rączką gazu, po czym dał całą naprzód.

- Nasze kły, do cholery! Piroga!

Piroga jak strzała przemknęła piętnaście metrów i gwałtownie uderzyła w potężną ciemną i żółtą masę ludojada, który wyskoczył z wody prosto przed nią. Zakręciła się w miejscu. Gigantyczny ogon wydobył się z wody i wywrócił ją. Silnik zadławił się i umilkł.

Mały Ludzik pojawił się na szczycie kadłuba, uczepony oburącz. Dookoła zabulgotało, po czym najpierw tył, a potem przód pirogi uniosły się. Biedak rozpaczliwie usiłował drapać się w górę, ślizgając się po mokrym drewnie. Ale drewno pękło. Wówczas wrzeszcząc runął w tył i pochwyciły go potwory.

Część czwarta

Potem jak we śnie, milcząc, z niewidzącym wzrokiem, przeszukaliśmy brzeg opuszczony przez potwory. Nikt nie był w stanie wykrztusić słowa. Błdzi, w spiekocie wczesnego ranka, długo błędziliśmy po tym, co kiedyś było naszym obozowiskiem, chodząc tam i z powrotem bez celu i pełni niepokoju.

Nad dżunglą znów panował dzień i spokój, co przywracało właściwe wymiary naszym wspomnieniom. Tu, na tym spokojnym i bezludnym brzegu, przeżyliśmy kataklizm, potworną masakrę dwóch ludzi, rozpasanie tysięcy krokodyli ogarniętych szaleństwem.

Bo były szalone! Że zaatakuje kogoś krokodyl, któremu zakłócono spokój w jego zatoczce, to rzecz normalna, na którą musi być przygotowany myśliwy w dżungli. Od biedy można sobie wyobrazić nagłą agresję ze strony dziesięciu jaszczurów, czymś podnieconych.

Ale setek? Dwóch czy trzech tysięcy?

To nonsensowne, niemożliwe. Było nie do przyjęcia, żeby taki koszmar mógł zaistnieć. Zmasowany atak krokodyli nie był zarejestrowany, nie istniał w rubryce „ryzyko” przyrody. A przecież pamiętaliśmy dobrze.

Rany boskie! To cała przyroda oszalała! Wszystko mówiło mi to już od dawna. Ten las nie był zwyczajnym lasem. Co miały oznaczać te długie okresy ciszy, zbyt ciężkie i jakby martwe, które niekiedy trwały po parę godzin? Co miały oznaczać te histeryczne skrzeczenia ptaków, tysięcy ptaków, których nie widzieliśmy, a które ogłaszały nas całymi dniami? Co miały oznaczać te zbyt piękne kwiaty? Te nierzeczywiste klejnoty botaniki, które Montaignes określał jako nadzwyczaj rzadkie i których całe pola znajdowaliśmy pod wielkim sklepieniem?. A te posplatane formacje roślinne, upstrzone czarnymi dziurami, zbyt przepastnymi, zbyt wyszukanyimi? Wszystkie te zwierzęta, które zbliżały się do nas, pozwalały się zabijać z łagodnością, zadziwiającą dla Małych Ludzików, albo które przekształcały się w niewyobrażalne potworności po zapadnięciu nocy...

* * *

Nie otaczała nas przyroda. Były tu drzewa, kwiaty i żywe istoty, jak w lesie, ale było to coś innego. Chyba że majaczyłem! Ale co człowiek ma myśleć, kiedy jest zagubiony wśród tysięcy kilometrów kwadratowych czegoś, czego nie rozumie? Co nie istnieje?

Czegoś, co zabijało nas jednego po drugim. W końcu nie przyśniły mi się te wszystkie krokodyle, nie? I wąż boa, i to wszystko, co nas spotkało! Ostatnia koszmarna noc pozostawiła po sobie nowy niepokój. Bóg jeden wiedział, jakie jeszcze okropności mogły się wydarzyć, jakie jeszcze niebezpieczeństwa mogły na nas czyhać!

Nie chodziło tu o strach przed śmiercią. Paulo i ja pogodziliśmy się już z takimi myślami. Chodziło o lęk przed umieraniem tak daleko, w tej dziurze, od zębów lub pazurów stworzenia, o którym nic nie wiedzieliśmy. Istoty nieznanej, obdarzonej mocą, której nie znaliśmy, której nie potrafiliśmy zwalczać i która po załatwieniu nas pozostanie bezkarna.

Krokiem lunatyków, bez słowa i nawet na siebie nie patrząc, pozbieraliśmy skarby, jakie nam zostały. Oprócz karabinów mieliśmy garnek i pięć maczet. Były to jedyne rzeczy, których potwory nie pożarły. Moskitiera, plandeka, materace, maty... te żarłoki wszystko porozrywały i pochłoneły. Reszta dynamitu została porozrywana i w trzech czwartych połknięta. Po nabojach pozostały tylko łuski.

W kieszeniach zostało nam ich jedenaście... Było to żalosne. Piroga w dwóch kawałkach popłynęła z prądem. Parę rzeczy, które w niej się znajdowały, kły i silnik leżały teraz gdzieś pod wodą. Rzeka była głęboka, a żadne skarby nie skłoniłyby mnie tego dnia do nurkowania pod okiem nieruchomych krokodyli, które dostrzec można było na całej długości przeciwnego brzegu.

* * *

Milczący i przybici szybko oddalaliśmy się od rzeki. Trzeba było na nowo pogрузić się w dżunglę. Nie porozumiewając się między sobą ruszyliśmy w kierunku Jeziora Dinozaurów.

Tylko nieokreślone wspomnienia, a właściwie ich strzępy, pozostały mi po marszu, który nastąpił i trwał nieprzerwanie, jak mi się wydaje, przez wiele dni.

Szliśmy gęsiego. O ile pamiętam, przez większość czasu szedłem pierwszy. Przeżywałem okresy potwornego zmęczenia w nogach, z nieprzepartą chęcią zatrzymania się, ale zmuszałem się, by podążać dalej. Jeszcze do tego drzewa, tam. Do tamtego kaktusa... Przez resztę czasu zapewne nie myślałem o niczym albo byłem daleko, nieobecny.

Był też deszcz, bez końca, denerwujący, spadający zimnymi szerokimi strugami spod zielonego sklepienia. Ubrania lepiły się do skóry. Włosy ociekały wodą. Gąbczasta ziemia była śliska i każdy krok wymagał ciężkiego wysiłku. I były przebudzenia w roślinnych norach, i skurcz niepokoju w żołądku, kiedy okazywało się, że nadal pada.

Deszcz rozpoczął się parę godzin po naszym wymarszu. Było bardzo gorąco, temperatura rosła szybko i stawała się trudna do zniesienia, człowiek zamieniał się w fontannę. Z niskich zarośli aż parowało. Unosiły się ciężkie zapachy. Nastąpiła cisza, tak całkowita, jak było to możliwe jedynie w tym lesie, po czym w górze, na sklepieniu, rozbrzmiewać zaczął potężny stukot.

Zrobiło się chłodniej. Po niecałej godzinie pojawiły się w dachu pierwsze przecieki. Następnie woda zaczęła spływać po roślinach kapiąc z tych spiczastych liści, które opisywał Montaignes, i tak już pozostało.

Strumienie wody, gęste zasłony małych strumyków lały się na nas bez ustanku. Wśród tego potopu nie było najmniejszego podmuchu wiatru. Woda spadała pionowo, niewyczerpana i uparta, wciskając się w od dawna już nasyconą ziemię. Powstawały potoki i kałuże. Człapaliśmy w błocie, posuwając się metr po metrze, każda noga ważyła tony, ale szliśmy naprzód. Zdarzały się upadki. Człowiek padał całym ciałem, wstawał i szedł dalej.

Dżungla oszalała. Była pełna wody, przesycona życiem ze wszystkich stron. Strzelały w górę kaktusy o kolcach ostrych jak brzytwy, nadęte, nieprzebyte. Liany kołysały się, wiły, poruszane strumieniami, które spadały na nie spod sklepienia. Kwitły ogromne kwiaty, purpurowe, białe, ciemnoniebieskie, błyszczące i ciężkie. Mchy na drzewach zamieniały się w gigantyczne fontanny: wszystko rosło w oczach!

Nie miało to sensu. Byliśmy brudni, ubłoceni, z rozszerzonymi oczami, wychudzeni, strzępy ubrań kleiły się nam do skóry, bladej i wymacerowanej przez wodę, którą cali ociekaliśmy. Maszerujące bez celu duchy, które kładły się spać nawet o tym nie pamiętając ze zmęczenia i które ruszały dalej nie otrząsnąwszy się jeszcze całkowicie ze snu.

Gdzie byliśmy? Gdzieś w pierwotnej dżungli, zmierzając ku jakiemuś jezioru. Kim byliśmy? To niewłaściwe pytanie. Co posiadaliśmy? Nic, oprócz przynależności do świata żywych. Chociaż... Dlaczego szliśmy? Skazani, bez możliwości odwrotu. Nie było już pirogi, nie było już niczego. Nie było powrotu do cywilizacji i do życia. Praktycznie byliśmy martwi. I nie było to już specjalnie ważne. Od dawna nie mieliśmy już z czym się żegnać. Tylko ten wieczny deszcz, ten las, w którym wszystko mogło się pojawić i czego nikt z nas, zamknięty w sobie, nie chciał zobaczyć.

Szliśmy prowadzeni instynktem, nakazującym nam zatrzymywać się, i pewnością, że jeśli siądziemy na ziemi, las wkrótce nas unieruchomi, połknie i strawi. Być może pokryje nas, powoli, lecz nieuchronnie, swoją roślinnością, a nekrofogi skorzystają z tego, by szybko nas zmieść z powierzchni ziemi.

Czy aż tak bardzo pragnęliśmy takiego życia? Czemu nie lepiej zdechnąć od razu, na

którymś z tych legowisk ze wspaniałych kwiatów, lśniących kroplami wody, które niekiedy ukazywał nam las?

* * *

Nie przypominam sobie momentu dotarcia do jeziora. Wiem, że w pewnej chwili, zapewne w samą porę dla nas, pojawiło się przed nami. Obszerna szara powierzchnia, zakryta gęstą zasłoną bębniącego o wodę deszczu. Jezioro porastały ze wszystkich stron olbrzymie trzciny, grube i długie jak bambusy, których wiechy ugiwały się pod atakami ulewy. O jakieś dwa tysiące metrów dalej, na przeciwnym brzegu, ledwo można było dojrzeć ciemną, nieregularną masę dżungli.

Zatrzymaliśmy się, przemoczeni i nie zważając na deszcz, na skraju zielonego sklepienia, nad brzegiem wody, wśród nieruchomych drzew.

Moje pierwsze dokładne wspomnienie to jakby przejaśnienie, które nastąpiło któregoś ranka. Tamci nie poruszali się, leżąc w różnych pozycjach na ziemi. Wstałem i chwyciłem maczetę. Stałem twarzą do Jeziora, robiąc głębokie wdechy, i stwierdziłem, że deszcz ustaje.

Wśród niebieskoszarych chmur pojawił się jaśniejszy obszar. Białe, smutne światło w ciągu paru sekund odkryło przede mną całą powierzchnię jeziora, nieliczne pływające na nim rośliny i skraj lasu, ze wszystkich stron tworzący ogromny krąg. Później chmury zakryły prześwit i wszystko przybrało szarą, nieokreśloną barwę deszczu.

Odszedłem od pozostałych. Przyszła mi do głowy pewna myśl, jakiś głos mówił mi, że byłem żywy, że trzeba żyć i walczyć o to!

* * *

- Żywy! Żywy! - powtarzałem sobie idąc. Potem zacząłem krzyczeć:

- Żywy! Żyyywyyyyyy!

Parę razy ciąłem maczetą drzewa i pęki lian, robiąc dużo hałasu, by przekonać las, a także samego siebie, że byłem na nogach i gotów na wszystko, do cholery!

Nagle osłabienie powstrzymało mnie od dalszych pokazów. Byłem na nogach, ale osłabiony. Przede wszystkim trzeba rozsądnie oszczędzać siły. Miałem przed sobą ciężką pracę.

* * *

Szedłem wzdłuż brzegu i jednocześnie skrajem lasu. W większości brzeg porośnięty był gęstwą trzciny, wysokich na dziesięć metrów i zasłaniających widok. Dalej był las, oddzielony od jeziora korytarzem szerokim na dwadzieścia metrów, bardzo wilgotnym, w którym rosły karłowate palmy w kształcie kapusty. Szukałem jakiegoś luźniejszego miejsca, gdzie dżungla nie stałaby naprzeciwko jeziora zielonym murem. Wypatrywałem strefy pośredniej, między lasem a wodą, suchej, którą łatwo będzie oczyścić, żeby wybudować dom.

To było pierwsze zadanie. Nic nie da się zrobić, dopóki najpierw nie znajdę suchego miejsca. Potrzebowaliśmy schronienia, niosącego odpoczynek i dającego możliwość ukrycia się. Taki był warunek przetrwania człowieka w tym środowisku. Bez tego będę tylko zwierzęciem o niewielkich naturalnych możliwościach obrony, błakającym się, stale zmęczonym i już wkrótce bez środków do życia.

Wszystko było kwestią energii. Surowcem będą trzciny znad jeziora. Można było z nich zrobić wszystko: podłogę, meble, wygodne łóżka, ściany... Byłem też pewien, że dziewiczy las stwarzał niezliczone możliwości, jeśli tylko dysponuje się siłą i inteligencją.

Inteligencja była w tym środowisku moim jedynym atutem. Ja jeden z istot żywych w promieniu tysięcy kilometrów kwadratowych dookoła obdarzony byłem zdolnością wyobraźni. Zamierzałem wykorzystać ten dar maksymalnie.

* * *

Po paru godzinach marszu odkryłem to, czego szukałem: przestrzeń usianą oddalonymi od siebie drzewami, pokrytą gęstym kobiercem niskiej roślinności, która jednak nie oprze się intensywnej pracy.

Długo przemierzałem to miejsce. Między skrajem lasu a gołym pasem nad jeziorem było jakieś sześćdziesiąt metrów. Wkrótce znalazłem to, o co mi chodziło. Był to rodzaj polany, mniej więcej okrągłej, na której rosły jedynie dwa wielkie sereczniki, oddzielonej od wody rzędem drzew i ograniczonej dżunglą z drugiej strony; grunt, teraz zmiękczonej przez deszcze, wydawał się solidny, i powinien szybko wyschnąć, gdyby przypadkiem przestało padać...

Wspiałem się na jeden z sereczników, żeby lepiej obejrzeć polanę. Nadawała się doskonale. Oczywiście, było wiele do zrobienia, ale niczego lepszego nie można już było znaleźć. Oparłem się plecami o pień, siedząc okrakiem na gałęzi, żeby w spokoju odpocząć po marszu, i zacząłem wyobrażać sobie dom, który zbuduję na swojej nowej posiadłości.

Pozostaniemy tu na dłużej. Bóg jeden wiedział, kiedy uda nam się wrócić! Zapewne

wiedział też, kiedy ktoś przez pomyłkę zabłąka się w okolicy, ale mnie na ten temat nic nie było wiadomo. Trzeba było zająć całą powierzchnię, która mi się trafiła. Stanowiła zbyt doskonałe miejsce, by tego nie wykorzystać albo wykorzystać tylko jej część. Byliśmy w nieprzyjawnym środowisku. Las już nam to udowodnił. No i był jeszcze ten słoń, ciągle nieobecny, ale na którego postanowiliśmy tutaj czekać. Po to tutaj byłem. Potrzebowałem więc obszaru ogrodzonego, tak by żaden atak z zewnątrz nie mógł zagrozić naszemu życiu.

Wokół niezbędne były umocnienia. Widziałem już tę palisadę! Bardzo wysoką, na jakieś cztery metry. Będzie przebiegać między drzewami, które posłużą za wsporniki. Ogrodzenie, od drzewa do drzewa, utworzy jakby nieregularne koło. Poza tym będzie chronione fosą, wykopaną na całym obwodzie, nie licząc innych pomysłów obronnych, które przyjdą mi do głowy. Czyli, powiedzmy... czterysta metrów palisady osłoni wewnętrzną przestrzeń o średnicy około sześćdziesięciu metrów.

Mały fort, fort pionierów, oto co musiałem wybudować. Było to jedyne rozwiązanie, żeby przeżyć. Dopóki nie będzie stał, dopóty nikt z nas nie będzie w pełni bezpieczny.

* * *

Najpierw zrobiłem próbę z trzciną. Większość stanowiły ogromne zielone rury, o pniach grubych niczym młode drzewa, przeciętych co pewien czas grubymi zdrewniałymi pierścieniami. Miały od ośmiu do dziesięciu metrów wysokości. Kora lekko ustąpiła pod ciosami maczety. Pięcioma uderzeniami zwałem taką jedną, wybraną spośród najgrubszych, prostym i czystym nacięciem.

Była pusta w środku, z niewielką zawartością białej, nieco kruchej substancji, z pewnością jadalnej. Mocnymi kopnięciami waliłem w pień. Bambus zatańczył, bardzo giętki, wydając melodyjne puste odgłosy, ale ani jedno włókno nie puściło. Moje marzenie było więc wykonalne.

Pociąłem wówczas drewno na kawałki, robiąc słupy i dzidę z najwyższej części, która była najcieńsza. Zapewne szpic jej wymagał jeszcze utwardzenia w ogniu, ale byłem przekonany, że nabywszy nieco wprawy - będę w stanie wyrabiać całkiem niezłe oszczepy. Potem pociąłem bambus na pałeczki, wzdłuż włókna. Można było z tego robić prymitywne łopaty, rynny, miski itd. Zostawiłem pociętą trzcinę na ziemi i wróciłem na polanę.

Trzeba było karczować. Rosło tu dwieście albo trzysta krzaków, małe palmy, jakieś kolczaste krzewy i inne kaktusy, które należało zlikwidować. Chciałem, żeby został tylko puszysty trawiasty dywan, a i to nie na całej powierzchni. Zrobiłem, co mogłem natychmiast,

nie ścinając pni. Inaczej zawsze zostałyby jakieś małe pieńki, które przeszkadzałyby nam i o które potykałibyśmy się, kiedy życie w forcie już się unormuje.

Kłęcząc kopałem w ziemi, dookoła pnia, mocnymi uderzeniami głęboko wbijając maczetę. Kiedy rozryłem już ziemię dookoła, wstawałem, chwytalem za krzak jak tylko to było możliwe i ze wszystkich sił ciągnąłem, by wyrwać go z korzeniami.

- Eeej!

Świństwa opierały się. Ciepły pot ściekał ze mnie w strugach deszczu, ale kiedy tylko wyrwałem jeden, rzucałem się na kolana przy następnym. Ta robota sprawiała mi prawdziwą radość. Za każdym razem, kiedy korzenie pękały i w końcu całe drzewko wychodziło z ziemi, odczuwałem gdzieś w środku niezwykłą radość. Nie miałem zupełnie ochoty przestać.

W ten sposób, nie szczędząc sił, oczyściłem co najmniej jedną trzecią całego terenu. Pod koniec dnia, kiedy zaczynało już się ściemniać, stanąłem przed swoim dziełem na szeroko rozstawionych nogach, z pięściami na biodrach, zadowolony. To dopiero jedna trzecia wstępnej roboty, ale byłem bez tchu, drżałem ze zmęczenia, byłem podrapany, pokaleczony przez kolce, z pęcherzami na dłoniach, które. teraz, kiedy przerwałem pracę, boleśnie piekły, ale nie przeszkadzało mi to delektować się własną radością.

Ruszałem się, mogłem jeszcze, byłem w stanie stawić czoło wszystkim: krokodylom, olbrzymim słoniom, wszelkim świństwom, które dżungla mogła wymyślić. Tutaj było terytorium ludzi i lepiej trzymać się od niego z daleka.

Potem ruszyłem na brzeg jeziora z myślą o znalezieniu jedzenia przed zapadnięciem nocy. Musiałem coś zabić. Z łatwością znalazłem kilka wodopojów, pełnych śladów i odcisków racic. Jak się zdawało, wiele zwierząt przychodziło tu się napić: nie będzie problemu ze zwierzyną, przynajmniej na początku.

Wkrótce znalazłem się nos w nos z małą świnią rzeczną, niezwykle czarnego koloru. Rodzaj karłowatego dzika o długim ryju. Podeszedłem powoli. Zauważyła mnie, ale najwyraźniej nie spłoszyłem jej. Gdy podchodziłem, przyglądała mi się okrągłym, zaciekawionym okiem, tak łagodnym, że powoli odłożyłem karabin.

Mogłem załatwić ją maczetą i zaoszczędzić pocisku. Postępowałem do przodu stopniowo, skulony, ściskając maczetę w dłoni tuż nad ziemią. Bez żadnego objawu strachu, jak zwierzę, które nigdy nie zetknęło się z człowiekiem, pozwoliła mi zbliżyć się na wyciągnięcie ręki, stojąc bez ruchu, tylko lekki dreszcz chwilami wstrząsał jej skórą.

Uniosłem rękę zamaszystym ruchem. Maczetą rozcięła świni pół gardła. Zwierzę rzuciło się do ucieczki, nie panując już nad ruchami. Rzuciłem się na nią, moje dłonie zacisnęły się na szorstkiej sierści jej grzbietu. Podciąłem jej nogę i wrzeszcząc przewróciłem

ją. Zwierzę chrząkało z przerażenia, wydając wysokie, cienkie dźwięki. Z arterii na szyi tryskały długie czerwone strugi. Zamierzyłem się, ponownie ciąłem maczetą i tym razem ostatecznie poderżnąłem gardło.

* * *

Kiedy odnalazłem swoich towarzyszy, potrząsnąłem nimi, żeby rozpalili ogień. Razem z Małą, bez słowa, opraciliśmy świnie, po czym upiekliśmy ją, a skórę rozwiesiliśmy do suszenia, przewidując możliwość jakiegoś zastosowania jej w przyszłości.

Po raz pierwszy od dawna mieliśmy gorący posiłek, co wywołało doznania, o których już zapomnieliśmy. Od tamtej nocy z krokodylami nie przypominałem sobie, żebym cokolwiek jadł ani też żadnego zbiorowego posiłku. Od tamtego czasu nie rozmawialiśmy też ze sobą. Byliśmy razem, a jednocześnie każdy był sam, pochłonięty własnymi myślami, trzymając się w grupie wyłącznie instynktownie, ze względu na wrogość otoczenia, nie utrzymując z pozostałymi prawdziwego kontaktu.

Ile czasu mógł trwać ten marsz w szoku? Przyglądając się teraz moim towarzyszom, wyzwolony dzięki całodziennemu wysiłkowi i kojony myślą o tym, który mnie czekał nazajutrz, mogłem ogarnąć bezmiar ich upadku. Byli chudzi i wygłodniali. Pożerali swoje porcje mięsa niczym zdziczałe gryzonie, rozszarpując je zębami, bez słowa, i wydając pomruki zadowolenia.

Kiedy się nasycili, bardzo szybko ułożyli się, skuleni, na ziemi, w tym samym miejscu, gdzie jedli.

- Dziękuję, Elias - powiedział Paulo głupawo, ze starczym uśmiechem. - Było bardzo dobre.

I otępiali pogrzeżyli się w drzemce.

Moja samotność skończyła się dopiero na trzeci dzień.

Wykarczowałem już wszystkie krzewy i rzuciłem je na kupę, na uboczu. Byłem nad brzegiem jeziora, ścinając bambusy i układając je w równy stos, ocierałem pot z czoła i trzymałem nogę na moich trzcinach - było tam dobrych pięćdziesiąt pni - przeklinając deszcz, kiedy zauważyłem przed sobą sylwetkę Palila..

- Policja! - powiedział. - Ma pan zezwolenie na wyrąb lasu?

Oczy miał podkrążone, policzki blade i zapadnięte. Jego wielkie oczy jeszcze bardziej niż zwykle wychodziły z orbit. Długie ubłocone włosy, zlepione deszczem, początki szarej i twardej brody... Dwie głębokie bruzdy wycięczenia ściągały wargi ku dołowi.

Podciągnął szmatę, służącą mu za spodnie, i podrapał się po brodzie.

- Jeżeli pan architekt łaskaw - powiedział powoli - może mógłby wyjaśnić mi swój plan. Bo prawda, gdyby się okazało, że też mógłbym uczestniczyć... Jeżeli nie przeszkadzam.

Stary Paulo! Był znowu ze mną. Wycieńczony, wynędzniały, u kresu sił być może w jeszcze większym stopniu niż pozostali, ale na nogach i gotów do działania! Ogarnęła mnie radość i roześmiałem się mimo woli.

- Dobra, zrozumiałem - zdenerwował się od razu. Wysoko podniósł rękę. - Nabijaj się ze mnie! Głośno! Dasz sobie radę beze mnie, proszę! Dalej, ścinaj drzewa! Sam sobie znajdę robotę!

- Ależ, Paulo...

- Kutas! Egoista! Świnia! Pójdę zdychać trochę dalej, żeby panu architektowi nie przeszkadzał smród! Budowniczy! Kretyn!

W oczach miał taką isierkę zdradzającą, że żartuje, nie za bardzo, ale jednak, więc pozwoliłem mu dokończyć skecz.

- Drwał... Pracownik fizyczny... Tarzan od siedmiu boleści!

Śmiałem się. Dobrze mi było ze świadomością, że jest przy mnie. Dawało mi to pociechę, przyjemne i optymistyczne uczucie, które przynosiło mi niesamowitą, ulgę. Czekające nas ogromne trudności, praca do wykonania, trudna sytuacja: wszystko to betka, skoro Stary był tu i się śmiał!

Kazałem mu usiąść i podzieliliśmy się zimnym mięsem, które ze sobą zabrałem, popijając kwartą wody z jeziora. Na razie nie było niczego lepszego. Potem wytłumaczyłem mu.

- Fort? - zapytał. - Czyli prawie zamek warowny? Tutaj?

- Tak. Tutaj.

- OK! Jestem z tobą. Mały. Poza tym...

Położył mi na piersi palec wskazujący ruchem starego nauczyciela.

- Zapamiętaj sobie. Mały, że moje doświadczenie ci się przyda. Wybudowałem coś takiego w latach pięćdziesiątych w Gujanie. A poza tym, masz: zbudowałem jeszcze jeden, niedaleko stąd, w Togo, w sześćdziesiątym drugim, z wojskiem... Jestem z tobą, Mały. Wytłumacz mi, co zamierzasz zrobić...

* * *

I rozpoczęliśmy budowę, ogromną, w samym sercu dżungli.

Mała i Montaignes dołączyli do nas tego samego dnia, i roboty trwały miesiąc, dokładnie: trzydzieści trzy dni.

Nie zwlekając rozpoczęliśmy z Paulem budowę tymczasowego schronu, wystarczająco wygodnego, by każdy miał sucho i mógł odpocząć. Podłogę wykonaliśmy z bambusów położonych na ziemi i podtrzymywanych po bokach kołkami z tego samego tworzywa wbitymi w ziemię. Całość wciśnięta była pomiędzy dwa sereczniki, co pozwalało wykorzystać te ostatnie jako słupy trzymające dach. Tego wieczoru noc zaskoczyła nas, kiedy pod kierunkiem Małej pletliśmy liście palmowe, ale nikt nie przerwał pracy. Nie chcieliśmy spać inaczej, jak pod własnym dachem. Zrobiliśmy szkielet stropu, również z bambusa, rozpięty pomiędzy pniami obu drzew za pomocą lian i podtrzymywany cienkimi słupkami stojącymi dookoła naszej podłogi. Mieliśmy więc kraty zamiast ścian. I opadający na dwie strony dach.

Dwie czy trzy godziny pracy po ciemku i schron był gotowy. Mała przyrządziła nam posiłek, który zjedliśmy już „wewnątrz”. Każdy pogrążony był jeszcze we własnych myślach, ale wiedziałem, że uczyniliśmy ważny krok naprzód. W ciągu paru godzin grupa wzniosła schronienie: czworobok zapewniający tylko względne bezpieczeństwo, lecz będący naszą własnością. Trochę wysiłku i kładąc się spać odczuwaliśmy rozkosz, kiedy nie spadały już na nas krople wody. Stąd, z tej chatki, wszystko było możliwe. Ciąg dalszy i następne wyniki nie zaprzeczyły tym przewidywaniom. Wprost przeciwnie.

* * *

Tytanicznym przedsięwzięciem było wzniesienie palisady. Zaczęło się od straszliwej pracy, jaką było wykopanie na całym czterystumetrowym obwodzie wąskiego rowu, głębokiego na trochę mniej niż metr, w który wsadzone miały być bambusy tworzące palisadę.

Jedynymi narzędziami, jakimi dysponowaliśmy, były łopaty, które wycięliśmy z bambusa wykorzystując jego zaokrąglony kształt, służące do kopania i wyrzucania ziemi. Praca rozpoczęta w błocie i deszczu była wyczerpująca. Nasze bambusowe łopaty nie były najlepsze, nawet jeśli najpierw „spulchniło się” ziemię maczetą. Nie szczędziliśmy wysiłków, które przyniosły jednak mierne rezultaty. Łopaty szybko się zużywały, a rękojeści kaleczyły dłonie. Ponadto, kiedy osiągnęło się już pewną głębokość, trzeba było pracować z wyciągniętą ręką, z ramieniem na pół zagłębionym w ziemi, na kolanach, w bardzo niewygodnej pozycji. Tylko bardzo drobna Mała, która pracowała jak wszyscy, potrafiła

wśliznąć się do rowu i kopać, pochylona, między stopami, co było już nieco wygodniejsze.

Nie zezwalałem na żaden odpoczynek i nikt się nie skarżył, ale był to dosyć uciążliwy chrzest. Posuwaliśmy się do przodu dziesięć metrów dziennie i wszyscy byli wykończeni. W takim tempie musiało to potrwać ze czterdzieści dni. Zwróciłem się więc do Montaignes'a i poprosiłem, by zastanowił się, co moglibyśmy zrobić, żeby uniknąć kopania na całym perymetrze.

- Hmmm... Coś w rodzaju rowu przerywanego, tak?

- No tak, ale bez uszczerbku dla wytrzymałości. Na przykład maksymalnie wykorzystując drzewa jako podpory...

- Może mam pomysł... - powiedział zainteresowany nowym problemem.

I wspólnie opracowaliśmy ostateczną strukturę ogrodzenia. Zaproponował rozmieszczenie od wewnątrz ukośnych słupów, podtrzymujących palisadę...

- Jakby takie podpory, wbite w ziemię i napierające na palisadę. W ten sposób rzeczywiście moglibyśmy uniknąć części kopania. Przyszedł mi wtedy dodatkowy pomysł:

- A te podpory nie mogłyby wystawać na zewnątrz?

- Hmm... Tak, a po co?

- Żeby miały zaostrome końce!

Montaignes wyznaczył, w których miejscach należy kopać. Postanowienie o zredukowaniu prac do ludzkich wymiarów ucieszyło wszystkich. W trakcie ostatnich dni kopania rowów mieliśmy nawet jeden dzień bez deszczu, z niskim pułapem szarych chmur. A nazajutrz, kiedy się obudziliśmy, po raz pierwszy od dawna świeciło słońce. Kilka godzin później, podczas pracy, zdaliśmy sobie sprawę, że naprawdę powróciło, zdecydowane wszystko wysuszyć i rozgrzać! Nasze plecy nabierały czerwonego koloru.

* * *

Później zajęliśmy się ścinaniem bambusów. Była to praca przyjemniejsza i dużo łatwiejsza. Obliczyłem, że wielką roślinę ściąć można czterema uderzeniami maczety. Dokładnie opracowałem uderzenia i byłem bardzo dumny ze swojej szybkości. Ciach! Ciach! Ciach! Rąbałem bez przerwy i wycinałem całe lasy. Następnie bambusy przenosiliśmy do fortu, bo tak już nazywaliśmy to miejsce.

Po ukończeniu rowu, jako że wstępny montaż palisady nie wymagał udziału wszystkich, wyznaczyłem Montaignes'owi i Małej nowe zadanie.

- Potrzebujemy mebli. Łóżek, różnych rzeczy, żeby było wygodnie. Zorganizujcie

jakąs funkcjonalną kuchnię. Wysłicie wyobraźnię i zróbcie wszystko, co wam się uda.

Podczas budowy schronu przekonałem się, że Mała doskonale знаła się na lianach i wiązaniach. Co do Montaignes'a, trudno sprawić mu większą przyjemność niż prosząc go, żeby coś wymyślił.

Paulo i ja wybieraliśmy trzciny najgrubsze, takie o dwudziestopięciocentymetrowych średnicach, i wbijaliśmy je w rowy cementując podstawę za pomocą ziemi, wody i drewnianych kołków, w odległości centymetra jedno od drugich, tak by było miejsce na liany, które wszystko miały wzmocnić. Na razie nie zajmowaliśmy się zaostrozonymi na końcach podporami, o których rozmawiałem z Montaignes'em. Po prostu w odpowiednich miejscach pozostawialiśmy nieco większą przestrzeń między palami.

I tak pracowaliśmy dzień po dniu. Powoli krąg zamykał się od strony lasu, zasłaniając już połowę krajobrazu. Codziennie solidnie stawialiśmy jakieś trzydzieści pali na odcinku dwudziestu metrów.

Ze swej strony Mała i Montaignes cięli bambus we wszystkich kierunkach. Powstawały pałaki, żerdzie, kołki tajemniczo powiązane między sobą, dookoła schronu było ich pełno. Najpierw zbudowali nam łóżka, proste, ale bardzo wygodne. Cztery nogi, prosto ucięte z grubych kawałków bambusa. Wewnątrz kwadrat tworzący ramę, na której rozpięta była gęsta siatka z lian. Ponadto w budowie był schron przeznaczony na kuchnię.

W ten sposób wkrótce okazało się, że z naszego brzegu wycięliśmy wszystkie bambusy, a rosnące wokół drzewa wypierały z okolicy inne rośliny, toteż teraz po następne trzciny trzeba już było chodzić dosyć daleko. W pobliżu miejsca, gdzie najpierw przybyliśmy niczym zagubione zwierzęta, rosło ich mnóstwo. Stwarzało to okazję do pieszych wycieczek, ale powrót był trudniejszy, jako że trzeba było przenosić gigantyczne trzciny długości ośmiu do dziesięciu metrów i to w ilościach przemysłowych.

Pewnego ranka wybraliśmy się tam wszyscy. Przez większość dnia cięliśmy, ile się dało. Po południu wrzuciliśmy do wody ze trzydzieści pni, powiązaliśmy je razem i tak powstała tratwa, dzięki której można było przetransportować całą resztę. Najpierw trzeba było przenieść ładunek na tę chwiejną i długą platformę. Następnie, idąc na zmianę wzdłuż brzegu w wodzie, przeciągnęliśmy wszystko w pobliże fortu. Wycięcie kolejnych bambusów i transport pni za pomocą naszej nowej barki zajęły nam dwa dni. Ponownie zapanował dobry nastrój. Chlapaliśmy się trochę w wodzie, żartowaliśmy, a dni spędzone z dala od placu budowy zamieniały się w rodzaj pikniku: były to pierwsze chwile relaksu, na który pozwalaliśmy sobie od dawna, nie licząc okresów ścinki i transportu.

Nieustanna praca weszła nam w krew. Nikt nie musiał się przełamywać, żeby

wychodzić rano. Zabieraliśmy się do roboty jak najwcześniej. Praca pozwalała nie myśleć. Las, niebezpieczeństwa, nieznana przyszłość, niepewna sytuacja, o wszystkim można było zapomnieć na placu budowy pod wpływem skupienia i fizycznego zmęczenia. Pracować oznaczało dążyć do jakiegoś celu; był to dla nas jedyny sposób, by przeżyć, by czuć się nadal uczestnikami gry pomimo naszego osamotnienia i, być może, całkowitej przegranej.

* * *

Staliśmy się nadzwyczaj efektywni, milczący i wytrwali. Zmiany przejmowaliśmy bez słowa, regularnie. Zawsze dwoje pracowało, podczas gdy trzecie z karabinem w garści odpoczywało obserwując jednocześnie okolicę. Broń oczywiście nigdy nie była daleko. Zaliczało się do niej teraz wiele przedmiotów własnej produkcji. Nawet podczas budowy, kiedy byliśmy jeszcze odsłonięci, nic nie miało prawa nas zaskoczyć.

Wewnątrz perymetru dobiegały końca ostatnie prace. Kuchnia była już czynna. Stanowiła ją przyjemna altana, z plecionych palmowych liści wspartych na bambusowym szkielecie osłaniająca dwa paleniska. Kilka pieńków różnej wysokości służyło za stoły i moździerze. Dysponowaliśmy całą baterią naczyń wyrzeźbionych w bambusie, o najbardziej niewiarygodnych kształtach, oraz całą kolekcją brązowych tykw, lakierowanych, całkowicie szczelnych i twardych niczym drewno, wykonanych z łupin ogromnego i niejadalnego owocu, rosnącego nie opodal.

By gromadzić wodę z opadów. Mała розміściła rząd takich tykw po drugiej stronie kuchni. Słodka woda była cenionym luksusem. Woda z jeziora, choć nie sprawiała żadnych problemów, miała nieprzyjemny błotnisty smak.

No i w całej kuchni, pozawieszane pod dachem albo ułożone w piramidki, pojawiły się kolorowe owoce i warzywa nazbierane przez. Małą. Była to jeszcze jedna oznaka życia, podobnie jak unoszące się dookoła zapachy pieczeni z dziczyzny i potraw duszonych w naszym jedynym garnku.

Mała w kuchni prześcigała samą siebie, czerpiąc z tego nowe przyjemności. Montaignes odkrył w sobie niezwykły talent do polowań z ukrycia i sam jeden zapełniał nam spiżarnię wypuszczając się codziennie na dwie-trzy godziny.

Na moją prośbę posiłki były obfite. Oznaczało to całe kilogramy owoców, które Mała musiała nazbierać. Gotowała pełne garnki ignamów, ciężkich i pysznych, bogatych w skrobię warzyw, które zjadaliśmy podlane litrami mięsnego sosu. W krótkim czasie zamieniliśmy się w atletów. Dużo jedzenia i ciągle ćwiczenia fizyczne, najlepsza recepta. Paulo, po raz

pierwszy od bardzo, bardzo dawna, to znaczy od kiedy przez pięćdziesiąt dni oblegany był na szczycie laotańskiego wzgórza przez neokomunistycznych wojowników, stracił swój mały brzuszec. Swoje „jajko kolonialne” albo „odcisk od kontuaru”, jak zwykł mawiać. Sylwetka Montaignes’a zmieniała się, twardniała. Smukłe i wyraźne mięśnie zarysowywały się na jego ciele. Coraz częściej obywatel się bez swojej przepaski z okularem. Mała była niesamowicie piękna.

Ja sam odzyskiwałem pełnię sił. Były nieliczne okresy w moim życiu, w różnych okolicznościach, kiedy osiągałem szczyt swoich fizycznych możliwości. Jestem mocno zbudowany, raczej krępy i nabity w wyniku uprawiania boksu, a intensywne ćwiczenie mięśni oraz wytrzymałości i energii, czyli formy, może doprowadzić do tego, że staję się bardzo potężną maszyną o niszczycielskich wręcz możliwościach, które zadziwiają mnie samego. Właśnie osiągałem to stadium.

Wybudowaliśmy dwie chaty, oddalone od siebie o dwadzieścia metrów, nadal w wypróbowanym systemie bambusa i plecionych palmowych liści. W jednej mieszkali Montaignes i Paulo. Drugą zajmowałem wspólnie z Małą, zgodnie z nowym układem w naszym życiu. Ponadto postawiliśmy mały hangar i złożyliśmy w nim drewno, licząc na składowanie tam również innych bogactw. Jego budowa zajęła nam zaledwie dwie godziny. W oddali, obok palisady, zamknięty kwadrat z palmowych liści osłaniał toaletę w postaci dziury o rekordowej głębokości, nad którą Montaignes ustawił wspaniały bambusowy tron o starannie opracowanym kształcie. Całość była składana i nadawała się do szybkiego przeniesienia, na wypadek gdyby, nasz pobyt miał się rzeczywiście przedłużyć.

* * *

Pewnego dnia palisada została ukończona.

Kosztowało nas to wiele dni prac budowlanych, kiedy pokryci błotem aż po czubek głowy ubijaliśmy i utwardzaliśmy podstawę każdego pala. Tysiąc osiemset bambusów, wszystkie dokładnie wycięte, jakby opiłowane, o zaostrzonych końcach, wystawało z ziemi na cztery metry w górę. Przez całe czterysta metrów, z pętlą zadzierzgniętą na każdym palu, przebiegało osiem rzędów lian, poziomo, w odstępach pięćdziesięciocentymetrowych. Na wysokości jakichś trzech metrów drzewa łączyły poziome deski, przywiązywane do pni ogromnymi węzłami z lian w kształcie krzyża. Ponadto, powbijane w ziemię w nieregularnych odstępach, bambusowe żerdzie o różnej długości wznosiły się ukośnie i przechodziły na drugą stronę palisady.

Docenić to można było dopiero z drugiej strony ogrodzenia. Pośrodku rozpoczynającej się w bałaganie dżungli wznosił się nagle ten potężny mur grubych czterometrowych słupów, wzmocniony grubymi węzłami lian i najeżony dziesiątkami ogromnych szpiców, sterczących na różnych wysokościach, zgrupowanych po dwa lub trzy bądź wystających samotnie, z częstotliwością mniej więcej jednego na dwa metry kwadratowe. Przypominało to gigantyczną bransoletę najeżoną gwoździami. Prymitywne, proste, solidne i agresywne. Podobało mi się szalenie. Był to mur obozu barbarzyńców.

Najlepsze referencje, by przeżyć w tej okolicy. Kiedy patrzyłem na nasze dzieło, ogarniała mnie duma. Cokolwiek by się teraz stało, byliśmy gotowi. Żaden gad nie przejdzie przez tę barierę. Drapieżnik również. Słoń prawdopodobnie byłby w stanie ją zniszczyć, ale nie od razu. Jeśli się za to weźmie, będziemy mieli czas, by się przygotować.

Kto oprócz nas potrafiłby wznieść w środku dżungli ten pomnik z drewna i lian? Kto oprócz nas potrafiłby sobie pozwolić, na granicy przeżycia, myśleć na wielką skalę i realizować zamierzenia?

My to zrobiliśmy. Takie rzeczy nie przytrafiają się każdemu i przyglądając się tej robocie zaliczyłem ją do największych osiągnięć mego życia; fort znad Jeziora Dinozaurów!

W ciągu dwudniowych polowań zabiliśmy dwieście dwadzieścia trzy jadowite węże różnych gatunków. Metoda była prosta. Montaignes zdjął z jakiegoś drzewa gniazdo szarych piskląt, dosyć dużych, zapewne szykujących się do wylotu. Przywiązywaliśmy je za nogi do drzewa i czekaliśmy w ukryciu. Sprawdzało się to za każdym razem. Węże zwabione piskami i hałasem, jakie robiły pisklęta, nadciągały jeden po drugim.

Zabijaliśmy je lancą, co pozwalało na zachowanie bezpiecznej odległości około dwóch i pół metra, a jeśli wbiło się ją za daleko, zawsze jeszcze pozostawało szybkie i ostrożne cięcie maczetą. W większości były to mamby, małe książęce mamby koloru czarnego z żółtym brzuchem, często trudne do trafienia bambusową dzidą, inne, zielone, dłuższe i grubsze, były łatwiejszymi ofiarami. Ich liczba była zadziwiająca. Rzucały się na nasze biedne ptaszki ze wszystkich stron, Już wielokrotnie czyściłem nasz fort, ale widząc ich obfitość obiecałem sobie zrobić to raz jeszcze.

Montaignes systematycznie zbierał jad do bambusowych tub. Otrzymał w ten sposób prawie pół litra substancji, którą rozcieńczył wodą. Tak przyrządzonym zielonym płynem posmarowaliśmy każdy obronny szpic wystający z palisady. Według encyklopedycznych wiadomości Montaignes'a jad mamby powoduje postępujący paraliż u ofiary, co następnie pozwala węzom na połknięcie ugryzionego zwierzęcia. Zostało nam trochę tej trucizny i Montaignes ukrył ją, pieczołowicie zatykając bambusową tubę za pomocą lepiku, który

odkrył w korze niektórych drzew.

Za wspólnym porozumieniem wszystkich narodził się rytuał, który łączył nas z resztą świata. Przez trzy dni pośrodku fortu wypalał się martwy pień drzewa zwanego „spadkobiercą” - Heriteria hutiiitis, stwierdził nasz specjalista - którego zewnętrzna drewniana powłoka, nadzwyczajnej twardości, po obróbce nazywa się nangion.

Mała odpowiedzialna była za podtrzymywanie ognia, regularnie polewając zewnętrzną powierzchnię i usuwając zwęglone resztki ze ścianki wewnętrznej, co zmuszało go do coraz głębszego wżerania się w drewno. W ten sposób otrzymaliśmy pusty w środku walec nangionu, o długości około dwu metrów, który po ustawieniu na dwóch bambusowych stojakach powiązanych lianami stał się całkiem przyzwoitym tam-tamem.

Przez ten czas Mała i Montaignes sporządzili cztery pary pałek, wyrzeźbionych w czarnym i twardym drewnie, które także wypalali ogniem. Sprzęt ten dawał dźwięki nieco suche, bez melodyjnego pogłosu, były one jednak zróżnicowane - głębsze pośrodku i wyższe na krańcach - i niosły się daleko. Niczego więcej nie chcieliśmy.

Każdego wieczoru stawaliśmy wszyscy w rzędzie przed pniem, z pałkami w dłoniach, i waliliśmy przez godzinę.

- Pałam! Pałam! Pałam! Bam! Bam! Pałam! Pałam! Pałam!

Według układu, którego nauczyła nas Mała: Chodź! Chodź! Złe odejść! Chodź!

Nie wierzyliśmy w to zbyt. Było jednak konieczne, by raz dziennie zwrócić się ku temu światu, który opuściliśmy. Dodatkowy sposób, żebyśmy nie stali się leśnymi zwierzętami. Każdy wkładał w to całe serce, początkowo wsłuchując się w rytm, a potem stopniowo dając się ponieść.

Pomału zdałem sobie sprawę, że ta godzina wołania do świata, zmuszając nas do skoncentrowania się na rytmie, dawała wspaniałą okazję do przemyśleń. Wybijając machinalnie rytm rozmyślałem o wielu problemach, które dotyczyły naszej grupy, albo pogrążałem się w bardziej osobistych planach. Początkowo ćwiczenie to przebiegało wśród oporów i wymuszonych uśmiechów, lecz stopniowo, po dziesięciu dniach, dla każdego z nas przekształciło się w przyjemność. Toteż wieczorem stawaliśmy przed pniem, z pałkami w rękach i śmiertelnie poważni.

Pierwszym wielkim sukcesem w naszym nowym życiu było osiągnięcie celu, który sobie postawiłem: wszystko zakończyć przed nadejściem kolejnej pełni księżyca. Nie było to puste wyzwanie. Przemyślałem sobie niesłychany ciąg kłopotów, które kolejno zwały się na nas i sprawiły, że w końcu znaleźliśmy się tutaj. Wyciągnąłem z tego wniosek, że najważniejsze wydarzenia, atak M'Bumby i inwazja krokodyli ludojadów, miały miejsce

podczas pełni księżyca. Na tej podstawie logiczne było sądzić, że dwukrotnie byliśmy ofiarami wpływu, jaki wywiera księżyc na dziką przyrodę.

Księżyc wywołuje szaleńcze pożądanie, przekształca ludzi w krwiożercze bestie i opętuje wariatów i mieszkańców ogrodów zoologicznych na całym świecie. Tutaj jego wpływ mógł przybierać jeszcze bardziej nieoczekiwane formy za przyczyną roślinności, oparów czy innych rzeczy. Stany nerwowego napięcia, okresy braku poczucia rzeczywistości, wszystko to zostało nam narzucone. Przeżyliśmy nadzwyczajne wydarzenia i wszystko pamiętaliśmy później jakby zdeformowane i przekształcone jakimś zewnętrznym urokiem. Niezwykłość otoczenia, delirium roślinności i jej niespotykane rozmiary dopełniły reszty i nasze umysły dały się ponieść.

Z tego wszystkiego wyciągałem wniosek, że należało się wystrzegać pełni księżyca i że tej szczególnej nocy, jeżeli ropuchy, żmije i pająki postanowią sprzymierzyć się przeciwko hipopotamom, to niech im będzie na zdrowie... Ale trzeba, by mała ludzka kolonia, pod osłoną palisady i ścianek swoich domków, pozostała poza całą sprawą.

I wygraliśmy. Oficjalne otwarcie fortu nastąpiło trzydzieści trzy dni po rozpoczęciu pracy zbiorowej, czyli na jedną noc przed pełnią.

Cokolwiek by się miało wydarzyć, mieliśmy osłonę.

Teraz z uwagą śledziłem wpływ księżyca na otoczenie. Nic w lesie się nie wydarzyło, jeśli nie liczyć owego zwykłego kłębienia się życia dookoła przez całą noc.

Pełnia wywarła jednak wpływ na nasze życie, wewnątrz fortu: główną bohaterką wydarzenia była Mała.

Przyszła kochać się ze mną na samym początku prac, w dniu kiedy byliśmy daleko od placu budowy i ścinaliśmy trzciny nad jeziorem. Podeszła do mnie, kiedy pracowałem na uboczu, wśród wysokich kęp grubych bambusów, tkwiąc w wodzie po kostki. Stała przede mną ze skrzyżowanymi nogami, wiercąc się trochę w miejscu, a jej wielkie czarne oczy spoglądały na mnie z dołu. Można by pomyśleć, że właśnie za coś ją skarciłem. Zdziwiony wbiłem maczetę w ziemię.

- Co, Mała?

Bambusy, wśród których pracowałem, otaczały nas ze wszystkich stron, odsłonięci byliśmy tylko od strony jeziora. Po drugiej stronie roślinnej kurtyny Paulo podśpiewywał sprośne piosenki i regularnie walił maczetą.

Mała zdjęła spódniczkę i pozwoliła jej opaść do wody. Chcąc nie chcąc wystawiony zostałem gwałtownie na prowokujący obraz jej piersi o sterczących ciemnych sutkach, jej długich, bardzo długich i prostych ud, delikatnego zwężenia jej talii i malutkiego, czarnego i

pokręconego trójkątka pod brzuchem.

Trzymała ręce na biodrach, oddychając ciężko, z piersiami wysuniętymi w moją stronę, i patrzyła na mnie jakby od dołu, naburmuszona, niemal wściekła. W tym jej przedstawieniu nie było śladu pozy czy prób erotycznego uwodzicielstwa. Było to bardzo dziwne. Przyszła do mnie w odosobnione miejsce, jawnie proponowała mi swoje ciało, bez żadnego zażenowania czy wstydlivosti, jakie przejawiała wcześniej, ale nie dając również zbyt wiele. Pozwalała na siebie patrzeć tak długo, jak to było konieczne, nic więcej.

Brodząc zbliżyła się, rozsunęła moje ręce, patrząc nadal twardym wzrokiem, i pogładziła mnie po piersi szorstko silną dłonią, która nie zatrzymywała się niepotrzebnie. Potem gwałtownymi ruchami zabrała się za moje spodnie, sycząc przez zęby niecierpliwie, i przystąpiła do kolejnych pieszczot, także pozbawionych czułości. Uczepiła się mojej szyi, wspięła się na mnie, zdecydowanym ruchem oparła plecy o pnie bambusów. Oczy miała zamknięte.

Następnie maksymalnie rozwarła uda i nadziała się na mnie. Z jej gardła wydobył się chrapliwy charkot, kiedy w nią wchodziłem, po czym charkot zamienił się w pomruk, coraz szybszy, w miarę jak przyspieszał ruch jej bioder.

W ciągu paru sekund jej miednica zaczęła podskakiwać nadzwyczaj szybko, ruchem całkowicie mechanicznym, jakby jej tyłek wyregulowany był na dwie pozycje: górną i dolną. Było to tak szybkie, że aż sprawiało ból. Dopełniając miary rozorała mi szyję paznokciami, wbijając mi je w ciało z niesłychaną siłą. Ciskała się tam i z powrotem z nieoczekiwaną ruchliwością. Nagle zatrzymała się w miejscu, uniosła się, gwałtownie rozwarła uda do granic wytrzymałości mięśni i z impetem opuściła się w dół.

- Rhhh!

W tym momencie spuściłem się, nie odczuwając jednak żadnej przyjemności. Pozostało mi wrażenie, że zostałem okradziony. Coś wyłudzano ode mnie.

W jej piersi trwał jeszcze krzyk. Okropnie bolała mnie szyja. Czułem, jak po plecach spływa mi strużka krwi. Otworzyła oczy i natychmiast zeszła ze mnie. Umyła się w wodzie jeziora, przykucnięta, nieobecna duchem. Potem założyła spódniczkę i przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa. Wyrzut i złość, jakie wyczytałem z jej pociemniałych oczu i zmarszczonych brwi, odebrały mi mowę. Zupełnie nie wiedziałem, co czynić.

Może moglibyśmy się pocałować albo zrobić coś miłego? Postąpiłem krok w jej kierunku. Natychmiast odwróciła się plecami i energicznym krokiem odeszła, przejawiając całkowitą obojętność.

* * *

Od tego momentu zabraliśmy się za budowę chaty dla nas dwojga i zaczęliśmy razem spać. Ale nie oznaczało to, że tworzyliśmy parę. Przynajmniej nie w tym sensie, jak ja to rozumiem.

Mała nigdy się do mnie nie zbliżała. Podczas dnia była obojętna, by nie powiedzieć zimna, a czasem wręcz agresywna. Wieczorem kładła się nie zwracając na mnie uwagi. Jej postawy nie potrafiłem zrozumieć i sprawiało mi to przykrość.

Dwukrotnie jeszcze przyszła wyłudzić ode mnie przyjemność, w ten sam brutalny, szybki i nieczuły sposób. Te dwa kolejne stosunki niczego w jej zachowaniu wobec mnie nie zmieniły. Nie to mnie smuciło, że nie chciała mi się oddać czy jej seksualna obojętność. Nadal pociągała mnie fizycznie i brakowało mi jej dotyku, ale szanowałem jej wybór. Natomiast zbijała mnie z tropu jej zamknięta, zimna postawa i wydawało mi się, że wyczuwam w niej wyrzut...

Przypominałem sobie cudowne chwile spędzone z nią sam na sam podczas naszych nocnych pogawędek, miłosne spojrzenia, które wymienialiśmy jak dwoje uczniów. Urok prysł i już nigdy nie przysługiwały mi jej czarujące uśmiechy ani jej rozpalone pocałunki.

Myślałem nad tym, kiedy pozwalała mi na to robota, starając się znaleźć dla jej zachowania logiczne wytłumaczenie, ale nie potrafiłem znaleźć zadowalającej odpowiedzi.

Po co szukała u mnie cielesnej rozkoszy, skoro już mnie nie kochała? Czyżby jej ciało odkryło w sobie teraz nowe potrzeby? Była młodą dziewczyną w pełni rozkwitu. W ciągu ostatnich tygodni bardzo się zmieniła. Jej piersi rozwinęły się. Jej chód stał się dojrzały, lżejszy, lecz bardziej energiczny, jakby pewniejszy siebie. Jej biodra, nie myliłem się raczej co do tego, rozrosły się od czasu, kiedy wyruszyliśmy. Subtelne przemiany cielesne, delikatne przekształcenie jej sylwetki sprawiły, że przekroczyła pewien próg. Z ładnej dziewczyny stała się ładną młodą kobietą. Zapewne gwałtowne wydarzenia i tragedie ostatnich tygodni przyspieszyły proces, który już trwał i który bez tego trwałby jeszcze miesiąc czy dwa dłużej. Widywałem już facetów, którzy po paru miesiącach przygód starzeli się o dziesięć lat. Było więc logiczne, że kobiety też się od tego starzeją.

Czy nurtowały ją nowe pragnienia? I jako prawdziwa mała Afrykanka uważała pewnie, że fakt odbywania ze mną stosunków nie musiał wcale pociągać za sobą sympatii. Jeśli tak było, smuciło mnie to bardzo. Nie było nic przyjemnego w odgrywaniu roli buhaja dla higieny małej perełki, którą uwielbiałem.

Dopuszczałem też inną możliwość. Być może Mała reagowała na tajemny instynkt

wobec naszej trudnej sytuacji. Wykorzystywała swój charakter samicy, by przyłączyć się do najpotężniejszego samca w grupie, czyli do mnie, i w ten sposób korzystać z ochrony oraz uprzywilejowanej pozycji.

Zresztą natychmiast po naszym pierwszym stosunku Mała nabrała w forcie nowego autorytetu. Tego samego wieczoru, po posiłku, stanęła przed nami z założonymi rękami, prosta i zdecydowana.

- Ja myć. Zawsze, zawsze myć - oświadczyła.

Paulo, który właśnie dłubał w zębie kawałkiem kości z pożartego na kolację ptaka, skarcił ją wzrokiem. Nabrał w płuca powietrza, by ryknąć, lecz Mała, przebiegła istota, odwróciła się od niego.

- Ty, Montaignes - powiedziała oskarżycielsko. - Ty, dobra kuchnia. Dlaczego ty nie przyłożyć łapy?

Przyłożyć łapy było, naturalnie, wyrażeniem, którego nauczył ją Paulo.

- Ty, Montaignes, przyłożyć łapy myć. Przyłożyć łapy kuchnia.

Montaignes, pocziwa dusza, zgodził się na rolę pomocnika kucharki, żartując głośno z nowej roli swojej szefowej. Trzeba dodać, że miał co robić. Przed tym incydentem Mała biegła i pracowała niewiarygodną ilość godzin dziennie, dzieląc czas między wyrób mebli, prace budowlane, warty, które jej również nie omijały, oraz prowadzenie gospodarstwa. Pora była, by na nowo przemyśleć jej rozkład zajęć.

Odtąd już dzień w dzień zabierała głos podczas wieczornych narad i dyskusji. Chodziła po forcie dumna niczym królowa. Wkrótce Montaignes i Paulo stali się ostrożni wydając jej polecenia. Instynktownie dodawało się „gdybyś mogła”, „mógłbym cię prosić”... Paulo nieco przedobrzał i kłaniał się jej nisko. Śmiał się przy tym, ale Mała naprawdę przyjęła rolę żony wodza.

Nic z tego nie rozumiałem. Czy Mała, mój mały klejnocik znad brzegu rzeki, kochała mnie naprawdę? Czy miała mi coś do zarzucenia? Czy minione wydarzenia zszokowały ją bardziej, niż przypuszczałem? A może po prostu byłem urażony afrykańskim zachowaniem, którego nie potrafiłem zrozumieć? Nie znałem odpowiedzi i na ogół dość szybko odsuwałem od siebie te pytania.

Miałem na głowie ważniejsze rzeczy. Na placu budowy prace postępowały. W niedalekiej perspektywie miałem przed sobą zagrożenie pełnią księżyca. Kłopoty mnożyły się. Wieczorem kładłem się wykończony, umysłowo i fizycznie, i w gruncie rzeczy było mi na rękę, że panienka miała humory. Sam będąc w niedobrym nastroju pozostawiałem ją naburmuszoną, nie czyniąc żadnego wysiłku. Czy to moja wina, że Afrykanki nigdy nie

można zrozumieć?

Zmieniała się, kiedy nastała pełnia księżyca.

Najpierw ostatni raz obszedłem fort, taki mały obchód przed snem, kopniakami sprawdzając wytrzymałość podpór i w myślach rzucając wyzwania nocy i dżungli. Potem wśliznąłem się do mojej chaty i natychmiast zauważyłem, że coś się zmieniło.

Mała uśmiechała się patrząc, jak wchodzę. Była naga na bambusowym łożu. Nie dość, że naga: leżała na boku, z wyprężonymi piersiami, eksponując w świetle księżyca cudowne zaokrąglenie swych bioder. Przypatrywała mi się łagodnie, a w oczach miała czuły błysk, którego dawno już u niej nie widziałem.

Ułożyłem się na łóżku zmęczony, nie mając ochoty zwracać na nią uwagi. Poruszyła się, przysunęła do mnie i objęła mnie w pół. Jej dłoń delikatnie przesunęła się po mojej piersi, potem po brzuchu, wzbudzając pierwszy dreszcz. Otrząsnąłem się. Zaśmiała się cicho, po czym uklękła przede mną, z dłońmi na moich ramionach. Oparła swoje czoło o moje, a w oczach miała pełno niedomówień. Popchnęła mnie głową, jakby mnie zaczepiając.

O ile dobrze ją zrozumiałem, chciała się pogodzić.

Osunęła się na łóżko i zaśmiała się, patrząc na mnie. Pięknymi dłońmi zaczęła pieścić swoje piersi.

- Elias? Mąż Elias?

- Tak - odpowiedziałem z powątpiewaniem.

Wybuchnęła śmiechem przykładając obie dłonie do twarzy, jakbym powiedział jakieś głupstwo. Potem objęła mnie, po drodze potarła piersiami o moją twarz i zanurkowała w dół. Rozpięła mi spodnie i zaczęła się mną bawić. Z jej gardła wydobywały się ciche pomruki zadowolenia. Jej długie białe ciało, rozciągnięte w świetle księżyca, falowało w odległości paru centymetrów od moich dłoni.

Chwyciłem ją za biodra i piersi. Jęknęła radośnie i wygięła się. Przycisnęła moje dłonie do skóry, abym pieścił mocniej; zmusiła mnie do ciaśniejszego objęcia i przesuwiała się powoli, tak by podsuwać mi kolejno wszystkie części swojego ciała. Opadłem na nią, w ciepło jej skóry. Jej usta i małe ząbki nie próżnowały, gryząc mnie lekko w szyję.

Rozwarła się miłośnie i przyjęła mnie wewnątrz z długim westchnieniem. Bardzo szybko zaczęła się domagać więcej.

Chciała więcej. I mocniej. Przekazywała mi tę ogromną żądzę, która ją wypełniała, nakłaniała mnie, bym ją kochał jeszcze gwałtowniej. Wykręcałem ją, rozdzierałem, orałem. W naszej małej chatce miłość przerodziła się w burzę, na łożu i dookoła niego.

Kiedy rzuciła mnie, pozbawionego sił, w poprzek łóżka, pozostałem na brzuchu i

pragnąłem już tylko pięknych snów. Ona wstała śmiejąc się. Jak przez mgłę widziałem, jak zapala kawałek dukume, kory, której dym działa jak afrodyzjak. Gestami i uroczą mimiką dała mi do zrozumienia, że dzięki dukume moje przyrodzenie ponownie stanie się twarde i silne. I zaczęła się pieścić między udami.

- Potem, ty przyjsć. Tutaj, jeszcze dobrze. Hi! Hi! Bardzo dobrze! Uniosła palec w kierunku płonącego dukume, które zamocowała pod sufitem.

- Światło, dobrze! Lepiej widzieć! Ty widzieć ja? I przeciągnęła się na łóżku, z rozłożonymi udami, przegięta, z dłońmi na piersiach.

- Hi! Hi! Ty widzieć ja? No już! Ty przyjsć!

Wsunęła moją dłoń między swoje uda i zaczęła mnie pieścić, długo, niezwykle łagodnie. Prowadziłem ją, pokazując, jak to robić jeszcze lepiej. Natychmiast zabrała się do dzieła. Potem zażądała mnie znowu, i wziąłem ją ponownie. Kiedy leżałem wycieńczony, przysunęła się do mnie na nowe pieszczoty, jeszcze łagodniejsze i gorętsze, i jeszcze kilkakrotnie pograżyłem się w jej rozkoszach. Wrzeszczała od paru godzin bez opamiętania, na granicy wytrzymałości gardła. Bałem się, że ją złamię, ale jej drobne silne ciało wytrzymywało, wczepiało się we mnie i domagało się jeszcze.

Sen zmorzył nas razem, o wiele później, ciasno przytulonych do siebie.

* * *

Każdego ranka chodziłem „na kawę” do Paula i Montaignes’a, o jakieś dwadzieścia metrów od mojej chaty. Kiedy przychodziłem do nich. Stary zawsze był już na nogach; wstawał przed wszystkimi.

Prażąc, za radą Montaignes’a, nasiona owoców cola, bogatszych w kofeinę niż orzeszki, jak powiedział mistrz, Paulo otrzymywał ziarna, które, po drobnym zmieleniu, dawały w połączeniu z gorącą wodą ciemny i gorzki napój, nieco przypominający niesłodzoną cykorię. Wspominając z westchnieniem, że poszedł do lasu, bo Niemcy wprowadzili kartki na kawę, nazwał ten napój erzac. Każdego ranka cierpliwie ucierał sobie nową porcję.

- Ej! Elias!

Miał przestraszone, szeroko otwarte oczy, spod szortów wystawały jego łukowate nogi, rezultat połączenia obciętych spodni i miesiąca ciężkich robót, włosy miał zmierzwione, a na twarzy resztki snu. Pił, trzymając w ręku bambusową łyżeczkę.

- Niepokoiłem się, Elias! Wszystko w porządku? Na pewno?

- No tak! O co chodzi?

- A jak się miewa pani Elias, dobrze? Biedna Mała! Jak ona cierpiała przez całą noc!

Słyszałem, jak krzyczała, aż mi to sprawiało ból! Mam nadzieję, że nie naderwała sobie gardła? Drogi sąsiedzie! Cooo?

Natychmiast spojrzałem w inną stronę, zażenowany. Myśl o hałasie, jakiego narobiliśmy, wprowadziła mnie w zakłopotanie. Z natury jestem dyskretny, i zwolennikiem prywatności spraw intymnych. Ponadto nie lubię przeszkadzać kolegom, zwłaszcza kolegom, którzy mają za sobą kilka tygodni samotności w dżungli, odgłosami moich miłosnych zmagań. Tego się nie robi.

- Ojeeej, nie bój się, żartuję! Już nie jestem w wieku, kiedy człowiek przejmuję się podbojami innych... Chcesz erzacu?

Podał mi kubek tego świństwa z colą, do którego zresztą zaczynaliśmy się już przyzwyczajać.

- W tysiąc dziewięćset... - zaczął Paulo przecierając oczy - żebym się nie pomylił... w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym może. To już tyle lat! Byłem jeszcze w Marsylii. Byłem dzieciakiem. Pracowałem na nocną zmianę w burdelach, siedziałem w recepcji. No więc była taka jedna z dobrego domu, która przychodziła, żeby dać się przelecieć, aż przyjemnie było posłuchać. Ale miała głos! W recepcji tylko ją było słychać. Miała gadane! Tyle miała do powiedzenia, że aż klienci się skarżyli, że ich to dekoncentruje. Sławna była ta kobieta. Była żoną jubilera z ulicy de Rome. Wyższe sfery...

Popił łyk erzacu, skrzywił się i skierował wzrok ku lekko szarawemu niebu.

- No więc... Wyobraź sobie, Elias... Co najmniej dziesięć przekleństw i ordynarnych wyrazów poznałem właśnie od niej, od tej żony jubilera.

Na progu domu pojawił się Montaignes, z oczami zmrużonymi od niewyspania, cały uśmiechnięty.

- Cześć Elias. Dobrze spałeś? - spytał mnie, znacząco mrugając. - Widziałeś, co wczoraj znalazłem?

Zaciągnął mnie do chaty, żeby pokazać swoje ostatnie cudo. Tego ranka był to bukiet rachitycznych i poskręcanych kwiatów o małych żółtawych kulkach.

- Wspaniałe - powiedziałem. - No i co?

- No i powąchaj!

Roztarł jedną kulkę między palcami i w powietrzu rozszedł się niesamowity zapach: połączenie jaśminu, pieprzu i jakiejś woni łagodniejszej, jakby ambry.

- Ładnie pachnie. Co to jest?

- Nie mam pojęcia. W okolicy jest pełno gatunków, o których nigdy nie słyszałem. Będę musiał zająć się klasyfikacją...

* * *

Cholerny Montaignes! Nazbierał już nieprawdopodobny stos najróżniejszych przedmiotów. Ich chata, podobnie jak nasza, miała kształt małego domku, z drzwiami i trzema oknami, zbudowanego z liści palmowych i bambusów, długiego na dziesięć metrów i szerokiego na sześć.

Na połowie Montaignes'a walały się w nieładzie pęki wielobarwnych piór, poukładane kawałki kory, owady nadziane na kolce od krzewów. Nieprawdopodobne ilości łupin od orzechów zawierały próbki lepików, naturalnych barwników, wyciągów z roślin, jadów i jeszcze innych rzeczy; leżały tu przemieszane liście różnych drzew, kości, kompletna czaszka drapieżnego ptaka, sokół, nietoperze oraz metalowy grot strzały, którego odkrycie stanowiło dla Montaignes'a szczególnie wzruszające przeżycie.

Po drugiej stronie chaty połowa Paula tworzyła z tamtą duży kontrast. Było tam łóżko. Bambusowy stół. Na ścianie wisiała maczeta i to wszystko.

Wyszliśmy, po czym, jako że każdy był już trochę głodny, spokojnym krokiem skierowaliśmy się w stronę kuchni. Był to ładny budynek w kształcie litery L, zapewne najbardziej udana budowla w forcie. Pięć metrów z przeznaczeniem na utensylia, stół o grubych, solidnych nogach, skrzynie w charakterze szaf. Świetlica ta, miejsce posiłków i spotkań, mogła być według życzenia albo całkowicie zamknięta, albo całkowicie otwarta. Ścianki zbudowane były z bambusowych ram, na których rozpięliśmy plecionkę z grubych zielonych palmowych liści. Ścianki te były ruchome i dzięki przemyślnemu systemowi naciąg, autorstwa Paula, można było je zamontować. W „pokoju” narożnym, długości około trzech metrów, mieściły się paleniska i zapas drewna. Po drugiej stronie drzew, na przestrzeni, którą można by nazwać „zapleczem kuchennym”, znajdowały się zapasy wody pitnej oraz przykryty matą dół na zużytą wodę.

Ociągał się, ogryzając resztki mięsa karłowatej antylopy, nieco twardego, lecz o wyrazistym smaku, popijając erzacem. Czuliśmy się trochę nieswojo, nie bardzo wiedząc, co robić. Od ponad miesiąca wstawaliśmy o świcie, by rzucać się w wir pracy aż do późnej pory kolacji i pójścia spać. A teraz wszystko było zakończone. Nie mieliśmy już do wykonania żadnych szczególnych czynności i czuliśmy się jak bezrobotni.

Paulo rozglądał się dookoła, dumny, choć jakby niepewny siebie.

- No co... Piękne to, nie? Nie bardzo wiadomo, po co to zrobiliśmy, ale jest to piękne!

* * *

Montaignes uśmiechał się, spokojny, mrużąc oczy, by lepiej rozejrzeć się po okolicy. Od pewnego czasu nie nosił już swojej przepaski. Jego szkiełko od okularów zwisało mu z szyi, zawieszone na roślinnym włóknie. Od czasu do czasu, z miną starego generała, przystawiał je do oka, by sprawdzić jakiś drobiazg lub przyjrzeć się czemuś szczególnemu. Ale przez większość czasu nie posługiwał się nim wcale. Powiedział nawet, że „wzrok to zespół kodów łączących widzianą rzecz z mózgiem” i że wystarczyło mu, by „dobrze” widzieć, zmienić kody. Nieostra zielona palma: drzewo. Ząbkowana zielona masa: paprocie. Jakiś wielki kształt, który się pochyla i podnosi: Elias kopiący w ziemi maczetą. Okazuje się, że bardzo szybko można się w tym rozeznąć. Bierze się pod uwagę drobne wskazówki, zmiany światła... Jest inaczej... ale ciekawie.

Spośród nas wszystkich on i Mała przeszli najgłębsze przemiany. Montaignes był cherlawy, bo całą młodość strawił na studiowaniu, siedząc, bez ćwiczeń cielesnych. Fizycznie był nastolatkiem, kiedy do nas dołączył. Ekspedycja i siłowe prace nadały mu wygląd dorosłego. No, nie jakiegoś siłacza! Ale dobrze zbudowanego. Długie mięśnie, cienkie, ale solidne. Wyrosła mu broda, długa i delikatna, nadając ostrość jego rysom, a twarz okalały kręcone włosy, bardzo już długie.

Chodził z obnażonym torsem, w szortach z przerobionej panterki, z maczetą zawieszoną na plecach. Chodził boso i w milczeniu cierpiał podczas pracy. Teraz jego stopy okryły się zrogowaciałą warstwą, której pozazdrościć mu mogła nawet Mała.

Paulo i ja uparcie zachowywaliśmy nasze buty, które z czasem zamieniły się w sandały, poprzywiązywane coraz bardziej skomplikowanymi systemami sznurowadeł z lian.

* * *

- Chcecie się przejść? - zapytał Montaignes. - W okolicy jest wiele ciekawych rzeczy...

Poza godzinami swojej warty i prac w forcie od jakiegoś czasu Montaignes stał się niewidoczny. Najczęściej wychodził nikogo nie informując i powracał dopiero dużo później, zawsze z upolowaną zwierzyną i sporym zbiorem owoców. Po miesiącu doskonale poznał okolicę, czego nie można powiedzieć o nas. Przyjęliśmy jego propozycję. Każdy wziął trochę prowiantu i zdecydowaliśmy się wyjść poza fort.

- Nie bierzesz swojego karabinu. Mały? - zdziwił się Paulo.

- Nie, może być potrzebny Małej. Mam swoją broń, to mi wystarczy!

I pokazał nam długą bambusową rurkę, którą rzemieniem mocował na swoim ramieniu. Co najmniej metrowa dmuchawka, do której dorobił tuzin wspaniałych malutkich strzał w kształcie stożków, zakończonych ostrzem z kości.

- To ptasie żebra - wyjaśnił - zaostrzone maczetą. Parę godzin na każdą. Tylko niech żaden tego nie dotyka! Paulo gwałtownie cofnął rękę.

- Zatrute?

- Tak. Jadem, który został po węzach.

- I... to działa?

- Doskonale.

- A żarcie nie będzie przez to zatrute? - spytał Paulo.

- No nie, pacanie - odparł Montaignes naśladując marsylski akcent. - Już dawno byśmy odwalili kitę! Jemy to od dwóch tygodni!

Ze skór zwierzęcych zrobił sobie podłużny pojemniczek pełniący funkcję kołczana, który stale nosił przy biodrze.

- Następna konstrukcja - łuk! - obiecał. - Zrobię go z palmowej gałęzi. Ale nie mam jeszcze dobrego rozwiązania na cięciwę. Plecione włókno z liany... albo zwierzęce jelito...

* * *

Nawet jego chód się zmienił. Zdaliśmy sobie z tego sprawę już od pierwszych godzin. Pozostający w tyle Paulo pomstował.

- O kurwa, Montaignes! Pali się, czy co? To ma być maraton, czy niedzielny spacer budowniczych?

Faktycznie Montaignes drałował przodem, skórzany kołczan obijał mu się o tyłek, stawiał długie, elastyczne kroki odbijając się od ziemi gołymi stopami, stale zbaczając z drogi, dotykając jakiejś kory, unosząc do oka monokl, by przyjrzeć się jakiemuś drobiazgowi, i co chwila przywołując nas, by pokazać niesamowicie koronkowy liść paproci albo wyjaśnić pasjonującą historię wyschniętych odchodów leżących pod kępą traw.

- Jeśli to ma być maraton, to mi powiedz - rzęził Stary. - Ja startuję w kategorii „budowniczych”, wracam od razu.

- Ależ nie! Chodź, pokażę ci pułapki!

I Montaignes zaciągnął nas na drugą stronę jeziora. Dzień był jasny, słońce zasłonięte cienką warstwą chmur dawało białe światło, powietrze było gorące i ciężkie. Na brzegu,

między masywami gigantycznych trzciny i skrajem lasu, zauważyłem to już wcześniej, znajdowały się liczne zbiorniki wodne, do których przychodziły różne zwierzęta. Pięć z nich Montaignes zamienił w pułapki. Zabronił nam się tam zbliżyć, oprowadzając nas z daleka i komentując.

- Tutaj, pod korzeniami, są sidła. Jeszcze nic się nie złapało, ale nie tracę nadziei. A dalej są doły, widzicie je teraz?

Na początku swoich eksperymentów z pułapkami wybrał rozwiązanie najprostsze: dół najeżony zaostrzonymi i zatrutymi bambusami. Nic szczególnego. Wyczynem było dopiero niesamowite zamaskowanie otworu. Była to pokrywa z liści i gałązek przemieszanych z gnijącymi kawałkami poszycia, odpowiednio do okolicznego terenu. Rezultat: pokrywa, nadzwyczaj delikatna, gotowa runąć pod ciężarem każdego małego zwierzęcia, była całkowicie niewidoczna.

- Najtrudniejsze - wyjaśnił - jest zamaskowanie dołu elementami z danego środowiska, tak by nie zakłócić wyglądu otoczenia. Długo obserwowałem. Zwierzęta bezustannie wachają ziemię. Trzeba przykryć dół tym, co leży w pobliżu. Inaczej zaraz wyczują, że coś jest nie w porządku. Poza tym nie wolno niczego uszkodzić, bo zaraz zauważą i pójść gdzie indziej.

Jego ostatnie pułapki znajdowały się dokładnie naprzeciwko fortu, na przeciwnym brzegu jeziora, bardzo daleko od naszych pieleszy.

- Montaignes, to niemożliwe! Poznałeś już cały brzeg? Nie wiedziałem, że zapuszczasz się aż tak daleko!

- No, poznałem nie tylko jezioro. Znam też różne zakątki w dżungli...

Opuściliśmy spokojne brzegi i niewiarygodnie gładką taflę wody o tej samej barwie co niebo, by zagłębić się w dżunglę. Blisko jeziora las był przyjemniejszy i „lżejszy” od tego, który poznaliśmy wcześniej. Tu, jak gdzie indziej, królowały wielkie drzewa tworzące praktycznie ciągłe sklepienie. Różnica polegała na średniej warstwie, najbardziej urozmaiconej, od dwudziestu do trzydziestu metrów nad ziemią, która istniała wyłącznie w postaci gigantycznych paproci uczepionych kory oraz nieodłącznych lian. Natomiast nieodmiennie przestrzeń na ziemi pomiędzy ogromnymi pniami zajmowała dolna warstwa krzewów, również owocowych krzaków, wysokich na metr do metra pięćdziesięciu.

Po chwili Montaignes zaczął zachowywać się dużo ciszej i ostrożniej, machając do nas niecierpliwie z powodu hałasu, jaki powodowały nasze kroki.

- Ciszej! Ciszej! To bardzo ważne miejsce! Nie róbcie hałasu! Zaskoczony jego autorytatywnym tonem Paulo najwyraźniej musiał się pohamować, by nie wyrzucić z siebie

długość zwykle w takich wypadkach tyrady. Montaignes imponował nam. Poruszał się ze swobodą kogoś, kto zna okolicę na pamięć, wyprostowany i dumny, niczym pan na swoich włościach. Paulo i ja nagle poczuliśmy się jak debiutanci.

- Tam - szepnął Montaignes. - Widzicie tę polankę? Pośród niskiej roślinności roztaczał się szeroki, ogołocony krąg średnicy jakichś trzydziestu metrów, na którego obrzeżu rosło kilka gigantycznych pni gatunku stromboria, siedemdziesięciometrowych drzew, z opadającymi kaskadami lian. Nad tym wszystkim panował najgłębszy spokój. Ciszę mącił jedynie śpiew odległych ptaków.

- Patrzcie - szepnął ledwie dosłyszalnie Montaignes - tutaj jest moja najważniejsza „strefa mordu”, chociaż zwierzęta zaczynają już się na niej poznawać.

- Tutaj polujesz?

- Nie. Tutaj są wyłącznie pułapki. Porobiłem je wszędzie. Paulo uśmiechnął się szeroko.

- Nie? - szepnął. - A gdzie je porobiłeś?

I Montaignes nam pokazał. Te nieco jaśniejsze plamy liści na ziemi: doły, głębokie na pięćdziesiąt centymetrów i najeżone ostrymi bambusami. Nieco prostsze od innych liany wśród wiązek spadających z drzew utrzymywały kłoc drewniane, służące jako przeciwwagi. Do drugiego końca przywiązane były bambusowe kraty i kolce najeżone zatrutymi ostrzami. Ziemia usłana była lianami, które uruchamiały pułapki, kiedy jakieś zwierzę się w nie zaplątało.

- I działają?

- Nie wszystkie - przyznał skromnie twórca. - Liany nie pozwalają na dostatecznie szybki ruch. Nie są tak gładkie i jednolite jak sznury. Często znajduję uruchomione pułapki, kolce drewniane czy kraty, które spadły na ziemię, ale zwierzę zdążyło uciec. Dlatego wymyśliłem takie strefy. Jeżeli ustawi się pułapki co parę kroków na przestrzeni kilku metrów kwadratowych, to jeśli trafi na zwierzęta bardziej tępego od innych, któraś

pułapka musi zadziałać do końca i wtedy to się opłaci.

- Matko Boska! Montaignes! I dużo masz takich miejsc?

- W lesie cztery - odpowiedział spokojnie Montaignes. - Nie zaprowadzę was tam, bo są uruchomione. Przywiązuję pośrodku małego indyka albo innego żywego ptaka i drapieżniki zaraz się schodzą, przez cały dzień.

Ale najbardziej zadziwił mnie nieco dalej, kiedy wskazał nam wielki kolczasty krzew, pozornie nieprzystępny, pod który wśliznął się ze zwinnością węża. Słyszeliśmy, jak usadawia się wewnątrz, po czym, bardzo powoli, zielony bambus dmuchawki, niemal

niewidoczny, wysunął się z krzaka.

- Widzicie tę gałąź? - zapytał krzak.

O jakieś siedem albo osiem metrów dalej z ziemi wystawał kawałek złamanej, gnijącej gałęzi.

- Tam zakładam przynętę - mówił dalej kolczasty krzew. - A kiedy oprę sobie dmuchawkę na rozwidleniu gałązek, mam ją akurat na celowniku. Potamoszera albo antylopa przychodzi i piffit!... trafiam za każdym razem.

Wyszedł czołgając się na plecach, rozpromieniony.

- No... - dodał - prawie za każdym.

- I długo tak czekasz, wśród tych kolców?

- No, trzy albo cztery godziny, to zależy. Wszystko mi jedno. Przyjemnie jest posiedzieć bez ruchu. Po jakimś czasie ma się wrażenie, że już nigdy nie będzie się można ruszyć. Słyszysz się wszystko dookoła, najmniejsze szelesty. Człowiek staje się drzewem, częścią składową lasu. Wtedy dopiero, nie wcześniej, przychodzą ofiary. Kiedy się jest statycznym, jak las... to bardzo dziwne... i pasjonujące!

Następnie Montaignes, coraz bardziej radosny, najwyraźniej szczęśliwy mogąc pochwalić się swoimi skarbami i tym, jak świetnie daje sobie radę, zaprowadził nas na zwiedzenie tego, co nazywał swoim „sadem”. Był to spory obszar lasu, w którym, wśród poszycia, występowały niewiarygodne ilości najróżniejszych gatunków owoców. Były tu klasyczne mangowce, przypominające karłowate jabłonie, liczne (co najmniej dziesięć) odmiany bananowców rosnące w gęstych palmowych kępach oraz inne gatunki o nieprawdopodobnych kolorach i kształtach...

- To niesamowite - zwierzał się Montaignes. - Nie znam nazw nawet trzeciej części tego, co tutaj rośnie. Po prostu fantastyczne bogactwo gatunków!

Były tam wielkie orzechy o żółtych łupinach, „lekko kwaskowe, lecz o miękkim miąższu”. Były białe owoce w dziwaczne zielone plamki, najeżone wypustkami, „jadalne, lecz bez wyraźnego smaku, sycące i mdłe”. Były jakieś długie rzeczy w kształcie awokado i koloru bakłażanów. Były też niewiarygodnie małe figi, jasnoniebieskie, niemal turkusowe.

- Pyszne, ale niestety jest ich niewiele. Każdy krzew rodzi jedną albo dwie i wygląda na to, że cykl dojrzewania jest długi. Spośród tych, które próbowałem, żadna, dotąd nie odrosła. A na przykład te wielkie żółte owoce wyrosły ponownie w niecałe trzy tygodnie.

- Jak to? Próbowaleś nie wiedząc, co to jest? - spytał nagle Paulo.

- No wiesz... potrzebny był królik doświadczalny, więc zostałem nim.

Roześmiał się szczerze.

- Jadłem jedną próbkę dziennie. I nie umarłem. To się nazywa mieć szczęście!

- Ty chyba zwariowałeś! - wrzasnął Paulo.

- Ależ nie, jestem ostrożny...

Zjadał połowę dzungli nie wiedząc, co bierze do ust, i twierdził, że jest ostrożny!

- Popatrz, na przykład tego nie ruszałem. Jestem pewien, że jest szkodliwe.

- Tak - potwierdziłem. - Wygląda podejrzanie. Był to czerwony, podłużny owoc, lśniący jakby go polakierowano, rosnący kiściami na czymś w rodzaju rododendronu.

- A nie widziałeś gdzieś przypadkiem kawy? - spytał Paulo.

- Nie, na razie nie. Przecież bym przyniósł. Są natomiast kakaowce, ale kawy nie ma.

- A tytoń? Widziałeś może tytoń?

- Nie... A szukałem, możesz mi wierzyć! - odparł śmiejąc się. - Ale cierpliwości. Nauka robi postępy! Jestem pewien, że znajdę jeszcze mnóstwo ciekawych rzeczy. Cierpliwości...

Spacer ten sprawił nam ogromną przyjemność. Od bardzo dawna, a ściślej od czasu naszej klótni po zamordowaniu słoniątka, nie spotkaliśmy się we trójkę tylko po to, żeby być razem. Tamta, odległa już awantura nie pozostawiła śladów. Żaden z nas już o niej nie myślał.

Naszego nowego Montaignes'a aż miło było oglądać. Chłopak. rozwijał się! Ten pewny siebie i chłodny, zblazowany facet, przemierzający dzunglę niczym stary specjalista ze szkoły przetrwania, w niczym nie przypominał małego lunatycznego naukowca, który na swojej ciężkiej od kufrów pirodze wpłynął w nasze życie rok wcześniej.

Paulo przyglądał mu się z uśmiechem starej babci. Ja również czułem wzmożoną sympatią do tego młodego człowieka. Śmiało mogę powiedzieć, że właśnie tego dnia definitywnie stał się członkiem naszej paczki. Oznaczało to, że stał się dla nas przyjacielem na dobre i złe, a dla reszty świata - awanturnikiem bez czci i wiary.

Ale wtedy, nad brzegiem Jeziora Dinozaurów, resztę świata mało to obchodziło. Nas tak. Wydarzyła się rzecz nadzwyczajna, nigdy nie widziana, więcej niż niesłychana.

Paulo położył rękę na ramieniu Montaignes'a i powiedział mu:

- Nieźle sobie dajesz radę. Mały. Masz prawidłowe reakcje. To dobrze.

Komplement? Z ust Starego? Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby komuś gratulował. Sądząc po promiennym uśmiechu Montaignes'a, ten doskonale zdawał sobie sprawę z wartości tych słów: były najrzadsze z rzadkich.

Wróciliśmy od strony jeziora, spokojni i powolni niczym emeryci, kiedy dzień zaczynał już powoli ustępować. W dali, nad lasem, w białym i zamglonym świetle wieczoru wznosiły się ku niebu kłęby żółtego dymu.

- Mmm, spójrz, Mały. Wiesz, co to za dymy?

- Widywałem je już nieraz.

- Ja - powiedział Stary - widywałem je często, prawie co wieczór. Zastanawiam się, co to może być...

- Nie wiem - odparł Montaignes. - Gorące źródła... albo bagna. W każdym razie to dość daleko stąd.

Stary milczał chwilę w zamyśleniu, spoglądając na jezioro i dymy unoszące się nad horyzontem, za wielką masą lasu.

- Taaak! - otrząsnął się po dłuższej chwili. - Tak. No, według mnie, to takie dymy nie wróżą nic dobrego. Taaak. Takie żółte dymy nigdy nie przyniosły nic dobrego. Możecie mi wierzyć nie podobają mi się te świństwa!

Kiedy tylko weszliśmy do fortu, zapomniałem o moich towarzyszach. Dokładniej stało się to, kiedy ujrzałem pochylone nad kuchennym paleniskiem małe spiczaste piersi mojej kochanki.

Podszedłem, by miłośnie się przywitać. Ledwie na mnie spojrzała, i to spode łba, po czym odeszła w głąb świetlicy, zostawiając mnie samego, nieporadnego w moim zmieszaniu. Zalała mnie fala smutku. Już koniec! Już mnie nie kocha!

Przez cały wieczór byłem nieswój, niezdolny dzielić dobry nastrój Paula i Montaignes'a. Mała dużo rozmawiała z nimi, a niewiele ze mną. Wspominałem uściski poprzedniej nocy, czując zarazem klucie w sercu i niepohamowane pragnienie, by zacząć na nowo. Toteż po kolacji, kiedy Mała podśpiewując poszła się umyć i potem wróciła, naga i pachnąca, i przeszła przed nami kierując na mnie swoje czarne spojrzenie, by sprawdzić, czy na pewno ją podziwiam, kiedy pobiegła w stronę naszej chaty kręcąc małą pupką, całkowicie poddałem się radości i opuściłem towarzystwo.

Czekała na mnie na łóżku. Rzuciłem się na nią. Wkrótce zacharczała z rozkoszy, po raz pierwszy tej nocy, chwyciła przedmiot swego pożądania i z oddaniem zaczęła mi udowadniać, że niczego nie zapomniała z lekcji nocy poprzedniej. Mój Boże, jakże uzdolnione były Jej małe dłonie!

Położyłem rękę na jej włosach i lekko, lecz zdecydowanie przycisnąłem jej głowę, ucząc ją nowych pieszczot, które, jak się wydawało, spodobały się jej. Później, kiedy uznała, że dosyć już mnie zabawiła, położyła się na plecach, szeroko otwarta.

- Ty wejść. Ty wejść szybko!

Był to raczej rozkaz niż błaganie. Po paru minutach zaczęła wrzeszczeć i już nie przestała. Była nienasycona, domagając się mnie, przytrzymując, rycząc głośniej, kiedy tylko

wydawało się, że zwalniam. Oddawała się najpełniej, jak mogła, jej wielkie oczy lśniły radośnie i wyrażały samicze pożądanie, które doprowadzało mnie do szału.

Uczyła się wszystkiego. Prosiła o jeszcze, bardziej nawet wymagająca niż poprzedniej nocy. Ponownie, starając się jak mogłem, by ją zadowolić, dziwiłem się takiemu zapamiętaniu. Było tego za wiele. Ponownie, i wcześniej niż poprzedniej nocy, zapomniałem całkowicie o bożym świecie i przez kilka godzin oddałem się całkowicie przyjemnościom.

Wczesnym rankiem, kiedy już miało świtać, wspólnie odświeżyliśmy się przy zbiorniku wody, zaśmiewając się. Potem przez chwilę były pocałunki i pieszczoty, kiedy to przytulona poprosiła mnie, by ją nauczyć różnych świństw, które śmiejąc się powtarzała. Wkrótce, słysząc tak nieprzyzwoite wyrazy z tak pięknych ust, poczułem przypływ resztek energii. Chwyciłem ją za kostki u nóg, zaciągnąłem na bok i rozłożyłem, zdecydowany powtórzyć wszystko od początku. Ryknęła na całe gardło.

- Tak! Tak! Do środka jeszcze! I całą wiązanekę słów, których dopiero ją nauczyłem.

* * *

Następny dzień był dla mnie trudny. Z samego rana wymknęła mi się i później już tylko z oddali posyłała, mi uśmiechy pozbawione jakiegokolwiek czułości.

Usiłowałem się zmusić do myślenia w kategoriach rozsądku, a nie jak europejski szczeniak. Mała była Afrykanka. Jej jasna skóra i kształty nie powinny tego faktu przesłaniać. Dla niej nie istniała miłość na co dzień, ukradkowe całuski i pieszczoty. Romantyzm to wynalazek białych, rzecz sztuczna, forma stosunków, którą wymyśliliśmy, bo nasza rasa lubi skomplikowane historie. Afrykanie, zwłaszcza ci z buszu, jak wszyscy ludzie, dla których przeżycie jest sprawą niepewną, zupełnie nie zwracają sobie głowy takimi rzeczami. Dla nich fakt, że ulżyło się sobie z istotą płci odmiennej, wcale nie oznacza, że trzeba chodzić trzymając się za ręce albo obcałowywać przez cały dzień. Jest co innego do roboty. Miłość to wynalazek próżniaków, mających pełne żołądki i dużo wolnego czasu.

Dostawała chcicy od pełni księżyca? Więc starała się temu zaradzić. Dla niej cały problem był właśnie taki prosty. Powinienem się cieszyć, że mnie właśnie przypadła ta robota, a nie zatruwać sobie życie cierpieniami nieszczęśliwego kochanka.

Lecz słuszne myśli i obiektywna analiza problemu nic tu nie zmieniały. Choć w duchu rozwijałem nowe rasowe teorie, nie myślałem o niej inaczej jak „moja malutka”, „moja księżniczka” i używając innych równie śmiesznych zdrobniałych nazw, przy czym narastała we mnie choroba wielka jak nasze jezioro. I to jej zapamiętanie, też nienormalne,

wprowadzało mnie w błąd. W nocy zachowywała się dokładnie jak biała kobieta, bardzo zakochana. Jej nocny głód i jej pragnienie przyjemności były tak wielkie, że nie potrafiłem zrozumieć, by mogła być tak obojętna i spokojna w ciągu dnia.

* * *

Wieczorem czekała na mnie, naga i pachnąca; uczepiła się mojej szyi i wyszeptała:

- Pierdolić mnie. Pierdolić mnie mocno. Ty, jeśli chcesz, wszystko połamać!

Tej nocy sama z siebie odwróciła się do mnie tyłem, na kolanach, i rozszerzyła pośladki rękami.

- Tu! - warknęła. - Walić mnie tu!

Ponownie prześcignęła mnie samego w pragnieniach, energii i apetycie: rzuciłem się na nią tak, jak tego. chciała, i zapomniałem o wszystkim.

* * *

Wraz ze zmianą fazy księżyca uspokoiła się. Nasze stosunki uległy pewnemu rozluźnieniu, choć zdarzało się nam kochać przez całą noc. Wiezorami zwracała teraz na mnie uwagę i sympatycznie, może z mniejszą pasją, poddawała swoje drobne ciało moim pragnieniom.

Dni upływały podobne jeden do drugiego. Nigdy już nie odnajdę małej dziewczynki z tamtego okresu, czulej i delikatnej. Przyroda i przeżycia zrobiły swoje.

* * *

Miesiąc później, kiedy nastała pełnia. Mała chodziła zdenerwowana przez cały dzień. Wieczorem niewiele brakowało, by zaprowadziła mnie do łóżka trzymając za rękę, a może nawet za co innego. Nastąpiły znowu trzy noce całkowitego zapamiętania i niepohamowanych wrzasków, najgłośniejszych, jakie kiedykolwiek słyszałem. Potem, po tych trzech nocach, uspokoiła się ponownie.

* * *

Życie wróciło do dawnego rytmu.

Liczba naciąg, które Montaignes codziennie wyrzynał na głównym słupie świetlicy, wskazywała, że upłynął siedemdziesiąty dzień, odkąd przybyliśmy nad Jezioro Dinozaurów.

Człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, strawić każdą tragedię i dowolną sytuację. Najczęściej zabija ludzi utrata nadziei, brak woli przetrwania wobec wydarzeń, które nagle wydają się zbyt ciężkie. My walczyliśmy, co zaowocowało objęciem tego zakątka w posiadanie, i teraz czuliśmy się tu zupełnie swobodnie.

Brak wygod już nam nie dokuczał. Erzac stał się porannym napojem całkiem do przyjęcia, zwłaszcza od kiedy Paulowi udało się dodać do niego kakao. Stary zbudował sobie także leżak i długie wieczorne godziny spędzał w nim na medytacjach, niczym emeryt. Montaignes natomiast coraz więcej czasu poświęcał przyrodzie. Wielokrotnie niepokoiliśmy się już o niego, kiedy wracał bardzo późno. Ja ożeniony byłem z piękną dziewczyną, całkowicie wyzwoloną, której pragnienia były ściśle określone w czasie.

Życie płynęło dalej...

* * *

Teraz już każdy z nas miał swoją dmuchawkę i własny kołczan strzał. Spędzaliśmy na ćwiczeniach całe popołudnia, rywalizując ze sobą. W strzelaniu do celu Montaignes był nie kwestionowanym mistrzem dzięki cechującej go precyzji, a w polowaniach - dzięki swej wyjątkowej cierpliwości. Kiedy Paulo i ja siedzieliśmy nieruchomo w krzakach przez godzinę, mieliśmy ochotę zagwizdać na zwierzynę, żeby szybciej nadeszła. Po dwóch godzinach ogarniała nas nieodparta chęć spalenia dżungli, wycia i przebiegnięcia stu metrów, ile sił w nogach.

Ja byłem natomiast mistrzem w rzucie maczetą do tarczy i do żywych stworzeń. Paulo, wraz z Małą, najchętniej oddawał się łowieniu ryb. Dziewczyna znalazła w jeziorze duże szare ryby, nieruchawe, o zwolnionych reakcjach. Oboje spędzali po parę godzin z nogami w mule, trzymając w rękach bambusowe oszczepy, zawzięci, nieruchomi, gotowi do uderzenia. W dziewięciu przypadkach na dziesięć pudłowali, ale w końcu wystarczała jedna taka ryba, żeby zapewnić nam posiłek.

Montaignes, wyczerpawszy uciechy płynące z wynalezienia dmuchawki i napotykając problemy techniczne w konstruowaniu łuku, zrobił dla nas proce. Sprzęt ten składał się z długiego pasa, wyciętego ze skóry potamoszery, i zakończony był małym kwadratem utrzymującym pocisk.

Szybko osiągnęliśmy biegłość w sztuce kręcenia procą tak, by wypuścić jeden koniec

dokładnie w takim momencie, żeby pocisk poleciał w kierunku celu. Znajdowaliśmy jednak bardzo mało kamieni, z wyjątkiem dna jeziora, jeśli pogrzebało się w mule.

Ulubioną bronią naszej małej kolonii, nie licząc karabinów, które stale utrzymywaliśmy w dobrym stanie i naładowane, pozostała dmuchawka, wraz z towarzyszącą zatrutą strzałą.

Świetlica powoli zapełniała się skórami węży oraz antylop, cybetek, wiewiórek oraz małpatek potto, które śpią podwieszone u gałęzi.

Montaignes zajął się także uprawami po zewnętrznej stronie palisady. Zasadził tam wiele gatunków roślin, pochodzących z jego „sadu”, i w ten sposób zamierzał wydatnie zmniejszyć częstotliwość długich wypadów po żywność. Niedługo wychodzić już trzeba będzie tylko po mango, ignamy i banany, które spożywaliśmy na skalę przemysłową.

Kiedy zastanawiałem się nad jakimś zajęciem, przyszła mi do głowy myśl o zbudowaniu łodzi. Nie miałem nic do roboty. Prace w obozie nie zajmowały dużo czasu. Piroga, albo coś w tym rodzaju, byłaby. dobrą inwestycją na przyszłość.

Zacząłem nad tym myśleć. Wspomnienie Małego Ludzika, w przerażeniu czepiającego się naszej wywróconej pirogi, i jednego uderzenia ogonem, które wystarczyło krokodylowi, by ją do tego stanu doprowadzić, zniechęciło mnie do tego typu łodzi. W drodze powrotnej nie było mowy o uniknięciu Sanghi i tego wszystkiego, przez co już przeszliśmy, a więc i ludojadów, i wszystkich pozostałych miłych specjalności miejscowych.

Potrzebowaliśmy czegoś stabilnego, co zapewniłoby zarazem wygodę i swobodę ruchów, umożliwiającą obronę.

Więc? Transatlantyk? Skromniej, drobnicowiec? Bambusową platformę?

Wezwałem Montaignes'a i przedstawiłem mu swój problem.

- Hmmm... - powiedział. - Bambusową platformę jest łatwo zrobić, ale nigdy nie uzyska się stabilności i od pierwszej chwili będziemy przemoczeni.

- O ile któregoś dnia się po prostu nie rozpadnie... Myśleliśmy, porównywaliśmy, wymienialiśmy, aż w końcu podjęliśmy decyzję - po olśnieniu Montaignes'a.

- Dwie pirogi! □ wykrzyknął.

- Ciekawe. Więc mnożymy ryzyko przez dwa, tak?

- Nie Mam na myśli dwie pirogi połączone ze sobą, tak jak te łodzie polinezyjskie. Robią to, żeby mieć stabilność na falach.

Znałem ten system, bo kiedyś zajmowałem się w tamtych stronach handlem między wyspami, pływając właśnie w takiej pirodzie z wysięgnikiem. Natychmiast podjąłem tę myśl.

Postanowiliśmy wyruszyć całą grupą na poszukiwanie odpowiedniego drzewa.

Musiało być wysokie co najmniej na dwadzieścia metrów, a drewno twarde, ale jednocześnie nie za trudne do obróbki. Welniak byłby tu idealny. W pobliżu rosło ich wiele, ale wszystkie stały mocno. Potrzebowalibyśmy dwóch miesięcy, by ściąć któryś z nich maczetą.

Wystarczyły natomiast trzy dni, by znaleźć pień chlebowca, który runął niedawno, a zatem jeszcze nie przegniły, długości dwudziestu sześciu metrów i obrośnięty co najmniej dziesięcioma metrami gałęzi. Zlikwidowanie ich zajęło nam dwa dni. W wyniku tej pracy otrzymaliśmy długi walec o średnicy mniej więcej jednego metra i jako tako regularny.

- Dobra - zdecydowałem. - Zabieramy go!

* * *

Była to jedna z tych tytanicznych prac, w których rozpoczynaniu nie mam sobie równych. Zadanie ogromne, które zajęło nam dalsze dni. Na początku, przez kilka godzin, usiłowaliśmy pień przetoczyć, wyężając wszystkie siły. Za każdym nadludzkim wysiłkiem zyskiwaliśmy dobrych dziesięć centymetrów, stękając, pocąc się i walcząc z okolicznymi drzewami. Wysłałem wówczas wszystkich do lasu, z zadaniem dostarczenia jak najwięcej prostych gałęzi, które moglibyśmy podłożyć pod pień.

Następnego dnia rozpoczęła się prawdziwa praca. Obwiązaliśmy pień lianami niczym baleron. Stałem na jednym końcu, mocno zaklinowałem dłonie pod spodem i EEEEEH! Unosiłem go na krótkie chwile. Pozostali korzystali z tego, by szybko wsuwać pod drzewo swoje gałęzie. Odpoczywałem. Nabierałem powietrza i ponownie podnosiłem swoje dziecko. Po pewnym czasie stało się możliwe przetoczenie pnia na rozłożone już gałęzie, co utworzyło pod nim szczelinę, w którą dało się wsunąć następne.

Paulo i ja zaprzęgliśmy się do lian. Montaignes i Mała pracowali przy kołach. Kiedy ciągnęliśmy, pień przesunął się dość łatwo, tocząc się po gałęziach. Tamtych dwoje biegło z tyłu, podnosząc uwolnione gałęzie, po czym lecieli do przodu, by je tam podłożyć.

Potrzeba było jedenaście godzin wysiłku, by dotrzeć do fortu. Następnego dnia, z bambusów i liści palmowych, zbudowaliśmy daszek, by pień był osłonięty. Ta nowa budowla ochrzczona została pompatycznym mianem „hangaru na łodzie”.

Wkrótce zdałem sobie sprawę, że maczeta nie jest idealnym narzędziem do pracy w twardym drewnie. Od biedy za każdym razem dawało się wystrugać jeden wiór, ale rzecz stawała się coraz trudniejsza w miarę zagłębiania się w drewno. Lekko szacując zanosilo się na rok pracy.

Ale cóż znaczył dla nas rok mniej czy więcej? Choćby najdłuższa i najcięższa, praca

będzie postępować... Postanowiłem, że piroga i hangar na łodzie będą miejscem, gdzie każdy w wolnych chwilach będzie przychodził wyrobić swoją normę wiórów. Zbliżała się pora deszczowa. Wkrótce będą mniejsze możliwości polowań oraz innej działalności. Przez pięć miesięcy woda będzie się łać na nas jak z cebra i drażnienie chlebowca stanie się wówczas cenną odmianą codzienności.

* * *

Któregoś ranka Paulo znieruchomiał nagle z otwartymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w szczyt palisady od strony lasu.

- Mamy sąsiadów - powiedział. Odwróciłem się.

- Widziałeś kogoś?

Nie dostrzegłem niczego. Paulo potrząsnął głową z lekkim uśmiechem.

- Mówię ci, że widziałem. Mamy gościa i wierz mi, że to nie wymoczek! Na szczycie palisady pojawiła się ogromna czarna głowa.

- Masz, znowu jest!

Potem wielkie czoło, szerokie i niskie, a za nim dwoje okrągłych i ciekawych oczu, okolonych kępkami czarnych błyszczących włosów i ogromny płaski nos, składający się z dwóch szeroko otwartych nozdrzy. Wreszcie wielka okrągła szczeka i ramiona zapaśnika, pokryte czarną sierścią.

- Goryl!

- Wygrałeś - odparł Paulo. - I to młody! Muszą być i inne. To bardzo miłe zwierzątka; pójdziemy zobaczyć? Kiedy szliśmy ku bramie, Montaignes zapytał nieco zaniepokojony:

- Słuchaj, Paulo, jesteś pewien, że można tak do nich pójść? Goryle są silne. Nie zaatakują nas?

- Ależ nie, mówię ci, że są cudowne! No, popatrz na Eliasa, miły jest, nie? A przecież jest potężnie zbudowany i wygląda groźnie. No, chodź, sam zobaczysz, przedstawię cię.

* * *

Goryli szpieg uciekł, kiedy tylko się poruszaliśmy. Całą rodzinę znaleźliśmy nieco dalej, rozproszoną po lesie. Górujący nad grupą, składającą się z jakichś dwudziestu osobników, ogromny samiec siedział na tyłku, miał mniej więcej dwa metry wzrostu, wielki jak pięć razy ja albo dziesięć razy jak Montaignes, i przyglądał się, jak podchodziliśmy.

- Uuu... - odezwał się Montaignes, jakby się sparzył.

- Spokój! - powiedział Paulo.

Kilkoro członków rodziny, najbliżej nas, wycofało się na nasz widok ciężkim i kołyszającym się krokiem, podpierając się długimi przednimi łapami.

- Zatrzymajmy się tu - rozkazał Paulo. - Nie należy im przeszkadzać.

Kucnęliśmy mniej więcej dwadzieścia metrów od nich. Większość małp siedziała pośród roślinności, zbierając i czyszcząc młode pędy, które następnie połykała bez ceregieli. Kilka samic, noszących na plecach małe, powoli chodziło po terenie. Dwa małe samce o krótkiej sierści bawiły się spokojnie, popychając się wzajemnie.

Nasz młody kolega schował się w ogromnej kępie roślin o mięsistych liściach. Widać było tylko czubek jego wielkiej czarnej głowy i duże okrągłe oczy, nadal nas obserwujące.

Duży samiec nie spuszczał z nas oczu. Głowę miał wielką niczym kowadło, ozdobioną dwoma imponującej wielkości nozdrzami. Jego ramiona pokryte były gęstym futrem, o włosach dłuższych niż na reszcie ciała, czarnym i błyszczącym. Na bokach futro przerzedzało się, stopniowo przechodząc w szeroką srebrzystą plamę na plecach.

Prawdziwa góra twardego mięsa z czarną maską i oczami utkwionymi w naszych małych postaciach.

- Ten - wyjaśnił Paulo - to wódz. Szef. Wszystkie samice należą do niego.

- Nie wygląda zachęcająco ten koleś - wymknęło mi się.

- Ależ nie! Nie jest taki groźny, na jakiego wygląda. Te wielkoludy prawie nigdy się nie biją. Masz, popatrz!

Czarny olbrzym zrobił: „Huuumpf!”, nieznacznie podskakując na siedzeniu. Natychmiast oba małe samce, które zaczynały dokazywać i hałasować, rozdzieliły się i każdy pobiegł w swoją stronę, by ukryć się w krzakach.

- Widziałeś, jaki autorytet? Nigdy żadnych problemów! I zauważ, że wódz to zawsze mędrzec. Żadnej niesprawiedliwości. Szacunek i tak dalej. Są cool, jak wy to mówicie. Wiesz, zastanawiam się, czy nie przywitać się z nim. Wygląda sympatycznie! - dodał, oddalając się.

- Paulo, nie wygłupiaj się!

- A grzeczność - odwrócił się Stary - i stosunki międzysąsiedzkie, słyszałeś o tym?

* * *

I stary wariat wkroczył pomiędzy goryle. Wódz zrobił: „Huuumpf!”, które moim zdaniem nie wróżyło nic dobrego, i przyglądał mu się. Paulo szedł powoli, ostrożnie, krok za

krokiem, i zmierzał prosto ku wodzowi. Szybko się uspokoiłem. Wyglądało, że zna się na rzeczy. Nigdy nie opowiadał o swoich przygodach z goryłami, ale widocznie miał już z nimi do czynienia i najwyraźniej wiedział, co robi.

Paulo zatrzymał się trzy metry od wielkiego samca, który wstał. Miał ponad dwa metry i przytłaczał krzywonogą postać Starego.

- Kurwa, co on wyrabia?

„Humpf! Humpf!” Goryl kiwał się w miejscu. Futro na jego ramionach unosiło się, przez co stawał się jeszcze potężniejszy i sprawiał jeszcze większe wrażenie. Cała rodzina przestała ogryzać pędy i z uwagą przyglądała się widowisku.

Wódz zrobił krok do przodu i zaczął chrząkać głośniej. „Grumf! Grumf!” Tupał nogami w ziemię, aż się zatrzęsło. Potem nagle jakby się rozzłościł i jął walić się w piersi mocnymi uderzeniami pięści: prawdziwy tam-tam, na którego odgłos wtuliliśmy głowy w ramiona.

Pod jego stopami ziemia kołysała się. Chrząknięcia zamieniły się w donośne, basowe okrzyki... Paulo! Zostanie rozerwany na strzępy.

Stary, stojąc nieruchomo w obliczu tej burzy, jakby w ogóle ignorował goryla. Nie drgnął nawet, kiedy cała ta wielka masa runęła na niego dwoma susami. Goryl zatrzymał się dokładnie przed nim. Głowa Paula sięgała mu do piersi. Przez chwilę myślałem, że to już koniec.

Wtedy wielki samiec nagle się uspokoił i stanął nieruchomo przed Paulem, który odczekał krótką chwilę, po czym powoli zaczął się schylać, by w końcu usiąść na ziemi. Wielki goryl popatrzył na niego przez chwilę, z rozstawionymi krótkimi i grubymi jak słupy nogami, po czym odwrócił się, kołysząc z boku na bok - „Humpf!” □ i sam usiadł. Pozostałe goryle powróciły już do swoich czynności, tracąc

wszelkie zainteresowanie dla sprawy. Paulo posiedział chwilę, potem powoli wstał.

- I co... Bardzo mi miło, nie? Proszę do nas zaglądać - usłyszeliśmy, jak mówił. Wrócił do nas rozpromieniony.

- Mówiłem wam, że są cool! Udają mocnych, Tarzanów, ale nie szukają zaczepki.

Większość myśliwych strzela, kiedy goryl odstawia ten swój cyrk, po prostu ze strachu! A wystarczy, żeby bałwan przeczekał. To wstyd strzelać do tak miłych zwierząt!

Zrędliwie powtórzył jeszcze parę razy „wstyd, wstyd”, po czym zatrzymał się, z lekkim uśmiechem, jakby sobie coś przypominał.

- Chociaż - dodał - jeśli chodzi o mnie, jak byłem młodszy, to trzeba przyznać... Nie zawsze byłem dla nich miły...

Później dość często odwiedzał nas wielki samiec o srebrzystych plecach i jego rodzina. Poruszali się, jak się wydawało, jakby po stałej trasie dookoła jeziora, zjadając wszystkie pędy, trawy, korę i owoce w jednym miejscu, po czym przenosili się dalej, a tam przez ten czas roślinność odrastała.

Kiedy wiedzieliśmy, że są w pobliżu, zostawialiśmy na zewnątrz fortu stosy owoców. Na ogół przychodził po nie ten młody, który pierwszy nas odwiedził. Podchodził do prezentu ostrożnie, na czworakach, długo rozglądał się dookoła, by sprawdzić, czy jesteśmy w pobliżu. Potem próbował jednego owocu, obierając go starannie ze skóry zębami. Wtedy zgarniał wszystko w ramiona i zanosił jedzenie do stada, zawsze gubiąc po drodze kilka sztuk.

Ostrzegły nas pierwsze ulewy, gwałtowne i szybkie, zalewające wszystko i powtarzające się bardzo regularnie, w odstępach mniej więcej dwugodzinnych, również w nocy.

Natychmiast wewnątrz fortu kazałem wykopać cztery kanały, odprowadzające wodę, która niebawem miała nas zalać.

Zgodnie z przewidywaniami po czterech dniach nawracających deszczów, rozpoczął się potop. Była to gęsta i nieprzerwana kurtyna wielkich kropli spadających pionowo, która nadawała wszystkiemu smutną, szarą barwę, poważnie ochładzała powietrze i nigdy nie ustawała.

W strefie równikowej pada przez większą część roku, i to w skali niewiarygodnej. Montaignes mówił mi o siedmiu tysiącach milimetrów wody rocznie na metr kwadratowy, czyli o warstwie grubości siedmiu metrów! Te niesamowite ilości wynikały z tego, że deszcz padał nieprzerwanie. Padało, padało i padało.

Już drugiego dnia stało się oczywiste, że Montaignes i ja byliśmy zbyt optymistycznie nastawieni. Kanały odwadniające szybko się wypełniały i woda wystąpiła z brzegów. Wkrótce fort stał się jednym wielkim bagnem z gnijącą trawą i niebawem pokrył się warstwą czerwonej i lepkiej mazi, która brudziła wszystko.

* * *

Prace zostały zawieszone. Nie sposób było cokolwiek robić pod tym potokiem wody, która bezustannie bębniła - dzień i noc. Początkowo delectowałem się tym wymuszonym odpoczynkiem, mającym dla mnie tę zaletę, że przez cały dzień pozostawałem sam na sam z Małą.

Lecz szybciej niż tego oczekiwałem, ogarnęła nas nuda. Szarzyzna i wilgoć nie

pozwalaly na prawdziwe odprężenie. Pomimo naszych starań do chaty dostawało się błoto. W palmowym dachu pojawiły się przecieki i nieliczne ubrania, które nam pozostały, przestały w ogóle wysychać.

Toteż pragnąc walczyć z ogarniającą nas beczynnością i smutnym bezwładem i by odwrócić naszą uwagę od myśli o czekających nas pięciu miesiącach tego potopu, zarządziłem wielkie prace w stoczniowych warsztatach. Od tej pory większość czasu spędzaliśmy wokół pnia serecznika w hangarze, który rozbudowaliśmy, zamykając go całkowicie, o kilka kroków od bramy fortu. Montaignes zgromadził tu cały zapas dukume do produkcji pochodni i jego słodkawy zapach. wprawiał nas w lekką euforię. Prace trwały niekiedy do późnej nocy.

W robocie tej nie było nic męczącego ani naprawdę trudnego. Drążyliśmy pirogę własnym rytmem, wszyscy wiedzieli, że mają przed sobą wiele miesięcy, by doprowadzić ją do stanu używalności. Wieczorem nikomu nie chciało się spać, bo brakowało nam wysiłku fizycznego i długich wypadów poza fort. W hangarze na łódzie odbywało się więc coś w rodzaju nocnego czuwania, podczas którego trochę drążyliśmy, a wiele dyskutowaliśmy.

Jak można rzeczywiście pasjonować się pracą, która niemal nie posuwa się do przodu? Byliśmy całkowicie pozbawieni niezbędnych narzędzi. Montaignes znalazł wprawdzie, gdzieś nad jeziorem, wielki szary i twardy kamień, który umożliwiał ostrzenie maczet na tyle, by przynajmniej wydawało się nam, że wdzieramy się w głąb drewna. Jedna z nich była jednak już tak zużyta, że zmniejszyła się do rozmiarów małego kuchennego noża. Po dłuższych wysiłkach udało nam się nadać ostrzom dwóch innych maczet półokrągły kształt, dzięki któremu zrobiły się z nich całkiem skuteczne dłuta, za pomocą których, jeżeli napierało się z całej siły, można było ścinać z pnia długie wióry mniej więcej milimetrowej grubości. Niczego lepszego nie mieliśmy.

W ten sposób zdałem sobie sprawę zawartości metalu. Mieliśmy tylko tych sześć zniszczonych maczet jako narzędzia do wszystkiego. Metal tnie, wytrzymuje, łamie i załatwia każdy kawałek drewna. W naszej sytuacji, kiedy byliśmy go pozbawieni, doceniliśmy w pełni jego wagę. Bez niego materia staje się oporna. Gdyby nie maczety, w jaki sposób udałoby się nam zbudować nasze instalacje?

* * *

Mała siedziała z nami w hangarze na łódzie. Nie pracowała i tylko z daleka uczestniczyła w naszych dyskusjach. Przesiadwała w kącie, zawsze tym samym, i patrzyła

na nas oczami, które wydawały mi się smutne. Mówiła mało, tylko wtedy, gdy ktoś się do niej zwracał i jak się wydawało nie próbowała przełamać tego osowienia, tak u niej niezwykłego.

Sądziłem, że deszcz ciąży jej bardziej niż nam. Być może uzmysławiał jej naszą izolację i odcięcie od świata. Nie zapomniałem, że była bardzo młoda, złaźniona życia i zabaw, pragnęła uczestniczyć w życiu swojej wioski zamiast siedzieć tu, zamknięta, z trzema białymi pośrodku dziewiczej dżungli.

Natomiast dwaj pozostali byli w humorach więcej niż doskonałych. Każdy dzień obfitował w paroksyzmy kretyńskiego i nie kończącego się śmiechu, zarówno jednego, jak i drugiego. Wystarczyło jakieś jedno słowo podczas rozmowy, zwykle przechodzące w kalambur, tak prostacki, jak tylko się dało, i już...

Montaignes ogarnięty był euforią, z rozszerzonymi źrenicami, mówił coraz bardziej nieskładnie, na wielkim haju pod wpływem grzybków, które znalazł gdzieś w dżungli.

Paulo, ze swej strony, był pijany. Któregoś dnia zatrzymał się na widok czerwonych owoców o pomarańczowym miąższu, popękanych i lekko gnijących, które przyniósł do fortu Montaignes.

- Co to za świństwo? - spytał uprzejmie.

- Sam nie wiem. Jakiś owoc palmy, ale nigdy nie widziałem tak wielkich. Zabawne jest to, że sama palma jest malutka. Karłowaty gatunek o olbrzymich owocach.

Paulo powąchał z zachwytem na twarzy, po czym zapytał podejrzliwie:

- No więc w końcu są to owoce palmy czy nie?

- Tak.

- Nie są trujące?

- Nie. Na sto procent nie. Próbowałem. Zresztą są niesmaczne. Stary poklepał Montaignes'a po ramieniu z tajemniczym uśmiechem na ustach.

- Niech pan botanik łaskawie nie obmawia tych zgniłych owoców. Niech pan pomyśli, że jeśli panu nie smakowały, to być może dlatego, że nie potrafił pan ich przyrządzić, panie agronomie!

Jeszcze tego samego wieczoru Paulo nastawił owoce do fermentacji. Następnego dnia widziano go, jak pomiędzy kolejnymi ulewami nerwowo biegał z jednego końca fortu na drugi. Gromadził tajemnicze sprzęty: tykwy, długi odcinek bambusowej rury irygacyjnej, i śmiał się przy tym cicho, potrząsając znacząco głową w sposób, który moim zdaniem nie wróżył nic dobrego. Kiedy Stary cieszył się bez powodu, można było praktycznie być pewnym, że szykował się jakiś monumentalny idiotyzm.

- Paulo, co ty szykujesz? - próbowałem się dowiedzieć. Popatrzył na mnie

przebiegłym wzrokiem chytrego kupca.

- Nie mogę ci powiedzieć, Mały. Może się mylę... Jutro najpóźniej - obiecał - będę miał odpowiedź. Gra?

Odchylił się do tyłu i zaczął wrzeszczeć:

- Zresztą, jeśli nie gra, panie ciekawski, możesz mi to powiedzieć!... Zrezygnowałem.

* * *

Nazajutrz Paulo zniknął na cały dzień. Pojawił się dopiero podczas wieczornego posiłku, który spożywaliśmy w hangarze na łodzie, stającym się najgościnniejszym pomieszczeniem w forcie. Nagle wpadł jak furiat, zatrzymał się w miejscu, powstrzymał się, by nie upaść na nos, i złapał... równowagę. Popatrzył na mnie mętным wzrokiem.

- Udało się! D... D... Do jasnego chuja! Mówię ci, ż... ż... że udało się! Masz, spróbuj!

Podał mi bambusową rurkę wypełnioną ciepłym jeszcze płynem, prosto z alembika, o zapachu dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu.

- Wi... wino palmowe!... Produkcji Paula! Moje własne! Spróbuj tylko! To dru... drugi rzut! Jest jeszcze lep... jeszcze lepszy niż pierwszy!

I od tej pory chodził pijany w sztok przez większość dnia, to znaczy po godzinie dziesiątej, kiedy to zwykle odkładał dłuto, zacierał ręce jak stary robotnik i oznajmiał:

- No, no! Już pora na kielicha! Ale tu szybko płynie czas! I bez mrugnięcia okiem wlewał w siebie potężne porcje swojej gorzkiej mikstury o smaku nafty, której sam zapach przyprawiłby normalny żołądek o skurcze. Opróżniał pojemnik, cmokał jak po koniaku i trzydzieści pięć sekund później zaczynał wariować i opowiadać kawały sprzed pół wieku, pokładając się ze śmiechu. Któregoś dnia, gdy zobaczyłem, jakie pochłania tego ilości, lekko zaniepokojony stanem jego przewodu pokarmowego odciągnąłem go na bok.

- Paulo...

- Wiem! Myślisz, że nie wiem, co chcesz mi powiedzieć?

- Paulo...

- No więc słuchaj: piję, bo nie ma nic innego do roboty, i będę pił tak długo, na jak długo starczy. Przeszkadza ci to?

- Nie. Chodzi o ciebie...

- O mnie... O mnie... Czego byś chciał? Żebym się narkotyzował, jak tamten wariat? Bo według Paula Montaignes zwariował.

Młodzieniec przyszedł do mnie któregoś wieczoru z triumfującą miną.

- Elias! Elias! Popatrz! Znasz to?

Pokazywał mi ze dwadzieścia małych brązowych kulek.

- Tak, to grzyby.

Wzniósł oczy do nieba, uderzył się ręką w czoło, jakby ten tępy Elias naprawdę nie miał o niczym zielonego pojęcia. Wziął jeden z grzybów i dwoma paznokciami starannie zdarł ciemną błonę, którą podsunął mi pod nos.

- A to? A to? - spytał podniecony. - Co to jest, to?

- No...

- To, Elias, to psyllocybina. Magia kolorów, Elias... To druga strona rzeczywistości; „Opium powiększa to, co bezkresne, i wydłuża nieskończone”, mawiał Baudelaire. Aaach, gdyby mógł poznać to tutaj!

Zauważyłem wówczas jego oczy o poszerzonych źrenicach, o prawie czarnej tęczówce, zauważyłem niezwykle, gorączkowe podniecenie na jego twarzy i lekkie drzenie, jakie wstrząsało całym jego ciałem.

- To te grzybki wprawiają cię w taki stan?

- Psylo! Magie mushrooms! To grzyby halucynogenne, Elias! Na jego nalegania Paulo i ja poddaliśmy się doświadczeniu. Nastąpiło kilka godzin nie kontrolowanych przemyśleń, w trakcie których wszystko zdawało się logicznie układać, ale nigdy nie prowadziło do żadnego konkretnego rozwiązania. Chwilami następowały wzrokowe odkształcenia, wydawało się, że niektóre rzeczy rosną albo nawet oddychają. Po powrocie na ziemię, dobrych sześć godzin później, nasze zdania były podzielone.

Byłem za, ale niezbyt często. Nie lubiłbym stale chodzić na haju, jak to czynił Montaignes. Mały seansik delirium, halucynacji i zaśmiewania się do rozpuku nigdy nikomu nie zaszkodził. Ale tak przez cały dzień to musiało prowadzić do zdziwaczania.

Paulo ze swej strony przeklinał wszelkie narkotyki oraz narkomanów i twierdził, że następnym budynkiem w forcie będzie więzienie, bo nie było mowy o tym, żeby pozwolić hipisom na życie z nami.

Każdego ranka Montaignes zażywał swoją porcję na śniadanie. Zrezygnowaliśmy z erzacu, odkąd znalazł w lesie kępę trzciny cukrowej. Zrobiona z niej papka, rozmoczona parę dni w wodzie, dawała zielony i gęsty koncentrat, który zmieszany z gorącą wodą był pyszny i przyjemnie rozgrzewał całe ciało. Jeśli dodać do tego szczyptę prażonego kakao, napój stawał się wręcz boski.

Montaignes natomiast miał swoją miseczkę miodu. Trzymał grzybki w cukrze tak długo, aż otrzymywał czarną pastę o konsystencji miodu. Choć cukier nie likwidował

całkowicie ich ohydneho smaku, pozwalał jednak jakoś je przełknąć. Zjadał kilka łyżeczek preparatu i bardzo szybko następował odjazd.

Najpierw zaciskał dłonie na krawędzi stołu, jakby przeżywał wewnętrzny szok. Na jego twarzy pojawiał się szeroki, głupawy uśmiech, który, choć potem się zmniejszał, pozostawał na niej przez resztę dnia. Jego źrenice rozszerzały się błyskawicznie, i wkrótce miał to wariackie spojrzenie towarzyszące mu nieodłącznie.

W warsztacie sadowił się zawsze w tym samym miejscu, tam gdzie w przyszłości miał być dziób pirogi, i drążył jednostajnym, regularnym ruchem, po każdej grze słów tamtego pijaka wybuchając długim śmiechem, który wstrząsał nim bez końca.

Jednym słowem był na pełnym haju przez cały dzień. W porównaniu z nimi ja byłem wzorem trzeźwości. Ale ja miałem towarzyszkę, a oni nie. Na ich miejscu robiłbym to samo.

Dni płynęły powoli i nasze schronienie w forcie, które powodowało, że byliśmy jeszcze bardziej samotni niż zwykle, zaczynało nam ciążyć. Na szczęście deszcze zelżały trochę i codziennie mieliśmy kilka spokojnych godzin. Nie było słonecznie, ale po paru tygodniach ulewy i zamknięcia przejaśnienia te wygoniły nas - spragnionych świeżego powietrza, na zewnątrz.

Podczas jednego z wypadów znalazłem, strachliwie ukrytą w ociekającej wodą kępie palmowców, małą galago, uroczą małpkę o miękkiej, krótkiej sierści i wielkich brązowych oczach zajmujących prawie całą jej głowę. Miała maleńki pyszczek, bardzo ciepły, i małe serduszek, które kołatało jak szalone pod moją dłoń. Zaadoptowałem ją natychmiast. Miałem dla niej zadanie do wykonania, mianowicie wywołanie uśmiechu na twarzy Małej, mojej narzeczonej, która chodziła coraz bardziej osowiała.

Mała zaklaskała w dłonie, wybuchnęła śmiechem, wycelowowała mnie dziesiątki razy i ku mojej wielkiej radości nie przestała uśmiechać się przez cały wieczór, czule przyciskając galago do piersi.

Byłem zadowolony, że trafiłem. Jej melancholia wynikała z jej osamotnienia, bez małego towarzysza dla rozrywki, jak biedny Bebe. Głupio, że wcześniej nie pomyślałem o zastąpieniu szczeniaczka.

Moja uwielbiana chodziła szczęśliwa przez kilka dni, a mała szara kulka zawsze siedziała jej na rękach albo przebywała w pobliżu. Potem jakby straciła dla niej zainteresowanie. Mała okrągła małpka objęła się w kuchni, a ona nie zwracała już na nią uwagi ani nie przyprowadzała jej do warsztatu. Po paru dniach małpka zdechła, a Mała nie zwróciła na to większej uwagi, ponownie ogarnięta całkowitą obojętnością na otoczenie.

* * *

Co też mogło jej być? Odkąd zaczęły się deszcze przygasła jeszcze bardziej. Patrząc na jej szyję i zebra zauważyłem, że straciła na wadze, a przecież nigdy nie była zbyt tęga. Zauważyłem też, że nie jadła już z nami posiłków i zaniepokoiło mnie to.

- Mała - powiedziałem - siadaj, chodź jeść!

- Nie, nie! Nie głodna!

Machała ręką z obrzydzeniem i obiecywała, że zje później, albo twierdziła, że właśnie coś przekąsiła. W nocy nie przejawiała już żadnych pragnień ani czułości, ani seksu i rzadko wieczorem wypowiadała więcej niż kilka słów.

Sądziłem, że nudzi się w obozowisku, i starałem się, by codziennie spędzić z nią kilka godzin, mając nadzieję, że uda mi się poprawić jej nastrój. Chodziliśmy na spacer albo, jeśli padało, zamykaliśmy się w naszej chacie: Brałem ją za rękę i bez końca usiłowałem spowodować, by się uśmiechnęła.

- Wiesz, któregoś dnia wyjedziemy oboje. Nie zostaniemy tutaj do końca życia. Kiedy łódź będzie gotowa, wszyscy wrócimy, a potem zabiorę cię gdzieś bardzo daleko. Chciałabyś?

Potakiwała powoli głową, niezbyt przekonana.

- Nie wierzysz mi? Potrząśnięcie głową.

- Polecimy samolotem. Wiesz, co to jest? To...eee... taki ptak!

I można do niego wsiąść. Leci się do nieba. Ty, ja, w niebie. Chcesz?

- Tak.

Myśl o niebie sprawiała, że powracał jej blady uśmiech. To już było coś, ale pogrążałem się w rozpacz. Chciałem, żeby była szczęśliwa, wesół, roześmiana, taka, jaką widywałem ją dawniej. Nie rozumiałem, co ją gnębiło, i przeklinałem samego siebie za to, że byłem zbyt głupi albo zbyt niezdarny, by znaleźć właściwe słowa.

- Kochanie moje malutkie, zobaczysz. Pojedziemy do wielkiego miasta i kupię ci dwieście sukienek. Wierzysz mi, moja śliczna? I tyle biżuterii, ile będziesz chciała.

Boże! Zobaczyć choć trochę radości na tej ślicznej twarzy! Gimnastykowałem się by wymyślić coraz cudowniejsze plany, starając się rozbudzić w niej marzenia, by chociaż w myślach wyszła poza fort. Gdyby tylko ten deszcz mógł przestać padać na więcej niż kilka godzin, powtarzałem sobie, by nastąpił jaśniejszy dzień, który pozwoli mi zabrać ją na dłuższy spacer po okolicy. Byłem pewien, że to jej dobrze zrobi...

* * *

Któregoś ranka nieśmiały promień słońca przebił warstwę chmur. Przez całą noc nie padało. Postanowiłem zaryzykować, postawiłem na to, że dzień będzie słoneczny, i zaprosiłem Małą, by poszła ze mną.

- Pójdziemy na spacer? Daleko, na cały dzień? Co? Zgodziła się. Zabrałem trochę jedzenia i zaprowadziłem ją nad jezioro, gdzie zepchnąłem bambusową tratwę do wody.

- No, wskakuj! Któregoś dnia polecimy samolotem, ale dzisiaj będzie przejażdżka na wodzie. Podoba ci się?

- Tak.

Usiadłem z tyłu, moja mała księżniczka usadowiła się z przodu, ze wzrokiem utkwionym w dal. Za pomocą trzinowej tyki odpychałem się od dna, jak najdelikatniej. Tratwa, która służyła nam do przewożenia zwałów trzin podczas budowy fortu, była niestabilna, tańczyła we wszystkie strony i stojąc na rufie musiałem pilnie uważać, by nie upaść.

Brzegi powoli i majestatycznie przesuwwały się po bokach. Fort, osłonięty kurtyną drzew, nie był prawie znikąd widoczny. Kępy trzin tworzyły wielkie zielone bariery, które wrzynały się głęboko w wodę.

Po godzinie pływania uznałem, że szczęście mi sprzyja. Po raz pierwszy od dawna sklepienie chmur zdecydowanie rozstało się i przepuściło promienie słońca. Siedząca na przedzie Mała, z zamkniętymi oczami, zwróciła twarz ku światłu ze słabym zrezygnowanym uśmiechem.

* * *

Pozwoliłem tratwie dryfować i sam też rozsiadłem się wygodnie. Dostrzegła to i sama przysunęła się do mnie, co nie zdarzyło się już od bardzo dawna.

- Fajna przejażdżka? Podoba ci się?

- Tak. Słońce dobre.

Upłynęło kilka cudownych godzin. Mała szybko odprężyła się. Słońce mocno prażyło nad wodą i syciliśmy się jego ciepłem. Zacząłem opowiadać głupstwa i Mała coraz wybuchała śmiechem, który podnosił mnie na duchu.

Popluskaliśmy się nawet trochę w wodzie, jak za dawnych czasów, kiedy byłem z nią taki szczęśliwy. Hałasowaliśmy, popychaliśmy się. Udawałem, że tonę, tracąc przytomność, i

rozkoszowałem się jej śmiechem, kiedy wypływałem na powierzchnię.

Potem położyła się nago na tratwie, wystawiona ku słońcu. Rysy jej twarzy były bardziej odprężone niż w ciągu ostatnich tygodni. Pohamowałem pragnienie, by pogłodzić ręką to jej drobne ciało, które tak bardzo kochałem, ale nie chciałem jej przeszkadzać. Zadowalałem się patrzeniem na nią, syciłem nią oczu, powtarzając sobie, że bardzo ją kocham.

Wkrótce obudziła się, przeciągnęła, prężąc swoje piękne plecy, oczarowała mnie czułym spojrzeniem, po czym ponownie chwyciłem za trzcinę, by popłynąć dalej na zwiedzanie jeziora. Myślałem o tym francuskim uczonym, o którym opowiadał Montaignes, wariacie łudzącym się, że znajdzie tu żywe dinozaury. Jakże musiał być rozczarowany, jeśli tu dotarł - w promieniu tysiąca kilometrów nie było spokojniejszego zakątka. Patrząc z tej perspektywy nawet wysokie korony drzew i gigantyczny las nie wydawały się już wrogiem. Wystarczył promień słońca i wszystko się rozjaśniało, nawet twarz mojej Małej!

Napawałem się optymizmem. Sytuacja nie była tak poważna, jak powoli zaczynałem sądzić pod wpływem tych wszystkich szarych i mokrych dni. Trzeba tylko przetrzymać do czasu ustania deszczów. To wszystko. Za parę miesięcy, kiedy nadejdą piękne dni, załadujemy łódź i opuścimy to wszystko. Była to tylko kwestia cierpliwości.

* * *

Zastanawiałem się nad tym, kiedy coś na brzegu przykuło moją uwagę. Skierowałem tam tratwę. Była tu obszerna zatoczka, pomiędzy dwiema kępami trzcin, jedna z podobnych dziesiątkom dookoła jeziora. Trawy były wydeptane i wydawało mi się, że to ślady stada bawołów, albo innej dużej grupy zwierząt. Steki, o których każda informacja mnie interesowała.

Kiedy dotarłem na odległość paru metrów od brzegu, zrozumiałem, że nie były to ślady bawołów, ale wielkie okrągłe zagłębienia po nogach słonia. Widząc ich rozmiary natychmiast zrozumiałem, kto je zostawił.

Ten okaleczony skurwysyn dotarł aż tutaj!

* * *

Wyskoczyliśmy na brzeg, by przyjrzeć się śladom z bliska. Były świeże. Ostatni raz padało poprzedniego dnia po południu. M'Bumba był więc tutaj wieczorem albo nawet tego

ranka. Być może minęliśmy się o parę godzin.

- Och, kurwa!

Zapomniałem już o tym śmierdzielu. Zresztą każdy z nas odsunął go gdzieś w podświadomość. Nawet już o nim nie rozmawialiśmy. I oto teraz pojawił się znowu. Nad brzegiem Jeziora Dinozaurów, tak jak coś kiedyś nam powiedziało.

Dziwiła mnie mnogość śladów. Można by pomyśleć, że M'Bumba chodził tam i z powrotem, a przecież zakątek był raczej niewielki. Z jakichś powodów, których nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, musiał tu łązić w kółko. Ale dlaczego? Jeżeli przyszedł się napić, jak wskazywała na to logika, nie miał żadnego powodu, by dreptać tu w miejscu. Gdyby ogarnął go szal każący walić w ziemię, jak to już widziałem wcześniej, musiałyby być zniszczenia. Ale skraj roślinności, rozpoczynającej się dziesięć metrów dalej, był całkowicie nienaruszony. A gdyby się zdenerwował, usłyszeliśmy go, choćby z oddali.

Nie. Chodził tu wzdłuż i wszerz, stale zwrócony ku jezioru, na pewno bardzo spokojnie, ale długo. Ze spuszczoną głową, pochłonięty sprawdzaniem każdego śladu, zachodziłem w głowę i nie mogłem zrozumieć. Po chwili, przypadkowo, uniosłem głowę i mój wzrok padł na przeciwległy brzeg jeziora. Zmartwiałem.

Naprzeciwnie, jakieś półtora czy dwa tysiące metrów, doskonale widoczny przez rzadkie w tym miejscu drzewa za zieloną palisadą, widniały nasz fort i mały hangar na łodzie.

Był to zapewne jedyny punkt nad jeziorem, skąd tak dobrze widoczna była nasza posiadłość.

Dlatego słoń pozostawał tutaj tak długo! Obserwował nas. Jakkolwiek mogło się to wydawać dziwne, jakkolwiek było to właściwie niemożliwe, stało się oczywiste.

M'Bumba nas szpiegował...

* * *

W drodze powrotnej poprosiłem Małą, by zachowała nasze odkrycie w tajemnicy, i sam też nie powiedziałem o tym ani słowa moim towarzyszom.

- I co, Elias? Coś nowego na jeziorze?

- Och, nie. Ciągle to samo... Kapaliśmy się... To wszystko... Udałem, że jestem w dobrym humorze, i wieczorem szybko poszedłem się położyć, by przemyśleć to w spokoju.

Kiedy tylko zauważyłem ślady, a jeszcze bardziej kiedy odkryłem ten widok na nasze włości, opanowało mnie paskudne przeczucie, połączone z jakąś głęboką rozpaczą. Wiedziałem, że pech nadal czai się w pobliżu, pomimo walki, pomimo optymizmu ostatnich

miesiący, i czułem w sercu jakieś zimno mówiące, że wszystko zaczyna się od nowa. Wystarczyła jedna sekunda, by powróciły aberracje i czary.

Nie chciałem wprowadzać w forcie psychozy strachu. Wiedziałem, że moi towarzysze, podobnie jak ja sam, zapomnieli już o M'Bumbie. Każdy pragnął tylko jednego: by ten potwór nie przybył na umówione spotkanie i zagubił się gdzieś wśród tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli, a przede wszystkim, abyśmy już nigdy nie wspominali o nim. Każdego ogarnęła nadzieja i poczucie triumfu nad bardzo trudną sytuacją. Przyjść teraz i oświadczyć: „Okaleczony powrócił. Szpiegował nas przez całą noc. Wie, gdzie jesteśmy i co robimy”, w nieunikniony sposób załamałoby morale ich obu.

Mała zasnęła przy mnie. Okryłem ją palmową matą domowej roboty, żeby nie zmarzła. Czułem jej oddech na piersi i jej ciało, tak kruche, przytulone do mojego. Po raz pierwszy zwątpiłem w wytrzymałość fortu. To, co dawniej jawiło mi się niczym nienaruszalny warowny gród, teraz, kiedy zobaczyłem potwornej wielkości ślady tego skurwysyna, wydawało się bardzo kruche. Była to w końcu tylko palisada z trzciny. Przypominałem sobie zniszczenia, poczynione przez M'Bumbę, zrównane z ziemią polany, wielkie termitiery w kawałkach, wioskę Kuju...

Ach! Skurwiel! Tak bardzo chciałem o nim zapomnieć. Jedno było pewne, nie byliśmy już bezpieczni. Walcząc o odrobinę snu, podczas gdy deszcz na dworze znów zaczął padać, postanowiłem działać dla dobra ogółu już nazajutrz.

* * *

Naturalnie nie udało mi się zapaść w sen. Po paru godzinach rozmyślań i bezsenności łagodnie odsunąłem Małą i aż do rana czyściłem swój Winchester Express.

Potem zdrzemnąłem się na krótko. Kiedy się obudziłem, wszyscy siedzieli już przy śniadaniu. Zaszedłem do nich na chwilę, żeby się przywitać, i wesoło zawołałem:

- Zajmiecie się łodzią? Ja wybiorę się po trochę świeżego mięsa. I szybko wyruszyłem, nie pozostawiając jednemu i drugiemu czasu, by zaproponowali mi towarzystwo ani by się dziwili, że wybieram się na polowanie w tak podłą pogodę. Wyszedłem za bramę i pośpiesznie, niczym złodziej, zagłębiłem się w las.

Tego ranka działałem pod wpływem przecucia, które mówiło mi, że jeśli zareaguję natychmiast, wyprzedzając wydarzenia, szczęście uśmiechnie się do mnie i zetknie mnie z M'Bumbą. Wytropię go, zastrzelę i będziemy mieli spokój aż do chwili, kiedy łódź będzie gotowa do wywiezienia nas w dal.

Były to jednak nadzieje zbyt optymistyczne i całkowicie błędne. Nie znalazłem nawet śladu słonia. Żadnego znaku. Nawet złamanej gałązki.

Szedłem najszybciej, jak mogłem, nie myśląc o zmęczeniu, o zadrapaniach i uderzeniach gałęzi. Z nieba lało się na mnie bez przerwy. Biegiem przemierzałem całe połacie brzegu jeziora, po czym zagłębiałem się w las, nie zważając na odległości. Następnie wracałem ku jezioru, z rozpaczliwie pustymi rękami, i zaczynałem od początku. Moje morale cierpiało coraz bardziej. Ciężko mi podwójne uczucie wściekłości i niepokoju na myśl o tym, co się stanie, jeżeli go nie znajdę i nie przeszkodzę mu ostatecznie w działaniu na naszą szkodę; uczucie to rosło w miarę upływu czasu.

Musiałoby być koło piątej po południu, kiedy, przemoczony od stóp do głów, z ubraniem w strzępach, odczuwając silny ból w piersiach, zatrzymałem się na mały posiłek. Zaraz potem ruszyłem dalej. Nawet noc nie zatrzymała mnie. W koszmarnych warunkach - całkowitych ciemnościach, błocie i wśród niewidocznej już roślinności - nadal - szukałem. Zza zaciśniętych zębów mamrotałem bezustannie przekleństwa. Moja uraza przemieniła się w nienawiść.

* * *

Powróciłem do fortu bardzo późno, wycieńczony i w okropnym stanie, pokaleczony i brudny. Zaprzestałem pościgu bardzo głęboko w lesie. Powrót był jeszcze trudniejszy niż reszta. W gardle tkwiła mi kula gorzycy. Paulo czekał na mnie, popijając swój bimbler. Rzucił się w moim kierunku, przerażony niczym stara kwoła.

- Elias! Na miłość boską, Elias! Przestraszyłeś mnie. Gdzieś ty byt? Opowiedz!

Objąłem go czule. Nie mogłem mu nic wytłumaczyć, bo nie byłby w stanie zasnąć. Zresztą nie miałem ani ochoty, ani siły.

- Nic... Nic... Po prostu się zgubiłem, głupia sprawa. Dużo czasu zajęło mi odnalezienie właściwej drogi. Wszystko w porządku. To ładnie, że na mnie czekałeś... Nie niepokój się... Wszystko dobrze.

I pochyliłem przy tym głowę, żeby się nie zdradzić, po czym szybko schroniłem się w swojej chacie.

Nie było wątpliwości, ulewa powróciła. Godzina po godzinie zalewały nas tony wody. Kanały ponownie przepełniły się. Przejście dwudziestu metrów w obręb fortu, by odwiedzić kogoś w chacie, przeprawa do kuchni albo do ubikacji, pozostanie przez niecałą minutę na powietrzu równoważne było kąpielom w jeziorze, nie mówiąc o błocie i gąbczastym gruncie, w

którym człowiek zagłębiał się przy każdym kroku.

Obok hangaru na łodzie w ciągu jednego ranka w deszczu wybudowaliśmy małą szatnię, tak by błoto nie dostawało się do warsztatu, w którym spędzaliśmy całe dnie: niezbędne, by utrzymać to miejsce w absolutnej czystości. Dni były szare i ciemne. Zapalaliśmy pochodnie już po południu, ale i tak niewiele było widać.

Nigdy więcej nie czułem się już taki odprężony, jak w ciągu poprzednich kilku tygodni. Wiedziałem, że M'Bumba był tuż-tuż za tą zasłoną deszczu. Wisiała nad nami groźba. Jeśli nie mogłem go znaleźć podczas tego katastrofального dnia spędzonego na polowaniu, to dlatego, że raz jeszcze zadziałał jego czar. Znowu musieliśmy go znosić i oddać mu inicjatywę. Mógł się pojawić, kiedy chciał - będę gotów na jego przyjęcie. Cokolwiek się zdarzy.

Pobyt stał się jeszcze uciążliwszy z powodu pojawienia się chmar komarów i innych świstów, które przecież jak dotąd trzymały się z dala. W ciągu paru dni powietrze wypełniło się nimi. Wieczory przemieniły się w męczarnię. Przez całą noc legiony najróżniejszych owadów tańczyły brzęczącą sarabandę dookoła jeziora. Było od nich aż gęsto, do przesady. Montaignes odczuwał naukowe zdziwienie. Stary, czyli subtelny Paulo, mruczał, że dawno już nie było żadnego diabelstwa i że te komary jego zdaniem nie wróżą nic dobrego. Taaak... Nic dobrego!

Przygotowaliśmy maść z dość śmierdzącej papki, wydobywanej przez Montaignes'a ze środka pewnego krzaka wskazanego przez Małą. Otrzymany w ten sposób zapach przywodził na myśl zimny tytoń. Komary unikały go jak zarazy. Przez cały dzień smarowaliśmy sobie tym ciało i choć wszyscy śmierdzieli w sposób niewyobrażalny, unikaliśmy przynajmniej zbytniego pokąsania.

Nagle Montaignes zrobił się jeszcze dziwniejszy. Jego oczy pały niezwykłym blaskiem i wygadywał coraz bardziej bezsensowne rzeczy. Po dwóch dniach Paulo uznał nawet, że należałoby o tym ze mną porozmawiać.

- Słuchaj no, zastanawiam się, czy nie należałoby zabronić szczeniakowi obżerania się tymi świstami. Nigdy dobrze to na niego nie działało, ale uważam, że ostatnio już mu zupełnie odbija.

- No, wiesz, odbijało mu zawsze...

- Słuchaj, dzisiaj przez dwie godziny rozmawiał z jakąś panią! Zrób coś, Elias. Poradź mu, żeby się upijał albo coś innego!...

Następnego dnia w warsztacie, koło południa, Montaignes zachwiał się i omal nie upadł na pirogę. Wyprostował się i spojrzał na nas, z szeroko otwartymi oczami, jakby nas nie

widząc, z pobladłą twarzą. Wielkie krople potu spływające po jego twarzy wyjaśniły nam wszystko.

- Ha! Nic dziwnego, przy tylu komarach! No, szczerze mówiąc uspokoiłem się. Chodź, Mały, położę cię do łóżka. To nic strasznego. Pocierpisz trochę, ale za parę dni będzie po wszystkim. Masz malarię. Już się zastanawiałem, kiedy cię to złapie! Nie martw się... chodź... Zajmiemy się wszystkim.

* * *

W ciągu następnych dni Montaignes nie wstawał. Każdego ranka przenosiliśmy jego łóżko do warsztatu, żeby przebywał z nami i byśmy mogli w każdej chwili obetrzeć mu czoło i ciepło go okryć. Ataki malarii powodują piekielne przypiły na przemian ciepła i zimna. Temperatura ciała dochodzi do 41-42°C, powodując obfite pocenie się. Wychodzi z człowieka cała woda, cały tłuszcz. Traci się kilogramy niewiarygodnie szybko. Po takiej fazie gorąca, kiedy jest się już porządnie mokrym, następuje przypiły zimna. W ciągu paru minut wewnątrz ciała lodowacieje. Półprzytomny człowiek ledwo wie, co się z nim dzieje. Ma się tylko uczucie: raz, że ciało płonie, raz, że jest przemarznęte. Takie wycieńczające organizm skoki mogą trwać całymi dniami, czasami nawet tygodniami, niezmiennie w tym samym rytmie.

Malaria, zwana też zimnicą, wcale nie musi być śmiertelna. Silne organizmy, ludzie twardzi miewają nawroty choroby przez całe życie, dwa lub trzy razy do roku, a między nimi niekiedy przypadki zasłabnięć. Jeśli organizm jest słabszy, ryzyko jest większe. Wszystko zależy od siły ataku i stanu chorego. Widywało się już siłaczy, którzy umierali, podczas gdy rachityczne dzieci przeżywały. Wiele zależy też od stanu poszczególnych organów wewnętrznych. Malaria może na przykład zaatakować wątrobę, jeśli ta była już wcześniej chora. Jest to jeden z powodów, dla których zimnica czyniła spustoszenie wśród białych żyjących w tropiku, zarówno osadników, jak i pozostałych. Po pewnym czasie amatorzy whisky, których procent w tej grupie jest wysoki, umierają na wątrobę.

Na malarię nie ma lekarstwa. Tylko chinina, a i to nie zawsze, może to świństwo zahamować. Ale myśmy jej nie mieli, nie było niczego, co mogłoby przynieść Montaignes'owi ulgę. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to być przy nim podczas ataków, i mieć nadzieję, że jego organizm wytrzyma.

* * *

W hangarze na łodzie zbudowaliśmy łóżko. W ten sposób mogliśmy czuwać przy nim przez cały dzień nie przerywając pracy. Owijaliśmy go jedną z tych plecionych mat, których mieliśmy spory zapas, a kiedy dostawał drgawek, okrywaliśmy go jeszcze skórami zwierząt, głównie potamoszer.

Biedak był blady, przybrał woskową, żółtawą barwę. Jego twarz naznaczyły bruzdy, po których nieustannie ściekały wielkie krople potu. Leżał nieruchomo, pogrążony w całkowitej śpiączce przerywanej krótkimi przebudzeniami, podczas których majaczył wykrzykując bezsensowne urywki zdań. Jego pot wydzielał gorzki, mdlący zapach, którym pomału przesiąkał cały warsztat.

Paulo zajmował się chorym. Regularnie wycierał mu całe ciało szmatami, zrobionymi z kawałków starych koszul; ciągle je prał i suszył nad miską gorącej wody.

- Ale mu się przytrafiło! Biedak, dostaje nieźle w kość. Żeby tylko wytrzymał! Nie, żebym się niepokoił, ale nie podoba mi się ten jego kolor.

Stary przygotowywał rzadkie zupki z soku i miąższu owoców, zwykle o pięknej pomarańczowej barwie, do których dodawał trochę cukru z trzciny. Kiedy tylko wyglądało na to, że Montaignes się przebudzi, dwa czy trzy razy dziennie, podbiegał, by dać mu jeść. Siadał przy łóżku, z pełną tykwą na kolanach, podtrzymywał pod głowę i wlewał mu do ust gorącą miksturę.

- Połykaj! Połykaj, do cholery!... Tak... Dobrze. No, jeszcze troszeczkę. Łyżeczkę, żeby zrobić przyjemność Paulowi. No! O rany! Nawet nie ma już siły otworzyć ust! Trzymaj się, Mały! Jedz, to ci dobrze robi!

Wkrótce Paulo przyniósł do warsztatu swoje łóżko i już nie odstępował swojego podopiecznego. Kiedy przychodziłem z własnymi problemami, siedział zatroskany i ponury obok młodziaka albo pił melancholijnie swój bimber z małej tykwy, a na jego twarzy malowało się zmęczenie nie przespanych nocy. Uśmiechał się do mnie, wzdychał, walił się w udo i obiecywał:

- Wyjdziemy z tego, zobaczysz! Nie martw się.

- Nie martwię się.

- Wiem, wiem. Wyjdziemy z tego, zobaczysz!

* * *

Twierdzi się, że nieszczęścia chodzą parami. Pomimo całej sympatii, jaką żywiłem dla

Montaignes'a, daleko bardziej zaniepokojony i przerażony byłem niespodziewanym obrotem, jaki przybrała niemal w tym samym czasie apatia Małej.

Z biegiem czasu powoli przyzwyczailem się do jej braku apetytu, i zaniku energii. Ale teraz nie jadła już w ogóle i chudła w tempie, które mnie przerażało. Patrzyłem na nią, leżącą z oczami jeszcze otwartymi, ale utkwionymi gdzieś w dal, bez blasku, z zaostrozonymi rysami twarzy, na której skóra była jakby obciągnięta. Przypominała mi wygłodzone azjatyckie dziewczynki, wychudłe i pozbawione wszelkiej nadziei.

Potem zaczęła spać. Nie poruszała się już, leżąc przez cały dzień z zamkniętymi oczami i regularnie oddychając. Rano, kiedy wychodziłem, podczas każdej z licznych wizyt, jakie jej składałem podczas dnia, wieczorem, w nocy, pozostawała pogrążona w głębokim odrętwieniu, które mnie przerażało.

- Mała? Mała? Obudź się.

Musiałem długo nią potrząsać, zanim nastąpiła jakaś reakcja. Unosiła powieki, usiłowała uśmiechnąć się, ale nie starczało jej sił, po czym niepowstrzymanie zapadała z powrotem w letarg.

Ośluchałem ją, pragnąc znaleźć jakieś wytłumaczenie czy wskazówkę dotyczącą tej choroby, która pozwoliłaby mi na zrozumienie, co należy uczynić. Obmacywałem ją, badałem każdy centymetr jej ciała. Szukałem jakiegoś ukrytego wylewu, starałem się znaleźć na jej skórze ślad po ukłuciu kolca lub owada, które mogło spowodować taką senność.

Nie było niczego. Poza ciągłym snem i straszliwym wychudzeniem była w doskonałym zdrowiu. Nawet rana jej przedramienia, z której małe haczyki powypadały kolejno w miarę upływu czasu, wspaniale się zabiłiła i nie mogła mieć z tym nic wspólnego. Jej oddech był spokojny, podobnie jak wyraz jej twarzy. Nie widziałem śladu cierpienia czy nawet najdrobniejszego niedomagania.

Co też mogło jej być? Odtwarzałem w myślach wszystko, co razem robiliśmy, analizowałem wspomnienia, starając się zrozumieć, kiedy mogło się jej coś przytrafić. Jedno było pewne, mianowicie, że jej przypiływy złego humoru, jej dziwaczne zachowania, które jak kretyń wziąłem za wyrzuty czy drobne szykany, stanowiły pierwsze objawy pogorszenia zdrowia. Ta potworna choroba tliła się w niej już od dawna. Czy przyczyną mógł być psychiczny szok? Starałem się sprowokować jakąś reakcję krzycząc nagle, wrzeszcząc na nią.

- Obudzisz się wreszcie, do jasnej cholery! W końcu nawet ją spoliczkowałem, trzymając za ramię, dwoma powolnymi i zamaszystymi uderzeniami, których jedynym wynikiem było, że zajęczała, z półotwartymi oczami.

- Boli. Boli. Elias...

Co za dureń ze mnie! Natychmiast pożałowałem głupoty swego zachowania i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia na widok czerwonych plam rozlewających się na jej policzkach, na twarzy znowu pogrążającej się we śnie. Działo się coś szalenie poważnego. Mała była z natury dziewczyną gwałtowną i nerwową. Gdyby coś w jej wnętrzu nie zostało zniszczone, inaczej zareagowałaby na moje uderzenia. Ale co? Co?

Gryzłem się w ten sposób i między jednymi a drugimi odwiedzinami mojej śpiącej królowny z zapamiętaniem rzucałem się na narzędzia i z całych sił drążyłem pień, wznecając chmurę wiórów, a w głowie kłębiło mi się od pytań i przygnębiających wątpliwości. Jeżeli tych dwoje nie można uzdrowić, niech przynajmniej będzie jakiś postęp w budowie łodzi, choćby po to, by dać nam złudzenie, że coś robimy.

Deszcz lał dalej, bezustannie. Trwało to już od tygodni. U Montaignes'a nie było najmniejszego oznaku zdrowienia, a Paulo czuł się coraz bardziej zmęczony.

Ktoregoś wieczoru, kiedy drążyłem pień silnymi pociągnięciami dłuta, walcząc z ogarniającym mnie smutkiem, powiedział nadzwyczaj spokojnie:

- Kolej na mnie.

Uniosłem głowę raptownie, ocierając z czoła pot.

- Co?

- Przyszła kolej na mnie. Wiem, że to nieodpowiednia pora, ale nic nie poradzę. Czuję ją. Jest tutaj. Dobrze ją znam, wiem.

Napełnił swoją małą tykwę „whisky”, jak to nazywał, i napił się długimi pociągnięciami. Jego oczy zamykały się prawie, przysłonięte dwiema wielkimi torbami powstałymi ze zmęczenia. Na jego czole perliły się wielkie krople potu, spadały mu na pierś i tam przedzierały się przez gęste uwłosienie. Oddychał ciężko, a ramiona mu opadły.

* * *

To niemożliwe! Rzuciłem narzędzia i usiadłem z głową w dłoniach. Teraz byłem znowu w gównie po uszy. Dlaczego los pastwił się nade mną od tylu miesięcy? Kolejna sytuacja przeistaczająca się w koszmar. Miałem zostać sam w tym forcie, w strugach deszczu, który sprawiał, że wszystko gniło. I właśnie Paulo, chory, musiał mnie pocieszać! Co za ironia!

- Nie martw się! Wyjdziemy z tego, bądź spokojny. Nic się nie bój. U mnie to potrwa tylko parę dni. To nie pierwszy raz, i kto wie, pewnie nie ostatni...

Pił łyk za łykiem tego swojego świństwa, jeszcze szybciej niż zwykle, walcząc z

atakującą go chorobą.

- Nie martw się, Elias! To jeszcze nie tym razem, zapewniam cię... Żaden święty mnie nie chce tam, na Górze. Za bardzo się boją, że zaprowadzę burdel w raju...

Mówił do mnie i upijał się. Ja milczałem, ale szedłem za jego przykładem. Śmierdzący benzyną bimber sprawiał, że czułem kurcze żołądka, ale piłem z determinacją, tykwa za tykwą. Po paru godzinach pijaństwa brzuch mi się wzdął od tej trucizny. Paulo mówił coraz bardziej od rzeczy. Miałem ochotę stracić świadomość, przestać wiedzieć, co się dzieje. Nie chciałem zostać sam. Odmawiałem zastanawiania się nad tym, co należało zrobić. Miałem dość, byłem zmęczony. Tego wieczoru moją jedyną reakcją było otumanić się na tyle, by przestać myśleć.

Paulo potrząsnął mną o świcie. Miał oczy szeroko otwarte, wbite w przestrzeń. Jego twarz spływała potem. Z jego przemoczonych od potu szortów na ziemię kapąły krople. Jego głowa, ramiona i ręce trzęsły się konwulsyjnie, aż się przeraziłem.

- Paulo? OK?

Udało mu się pokiwać głową. Otrząsając się z pijaństwa chwyciłem go wpół. Nie stawiał żadnego oporu. Niełatwo było go przemieścić. Osłabiony litrami wypitego bimbrow z największym trudem zaciągnąłem go na łóżko, gdzie urządziłem mu wygodne legowisko z mat i skór.

Potem, skoro miałem już na miejscu dwóch chorych, wydało mi się oczywiste, że również Małą trzeba przenieść do warsztatu, by mieć wszystkich razem na oku. Powlokłem się na dwór. Nieustający deszcz zalewał ziemię i okalający las. Zostałem natychmiast przemoczony, co trochę mnie otrzeźwiło. Było paskudnie szaro, nogi tonęły w błocie. Było mi źle.

Wszedłem do naszej chaty. Jak zawsze, kiedy patrzyłem na Małą, ogarnęła mnie fala czułości. Spała, i wyglądała dokładnie tak jak wczoraj. Była delikatna, niesamowicie krucha, jej szyja i ręce stały się filigranowe, o bladym, prawie nierzeczywistym odcieniu, czarne włosy opadały na łagodny profil; leżała skulona niczym niemowlę, jakby nieobecna...

- Mała? Obudź się, kochanie. Otwórz oczy. To ja, Elias! Po dłuższej chwili spojrzała gdzieś przed siebie, ledwo otwierając powieki.

- Tak?

- Dobrze się czujesz? Pójdziemy do warsztatu, kochanie. Chcesz? Będzie ci tam lepiej.

- Tak. Spać.

I zasnęła ponownie, przeciągnawszy się niczym mała kotka. Nie pozostawało nic innego, jak przenieść ją do warsztatu. Nie byłaby w stanie samodzielnie przebyć tej

odległości. Wziąłem ją więc na ręce i uniosłem. Zamurowało mnie, tak jak stałem przy łóżku z księżniczką w ramionach. Nie rozumiejąc uniosłem ją jeszcze raz, ogłuszony niespodziewaną lekkością jej ciała.

Nie ważyła nic. Potwornie nic. Do oczu napłynęło mi tyle łez, że nie potrafiłem się powstrzymać. Moja księżniczko, moja ukochana! Płacząc patrzyłem na nią, pogrążony w rozpacz. Była taka piękna, z długimi rzęsami opuszczonymi na oczy. Jej długie ręce zwisały bezwładnie, jakby zapomniane. Cóż to za potworny sen pozbawiał ją wszelkiej chęci życia?

Nie miała już niczego. Była jakby pustą kopertą. Dlaczego musiała umrzeć? Z mojej piersi wydobyło się łkanie i musiałem usiąść na łóżku. Pochylony nad jej ciałem długo dawałem upust swemu smutkowi, błagając ją, by nie odchodziła.

- Nie ty! Księżniczko moja, kochanie, nie ty!

Walczyć. Nie wolno mi było ulec. Teraz ode mnie zależało życie trojga przyjaciół. Winien im byłem opiekę i wsparcie.

Urządziłem w warsztacie szpital i spędzałem w nim cały swój czas. Montaignes i Paulo potrzebowali stałej opieki. Co godzinę starannie wycierałem ich ciała, aby nie leżeli przemoczeni. Przesuwałem każdego na łóżku, aby jeden bok miał czas wyschnąć, podczas gdy przemakał drugi. Nawet skóry powoli przesiąkały ich potem i stale wilgotne stały się nieprzyjemne w dotyku.

Naznosiłem kilogramy owoców i starałem się, bez powodzenia, odżywiać ich regularnie. Lecz ich organizmy nie przyjmowały już niczego. Paulem wstrząsały czkawki, kiedy tylko wsuwałem mu do ust łyżeczkę. Jego skóra przybrała okropny kolor, jeszcze bardziej żółty niż u Montaignes'a, i bardziej niepokojący.

Dwa czy trzy dni po swoim upadku odzyskał przytomność i oznajmił mi, leżąc na łóżku, że czuje się lepiej. Nie będzie przecież całymi dniami wylegiwał się z powodu jakiejś malarii, do cholery! A jak się czuje Mała?

Wstał, z biodrami owiązanymi skórą potamoszery, przeszedł dwa kroki i zachwiał się pod wpływem zawrotu głowy. Nadbiegłem w samą porę, by chwycić go w ramiona. W ciągu sekundy jego ciało pokryło się wielkimi kroplami gęstego potu. Ponownie stracił przytomność i od tego czasu praktycznie już jej nie odzyskał. Jego ataki drgawek, kiedy temperatura gwałtownie spadała, były zupełnie wyjątkowe. Rzucając się na łóżku, niczym epileptyk, rozkopywał wówczas maty i skóry, a czasami mało brakowało, by nie spadł na ziemię.

Montaignes od czasu do czasu wynurzał się na powierzchnię, ale nigdy nie osiągał pełnej przytomności. Przez kilkanaście minut mamrotał z szeroko otwartymi oczami, grobowym głosem, urywki z Baudelaire'a, pełne trupów, padlin i duchów, po czym znowu odpływał w niebyt.

* * *

Deszcz. Deszcz. Deszcz! Ileż to godzin spędziłem na siedząco, opiekując się chorymi, oddany na pastwę samotności i najczarniejszym myślom, w tym bambusowym pomieszczeniu chłostanym nieustającą ulewą, sam jak palec, o całe tygodnie drogi od wszelkiej pomocy, wszelkiego ludzkiego siedliska, za jedyny widok mając tylko ciała moich dogorywających towarzyszy? Nie wychodziłem. Nie pracowałem już przy łodzi. Nie polowałem i nawet zrezygnowałem z wypadów po owoce. Oni nic nie jedli, a ja nie byłem głodny.

Czekać. Niech dojdą do siebie, jeśli w ogóle ma się to kiedyś zdarzyć, niech ustanie deszcz, niech wreszcie coś się stanie! Owe zbyt wolno upływające minuty podkopywały moje samopoczucie. Ja, poganin, który zawsze żyłem na zbyt barbarzyński sposób, by dopuścić istnienie jakichkolwiek boskich mocy, modliłem się do nich, jednej po drugiej. Błagałem je o interwencję. W myślach przywoływałem wspomnienia po rytuale i modlitwach prawosławia, które leżały gdzieś na dnie mojej pamięci, i kierowałem je do nieba, połączone z kawałkami innych wierzeń, które w życiu poznałem.

Potem wyklinałem je wszystkie, w gwałtownym przypływie wściekłości, bo te świny, jak zwykle, nie robiły nic.

Czekanie to, dzień po dniu, drażyło moje siły i niszczyło moją odporność. Kiedy przychodziło załamanie, kładłem się koło Małej, brałem ją w ramiona, przytulałem się do niej i szukałem pociechy w cieple jej ciała.

Każde spojrzenie, jakie na nią rzucałem, bulwersowało mnie. Odchodziła powoli, bezpowrotnie. Umierała bez żadnego powodu godnego tej nazwy. Kto lub co ją zabijało? Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Niekiedy budziła się na parę chwil, by prosić o picie.

Przynosiłem jej wody. Wypijała kilka łyków, za każdym razem trochę mniej, i pomimo moich błagań i pieszczot odchodziła ponownie. Nigdy nie udało mi się jej zatrzymać. Musiałem przestawać wymawiać jej imię, kiedy zdawałem sobie sprawę, że znów pograżyła się w letargu, gdzieś daleko, na który nic nie mogłem poradzić.

Co dwadzieścia czy trzydzieści minut pochylałem się, przerażony, nad jej piersią,

usiłując wychwycić bicie jej serca, tak słabe i odległe. Jeśli wątpliwości nie ustępowały, szczyptałem ją, mocno, i uspokajałem się dopiero, kiedy reagowała, łagodnie mnie karcąc:

- Elias... Boli...

* * *

Pewnego wieczoru, zasypując siebie pytaniami, wreszcie zrozumiałem, co się działo. Wyszedłem z pomieszczenia, w którym się już dusiłem. Opadłem na leżak Paula i pozwoliłem, by deszcz padał mi na twarz, wrzeszcząc z napięcia i niepokoju.

Deszcz chłodził mi ciało. Pomasowałem sobie głowę i wystawiłem twarz na zacinającą ulewę, mając nadzieję, że napięcie pod czaszką nieco spadnie. Wówczas w oddali, ponad palisadą, poprzez szarzyznę jeziora, zobaczyłem owe nieco żółtawe dymy, pojawiające się w niektóre wieczory. Szkodliwe dymy, pomyślałem. I nagle przypomniałem sobie inny obraz. - Była to wioska, którą odkryliśmy na brzegu Sanghi, z tymi spokojnymi trupami, leżącymi na ziemi, choć nic nie tłumaczyło powodów ich śmierci.

Gorączka, pochodząca z jakichś bagien. To właśnie podejrzewał Montaignes. Piorunujące zatrucie albo epidemia, powiedział. Teraz znałem już prawdziwe wytłumaczenie. Podobnie jak Mała, mieszkańcy wioski zasnęli i nie obudzili się już nigdy.

Śmiałem się sam do siebie, ociekając deszczem. Było to takie proste. W tym przeklętym zakątku panował jeszcze dodatkowy koszmar, przed którym zostaliśmy przecież ostrzeżeni natychmiast po wejściu do dżungli, w swojej nieświadomości nie przywiązując jednak do tego wagi. Mała była skazana. Wszyscy byliśmy skazani. Być może ja sam też byłem już przesiąknięty tą trucizną. I ta dziwna malaria, która nie chciała ustąpić!

Fort z czterema niewytłumaczalnymi szkieletami, oto nasze przeznaczenie. Dżungla trzymała nas w garści. Przerobiła nas jak szczeniaków, a my wpadliśmy we wszystkie pułapki. Gorączka dostanie nas wszystkich.

* * *

Chodziłem po forcie, nie zważając na błoto, które sięgało do kostek, i śmiałem się histerycznie, u kresu sił, potykając się co chwila. Udupieni! Skazani na śmierć! Przez ten straszny sen, który w tej samej chwili powoli wykańcza moją ukochaną.

Nagle stanąłem, unurzany w błocie, i wrzasnąłem, na ile starczyło mi tchu:

- Nie! Nie ja!

Dlaczego? Odmawiałem kategorycznie. Jaki też był powód tego wyroku? Żadnego. Szło tylko o przyjemność szerzenia zła, ale ja się nie dam na to nabrać.

- Nie dostaniesz mnie! Kurwa!

Nawymyślałem całemu światu, po czym znowu opadłem na leżak. Tamci powoli zdychali, ale ja się jeszcze trzymałem. Skoro oni nie żyli albo potencjalnie nie żyli, nie było żadnego powodu, żebym się poświęcał i zostawał tutaj, by stać się jednym szkieletem więcej. Trzeba się stąd zabierać i to szybko!

Zapewne miną całe miesiące, nim przedostanę się do cywilizacji czy do pierwszej wioski, która będzie ją przypominać, ale dopnę swego! Biorę Winchestera, trochę prowiantu i zostawiam wszystkich. Trzeba ratować skórę. Niech mi nikt nie opowiada o solidarności albo czymś takim. Walczyłem. Dałem z siebie wszystko. Ponownie wyczerpałem prawie wszystkie swoje siły. Tamci nie chcieli wyzdrowieć? Niech umierają beze mnie!

* * *

Było to logiczne. Cóż zrobiłby Paulo na moim miejscu, wiedząc, że śmierć wyznaczyła tutaj spotkanie? Zwiąłby. Jeszcze dobrze, jeśli nie wpakowałby nam, płacząc, każdemu po kuli w łeb przed ostatecznym zagłębieniem się w dżunglę.

Podjąłem decyzję. Należało pozostawić fort własnemu losowi następnego dnia o świcie. Było już późne popołudnie, a w takiej ulewie zmrok zapadał szybko. Nie było sensu wychodzić do dżungli po nocy.

* * *

Prysznic i powzięte postanowienie ukoili mnie. Wyszedłem wreszcie z tego stanu depresji i czarnych myśli, powstałych pod wpływem długotrwałego beznadziejnego oczekiwania. Wróciłem do warsztatu, by się osuszyć.

Paulo i Montaignes leżeli na plecach, z identycznym wyrazem otwartych ust, okryci matami po brodę, wśród ostrego zapachu potu i śmierci, który przesiąknął każdy przedmiot w całym pomieszczeniu.

Wypiłem łyk bimbrowy, zrobiłem parę ruchów gimnastycznych i zabrałem się do roboty.

Najpierw zgromadziłem pośrodku warsztatu wszystko, co mogło się im do czegoś przydać. Ustawiłem tam dziesięć tykw pełnych deszczówki. Następnie naznosiłem gałęzi i pośpiesznie zbudowałem dwa nowe legowiska, aby mieli sucho. Ułożyłem stos owoców,

nazbieranych w „sadle” Montaignes’a.

Zgromadziłem ogromny zapas drewna i rozpałem ognisko nieco bliżej ich nowych posłań, aby podsycanie go kosztowało ich jak najmniej wysiłku. Podczas tej pracy mówiłem do nich bez przerwy, tłumacząc, że powinni zrozumieć, że musiałem ratować własne życie i że czasu miałem na to niewiele.

Ponadto, kiedy tylko dotrę do wioski, wynajmę pirogę i powrócę po nich jak najprędzej. Jeśli dopisze mi szczęście, napotkam może nawet jakieś plemię albo pojedynczych ludzi przed powrotem do ludzi Kuju, a wówczas będę mógł po nich wrócić od razu. Pozostała im do zrobienia tylko jedna rzecz: wytrzymać. Pozostać przy życiu jak najdłużej. Oddychać regularnie czekając na mnie. Potem musiałem raz jeszcze obmyć ich ciała i przesunąć ich w suche miejsce. Ani jeden, ani drugi nie zareagował w najmniejszym stopniu.

Przygotowałem swój bagaż. Winchester Express, dwie maczety, kilka owoców w małym woreczku ze skóry, zrobionym przez Montaignes’a. Dmuchawka i strzały. To wystarczy. Szykowałem swój tobolek ciągle do nich przemawiając.

- Nie niepokójcie się. Odchodzę. Ale wrócę. Słyszysz mnie, Paulo? Idę tam i z powrotem. To kwestia... powiedzmy, paru dni. Muszę stąd odejść. Słyszysz, Stary? Na moim miejscu zrobiłbyś to samo. Co, Paulo? Powiedz mi, że zrobiłbyś to samo!

Były to z pewnością ostatnie słowa, jakie do niego kierowałem, ale on ich nawet nie słyszał, mój stary kumpel.

Świt zastał mnie na łóżku Małej, mojej dziewczynki, którą trzymałem w ramionach.

- Żyj! - tłumaczyłem jej. - Błagam cię, wysłuchaj mnie przez sen i walcz o życie. Nie porzucam cię. Odchodzę, żeby wrócić. Musisz to zrozumieć, moja malutka, kochana. Elias idzie po pomoc. Wróci. Musisz tu jeszcze być, kiedy wróci.

Łagodnie ucałowałem jej usta, pogładziłem jej skronie, zamyśliłem się, patrząc na jej twarz. Po czym postanowiłem nie odchodzić...

* * *

Wydawało się, że potop nigdy się nie skończy, jak gdyby prowadził ze mną długotrwałą wojnę nerwów. Tylko w nocy zdarzały się krótkie przerwy, podczas których i tak słyszeć było hałas wodospadów spływających z drzew. Na kilka chwil chmury odsłaniały niemal okrągły księżyc tak błyszczący, że jego światło przebijało niekiedy przez zasłonę deszczu w postaci białej poświaty.

Upływały dni. Wyzbyłem się wszelkich myśli o ucieczce. Oczywiście byłem świadomy stałej obecności śmierci, ale po pierwszym odruchu samoobrony odeszła ona na dalszy plan, gardziłem nią.

Zrozumiałem, że odejście nie było właściwym krokiem. Jakieś przeczucie, jeden z tych wewnętrznych głosów, których zawsze ślepo słuchałem, zabraniało mi tego. Przeżywać przygody oznacza mieć z przeznaczeniem więcej do czynienia niż przeciętny człowiek i pozwala nauczyć się odczytywać jego znaki i sygnały.

Coś się tutaj szykowało. Musiałem być przy tym obecny. Trudno wytłumaczyć takie przeczucia.

Byłem przekonany, że rozwiązanie nastąpi tutaj, w tym forcie, który sam zbudowałem. W miarę upływu dni uczucie to stawało się coraz silniejsze, a data rozwiązania coraz bliższa. Wielka, niemal doskonale okrągła księżycowa tarcza coś zwiastowała. Wiedziałem, że to coś miało pierwszorzędne znaczenie. Był to koniec pewnej historii. Należało wydać ostatni bój, i ja miałem w tym uczestniczyć.

Zresztą tak czy inaczej nie będzie mi dane tak po prostu się z tego wywinąć. Byłem częścią tej historii i nie mogłem od niej uciec. Jedyna możliwość ucieczki zarysowała się już bardzo dawno: było to wtedy zanim zgodziliśmy się na udział w pierwszej ceremonii, w rytuale odprawionym przez czarownika w domu z węzami. Od tego czasu byliśmy już w to wplątani.

Teraz rozumiałem to jasno. Kryzys, jaki przechodziłem w strugach deszczu, zdarł ostatnie zasłony, przysłaniające przede mną przyszłość. Było tylko jedno logiczne wyjście z tego burdelu, mianowicie walka, do której zgłosiliśmy się na ochotnika i przed którą się nie uchylę. Im bardziej rosła tarcza księżyca, tym większa ogarniała mnie pewność. Jednocześnie blizny, jakie miałem wewnątrz dłoni, zdawały się coraz bardziej wrażliwe.

* * *

Stało się to trzeciej nocy pełni.

Od poprzedniego dnia Paulo i Montaignes powoli wracali na ziemię. Okresy ich przebudzeń były teraz częstsze. Montaignes, po raz pierwszy od bardzo dawna, oprzytomniał całkowicie i wypowiedział coś innego niż cytaty z Baudelaire'a. Skorzystałem z tego, żeby odżywić ich maksymalnie, by ten przypływ energii nie został stracony.

Tej nocy, późno, obudzili się obaj i każdemu przygotowałem tykwę pełną gorącej papki owocowej, do której wsypałem całą resztkę cukru z trzciny.

Paulo miał ledwo siłę, by poruszać łyżką. Skulony, pozbawiony energii, z ustami o pięć centymetrów nad miską, wciągał po parę kropel i przełykał je w nieskończoność. Montaignes pił bezpośrednio z miski i ciekło mu po brodzie.

Przyjemnie było na nich popatrzeć.

M'Bumba zaatakował właśnie wtedy, bez żadnego ostrzeżenia. Potężny wstrząs sprawił, że zadrżała ziemia, podczas gdy w powietrzu rozchodził się donośny huk. Dobiegał od palisady od zachodu, to znaczy od strony lasu.

Natychmiast wybiegłem na zewnątrz, z Winchesterem w dłoni. Nareszcie! Doszło do spotkania, do ostatniej walki!

Ziemia ponownie zadrżała. Na moich oczach, trzydzieści metrów dalej, palisada nagle wydeła się do wewnątrz, popychana nadprzyrodzoną siłą. Przez ułamek sekundy pozostała napięta. Czułem, jak bambusowe włókna naprężają się, gotowe pęknąć. Wbity w ziemię pal wygiął się, wygiął jeszcze bardziej i złamał się z suchym trzaskiem, jakby ktoś strzelił z potwornego bicia. Jeden z kawałków wyleciał w powietrze i spadł gdzieś dużo dalej. Palisada powróciła na swoje miejsce rozbryzgując wokół błoto.

Podbiegłem, by ustawić się z boku, obok palisady, dwadzieścia metrów od atakowanego miejsca. W ten sposób będę miał słonia z profilu, kiedy palisada puści. Będę mógł wycelować, zanim zdąży przejść pięć metrów wewnątrz fortu.

Przykłęknąłem w błocie, opierając ramię o jeden z ukośnych pali, by zamortyzować odrzut. Przyłożyłem Winchestera do oka i wycelowałem mniej więcej na wysokość głowy zwierza.

Ziemia znów zadrżała. Huk uderzenia, potworny, spowodował, że instynktownie wtuliłem głowę w ramiona. Zobaczyłem, jak palisada ugina się, jak gdyby niewidzialna ręka chwyciła ją od góry i ciągnęła ku ziemi.

I zobaczyłem go. W nowej przestrzeni, jaka pojawiła się w miejscu, gdzie palisada ugięła się pod jego naporem. Ujrzałem jego głowę, niczym skała, i kawałek karku, wiele metrów nad ziemią. Wydawało się, że jego kiel zaklinował się między bambusami, i słon wściekle potrząsał całą konstrukcją, by się oswobodzić, co wzbudzało drgania dookoła.

Strzeliłem. Dwa razy, jeden za drugim.

Palisada powróciła na swoje miejsce, a jednocześnie potworny, wściekły ryk, mrozący krew w żyłach oddalał się w kierunku lasu.

Trafiłem go!

Podszedłem bliżej. W palisadzie pomiędzy dwoma złamanymi bambusami ział teraz długi wyłom. Po drugiej stronie nie było niczego. Skurwiel schronił się w lesie. Odgłosy

łamanych gałęzi i głucho dudnienie wskazywały, że nie odszedł daleko. Pozostawał w pobliżu.

Załadowałem ponownie, gotów na drugie starcie, i znów usadowiłem się oparty o pal, klęcząc w błocie i mając nadzieję, że powróci tam, gdzie już zaatakował, bo miejsce, jak zdawałem sobie z tego sprawę, było gotowe całkowicie ustąpić.

Kurwa, trafiłem go! Biegaj teraz, kretynie! Przeleć się dookoła, rycz, ile chcesz! Ja tu cię posłucham. Mam dużo czasu. Tylko się pokaż, a urządzę ci zabawę. Dla ciebie ostatnią.

Hałasy ucichły, jakby pochłonął je las. Zdechł? Zwiął? Żaden z tych wariantów mnie nie satysfakcjonował. Musiał być gdzieś bardzo blisko, knując nowy numer. Mój wzrok bez przerwy przeszukiwał palisadę, starając się wypatrzyć jakiś cień lub ruch, który by coś zdradził. Byłem gotów do strzału, kiedy tylko znów zaatakuje. Moje uszy starały się wychwycić, poprzez odgłosy deszczu, hałas jego kroków, by określić, skąd nadchodzi. Ale cisza panowała teraz całkowita.

* * *

Palisada za moimi plecami rozleciała się.

Pal, o który się opierałem, wyleciał w górę i zostałem odrzucony o pięć metrów do przodu. Upadłem na kolana, w błoto. Chciałem się w nim całkowicie zanurzyć. Za mną uderzenia straszliwego tarana rozpychały bambusy. Słyszałem, jak trzaskają włókna. W najwyższym napięciu, ogarnięty chłodną paniką, oczekiwałem na ostatnie potężne trzaśnięcie i potworne monstrum, które spadnie na mnie, by mnie zgnieść. Pod moimi plecami ziemia dudniła. Hałas jego uderzeń i porykiwań, nieopisanie bliskich, rozsadał głowę.

Poczułem i usłyszałem, jak łamie się słup, po czym pada niedaleko mnie.

Już. Był nade mną.

* * *

Ustały wszelkie hałasy. Nie słyszałem nawet odgłosu łamanych gałęzi ani dudnienia ziemi, które wskazałyby mi, dokąd odszedł.

Milimetr po milimetrze uniosłem się, cały ubłocony. Boże! Jakież byłem głupi sądząc, że palisada oprze się podobnej furii! Nie byłem w stanie wykonać ruchu. Strach opanował mnie i nie chciał już opuścić. Wydawało mi się, że słyszę za sobą jakby grzmot i że czuję, jak potwór miota się parę metrów ode mnie. Drżałem. Cały byłem we własnych wymiocinach.

Miałem kurcze żołądka, wstrząsały mną torsje. Klęcząc w błocie, z dłońmi przyciśniętymi do brzucha, byłem jak sparaliżowany, a serce biło jak oszalałe.

Wrzasnąłem ze wszystkich sił, kiedy zaatakował ogrodzenie, daleko ode mnie, o jakieś pięćdziesiąt metrów, naprzeciwko. Wrzeszczałem ze strachu, że tu wpadnie. Jak w koszmarnym śnie ujrzałem, jak na wszystkie strony leciały odłamki bambusa, a straszliwa siła rozrzucała je z nieopisaną wściekłością.

Potem zniknął znowu i nie pojawił się więcej. Słysząc już było tylko przenikliwe, dalekie odgłosy. Coraz dalsze. Rezygnował.

Nie ruszałem się. Ładnych parę godzin później wstał świt, a ja nadal leżałem w błocie, śmierdzący i żalony, ściśnięty przerażeniem, jakiego nigdy przedtem nie odczuwałem.

Powoli, wraz z nastaniem dnia, zrozumiałem, że żyję. W trzech miejscach ogrodzenie było wgniecione, pozbawione wielkich odłamków drewna. Za moimi plecami pękło na pół, tworząc ogromną poziomą wyrwę długą na dziesięć metrów, której widok pogрузzył mnie ostatecznie. Trochę więcej, tylko jeszcze jedno uderzenie, i rozwaliłby wszystko. Złapałby mnie, cisnął o ziemię i ostatecznie rozgniótł.

Dlaczego tego nie uczynił? Rana musiała być poważna. Osłabiony, przez chwilę jeszcze dawał upust swej złości, po czym musiał dać za wygraną. Podniosłem z błota karabin i poszedłem się odświeżyć, stopniowo odzyskując spokój. Moje dłonie jeszcze lekko drżały i w żaden sposób nie potrafiłem temu zaradzić.

Kiedy wszedłem do warsztatu, zrozumiałem natychmiast. Paulo patrzył na mnie niewypowiedzianie smutnym wzrokiem, okryty skórą, siedząc na brzegu łóżka dziewczynki. Montaignes, nadal leżąc, cicho płakał.

Umarła.

Paulo wycofał się na swoje łóżko. Obaj nakryli się swoimi matami, jakby ogarnięci atakiem choroby, by pozostawić mnie sam na sam z moim cierpieniem.

Wziąłem ją w ramiona. Na jej twarzy malował się całkowity spokój. W ostatnim odruchu samoobrony dotykałem ją i szczypałem, ale nie było żadnej nadziei. Tym razem odeszła tak daleko, że nie mogła już wrócić.

Przeszedłem przez fort, by zanieść ją do naszej chaty, ułożyłem ją na posłaniu, po czym wziąłem maczetę i z furią zacząłem ciąć bambusową podłogę. Potem na klęczkach wykopałem w ziemi otwór. Poświęciłem na to kilka godzin, bo chciałem, by był głęboki i miał równe brzegi. Następnie naciąłem bambusów odpowiedniej długości i rozłożyłem je na dnie i przy ściankach otworu, tworząc w ten sposób jakby skrzynię, możliwie regularną.

Ochroni ją to od padlinożernych zwierząt.

Uniosłem ją i delikatnie położyłem na dnie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nakryłem ją matą i bardzo szybko, nie patrząc, przysypałem ziemią.

Ubijałem to miejsce, aż wszystko było zupełnie równe, po czym wyszedłem z chaty. Maczetą ciąłem słupy, aż domek zawalił się na grób. Zniszczyłem dach i ścianki, pozostawiając jedynie kupę połamanego drewna, strzegącą dostępu do grobu mojej narzeczonej.

Spoczywaj w pokoju, piękna mała dziewczynko.

* * *

Przygotowałem Paulowi i Montaignes'owi dwa nowe posłania z gałęzi i uzupełniłem ich zapas żywności. Zostało mi dziewięć naboí. Wziąłem sześć, karabin i wyszedłem z fortu.

Epilog

Odnalazłem skurwiela parę dni później. Od mojego wyruszenia nie było żadnych śladów, jak zwykle. Wydawało się znowu, że M'Bumba wyparował. Ale prowadziły mnie jego przedśmiertne porykiwania.

Długie, ostre dochodzące od zachodu.

Obszedłem fort dookoła. Na wielu palach była krew. Nasz pomysł, by najeżyć palisadę ostrymi bambusami, okazał się dobry. Za każdym atakiem nadziewał się na nie i miałem nadzieję, że miał teraz w trzewiach pełno węzowego jadu.

Dookoła, na niewielkiej przestrzeni, odnalazłem wielkie brunatne plamy, pozostałości po litrach krwi, jakie wsiąkały w ziemię i które powiedziały mi to, co potwierdzały dalekie odgłosy. M'Bumba był ranny. M'Bumba był w agonii!

* * *

Szedłem szybko i niemal bez zatrzymywania, tracąc niekiedy kierunek porykiwań, powracając na właściwą drogę po długim błędzeniu, powstrzymywany przez roślinność, która stawała się coraz bardziej gęsta i ciemniejsza.

Zagłębiłem się w ogromny zagajnik, pełen bluszczy i kolczastych roślin, przez który mogłem się przedzierać wyłącznie używając maczety. Ryki M'Bumby były bliskie, ostre, każdy trwał jakieś trzydzieści sekund i kończył się gardłowym, ochrypłym zachłyśnięciem się, przypominającym kichanie.

Teraz, kiedy stałem bez ruchu, słyszałem wyraźnie jego oddech.

Był niedaleko, ukryty gdzieś wśród nieprzeniknionych krzaków. Żeby nie wiem jak się schował, byłem zdecydowany nawet wykarczować okolicę jeśli zajdzie potrzeba, by go odnaleźć. Był teraz zbyt blisko, by mi się wymknął. Jedyną rzeczą, o której myślałem od dwóch dni, było, by dotrzeć na czas. Odnaleźć go, ale odnaleźć go żywego. Mieliliśmy niewiarygodnie dużo rachunków do uregulowania.

* * *

Nagle ujrzałem na ziemi ogromną kość. Białą goleń słonia. Nie zwróciłem na nią

szczególnej uwagi, ale po chwili natknąłem się na kolejne kości, coraz liczniejsze, na wpół pokryte ziemią.

Parę kroków dalej odkryłem wielki szkielet klatki piersiowej słonia, całkowicie pokryty bluszczem, niemal niewidoczny. Mógłbym przejść obok niczego nie zauważając.

Poświęciłem trochę czasu, by odgarnąć roślinność. Szkielet był cały, uzbrojony w dwa ogromne kły, które, jak się zdawało, czekały tylko na mnie. Zapamiętałem miejsce, wyryłem parę znaków na okolicznych drzewach i ruszyłem dalej.

Przeszedłem niecałe dwadzieścia metrów i natknąłem się na następny szkielet słonia, również całkowicie pokryty roślinnością i otoczony barokową zielenią. Tu także dwa piękne kły, zakryte krzewami. Potem znalazłem trzeci, też zarośnięty. Czwarty... zrozumiałem, że poszycie pełne było trupów. Znalazłem cmentarzysko!

* * *

Nie było wątpliwości. Legendarne miejsce, do którego stare słonie przychodziły umierać! To dziwne. Zawsze, ilekroć chciało mi się o tym myśleć, wyobrażałem sobie, że musi to być nieco tajemnicza polana, w głębi dżungli, którą napotyka się przypadkiem.

Kolejny olbrzym pokryty liśćmi. Kość wyzierała jedynie miejscami, niczym fragmenty białej skały. Kły sterczały w górę pośród warstw mchów i paproci. Pod tym sklepieniem musiały leżeć wszędzie, niewidoczne. Trzeba było na nie wejść, by je zauważyć.

Ociekałem potem. Walenie maczetą było wyczerpujące i nie traciłem czasu na zachwyty nad krajobrazem. Wdzierałem się coraz głębiej w coś w rodzaju tunelu i zaczynałem się zastanawiać, czy M'Bumba ponownie postanowił zakpić sobie ze mnie, kiedy wreszcie ujrzałem go przed sobą.

Parę metrów dalej, za zasłoną z lian i skłębionych liści, ujrzałem w mroku jego monumentalny czarny zad, całym ciężarem spoczywający na ziemi. Leżał na brzuchu i odwrócony był do mnie tyłem.

Kiedy nadszedłem, uniósł głowę. Gigantyczne uszy z czarnej skóry, postrzępione, wielkie niczym parawany, zawachlowały gwałtownie, zmiatając z ziemi gałęzie. Obrzydliwy skurwysyn nie spieszył się z odejściem z tego świata, gdzie wyrządził tyle zła. Jeszcze żył.

Ależ był wielki! Jego głowa, niczym czarna nieregularna skała, była równie wysoka jak ja. Jego trąba, wielka umięśniona rura, leżała zakrzywiona bezwładnie przed nim i wydawała się bezsilna. Jedna z jego tylnych nóg była sztywna, leżała prostopadłe do ciała i nieco unosiła jego zad. Klęczał na przednich nogach. Z mojej perspektywy, tak jak go

widziałem, z uniesionym zadem, wyglądał, jakby właśnie potknął się o przeszkodę i głupio upadł na brodę.

Podszedłem.

- M'Bumba!! Widzisz mnie? To ja, Elias...

Jego zdewastowana czaszka pokryta była grubą czarną skórą i obszerna niczym beczka. Małe oczka, jak czarne guziki, były całkowicie pozbawione wyrazu. Powiada się, że człowiek czuje szacunek dla godnego przeciwnika. Ja nie czułem nic.

- Dobrze mnie teraz widzisz?

Drgnął w przypływie silnej woli. Uniósł się na dobry centymetr, po czym opadł, aż zadudniła ziemia. Jedna z moich kul ugodziła go tuż nad pachwiną. Na jego boku widniało kilka dziur otoczonych ciemniejszymi plamami. Ze sztywnej tylnej nogi sterczał gruby kawał drewna: jeden z zatrutych jadem pali złamał się po wbiciu w ciało.

Obszedłem kiel, większy ode mnie, o niewiarygodnym przekroju i zagięty niczym kiel mamuta. Dziura po drugim przedstawiała potworny widok. Sterczał tam nierówno ułamany odlamek kości, długi i ostry, niczym czarny i spróchniały ząb.

Z ogromną przyjemnością uniosłem karabin, tuż przed wpatrzonym we mnie małym czarnym guziczkiem.

- I co skurwielu? Dupa, co, bałwanie? Chuju! Ty góro mięsa. Kupo gówna. Jebany zasańcu. Dostałeś wreszcie, gruba świnió, co? Co?

Uniósł głowę na dźwięk wyzwisk. Nie na długo. Strzeliłem. Oko rozprysło się i głowa opadła nagle, po czym osunęła się na bok.

- TY CHUJU! TY CHUJU! A TU MASZ ZA MOJĄ MAŁĄ. Strzeliłem w czaszkę. Straciłem słuch w prawym uchu. Dalej wrzeszczałem ładując tak szybko, jak tylko mogłem, po czym przytknąłem mu lufę do głowy.

- ZA TATAVE!

Opadł potężny odprysk kości, pozostawiając krwawą dziurę.

- ZA BEBE!

Proch gryzł mnie w oczy. Wokół czaszki skurwiela unosiły się obłoki dymu.

Wystrzeliłem dwie ostatnie kule w brzuch, ku pamięci Małych Ludzików, a każdy strzał wywoływał drgnięcie, po którym wypływał strumień krwi. Potem, jako że sześć naboí to było zbyt mało, by wyładować całą moją furję, zacząłem kopać go w dupę, walić obcasami, potem pięścią, aż otarłem sobie kostki.

Wtedy chwyciłem maczetę i waliłem, i ciąłem na oślep, raniąc go, gdzie popadło, aż upadłem na plecy, a pot zalewał mi oczy i paliły płuca od tego szalonego bicia i wrzasku.

Później bardzo długo siedziałem naprzeciwko pokrajanego trupa, pociętego krwawymi pręgami, i odzyskiwałem spokój.

* * *

Powróciłem do fortu dopiero dużo później. Moi towarzysze leżeli i byli żywi. W paskudnym stanie, ale żywi. Natychmiast zabrałem się za ich toaletę, mimo ich słabych protestów, i odkryłem na ich łydkach pijawki, czarne i napęczniałe. Paulowi niektóre zawędrowały aż na wewnętrzną stronę ud.

Nieprzerwany deszcz spowodował zapewne, że powychodziły z jeziora. Rozpaliłem ogień, przygotowałem rozżarzoną szczapę i zabrałem się za wypalanie im główek, by je poodczepiać.

- Aj! Kurwa! - warknął Paulo, rozbudzony oparzeniem.

Z trudem pochylił się nad miejscem, przy którym byłem zajęty, i wymamrotał:

- ... pijawki. Nie zauważyłem!

Po czym spojrzał na mnie i przywróciło mu to pamięć.

- I co?

- Po wszystkim, nie żyje.

Stary upadł na plecy z westchnieniem ulgi.

- To jak, mogę już umierać, nie?

- Nie wygłupiaj się.

Montaignes otworzył oczy i patrzył na mnie z nikłym uśmiechem na ustach.

- Dostałeś go... dostałeś go...

Potem odkrył na swoim ciele pijawki i przytłumiło to jego radość. Pozdejnowałem je tak szybko, jak tylko się dało, kolejno wrzucając je do ognia. Po operacji zostawały małe, czerwone i okrągłe ślady, jak po oparzeniu papierosem. Paulo opieprzał mnie i drapał się w swoją gęstą brodę, która wyrosła mu jakby niespodziewanie.

Wyszedłem. Nad fortem zapadał zmierzch. Czułem w krzyżu ogromne zmęczenie. Dookoła mnie wszędzie tylko gruzy, śmieci i błotniste kałuże. Palisada była rozwalona w trzech miejscach, bambusy połamane, większość podtrzymujących słupów wyrwana z ziemi. Będzie robota. Dużo roboty.

Poszedłem do tam-tamu przed świetlicą. Była godzina wezwań. Cztery pary pałek leżały odwrócone, tak jak je zostawiono. Chwyciłem jedną i zacząłem walić.

Pałam! Pałam! Pałam! Bam! Bam! Bam! Bam! Pałam! Pałam! Pałam! Bam! Bam!

Niepostrzeżenie waliłem coraz mocniej, starając się mocnymi uderzeniami zagłuszyć

swój ból.

„To znaczyć przyjąć, przyjąć”, mówił mi jej mały głosik, tak odległy, nad brzegiem rzeki.

„Przyjąć, przyjąć. Złe odeszło...”

I te jej wpatrzone we mnie wielkie czarne oczy.